PODWÓJNY NUMER „DUNAJCA":

8-stronicowa „BIAŁA IZBA": **Anna Szopińska** i **Michał Sroka** o Bukowinie Tatrzańskiej — humoreski **Andrzeja Szymkiewicza** — zasłużonego zakopiańczyka, **Józefa Bielawę**, przedstawia **Andrzej Szymański** — **Lucyna Kaszuba** o orkiestrze sądeckich kolejarzy — wiersze **Andrzeja Krzysztofa Torbusa** i **Władysława Grabana** ◆ Ponadto: **Stefana Ciepłego** spojrzenie w lustro statystyki ◆ **Sławomira Sikory** szkic o **Czesławie Kosińskim** z Korzennej ◆ **Elżbieta Glinka** na przejściu granicznym w Muszynie ◆ Refleksje o Nowym Targu ◆ Korespondencja z USA **Grzegorza Woźniaka** ◆ Kącik mjra **Glińskiego** ◆ Krzyżówka — horoskop — program telewizji.

PL ISSN
0208 — 5968
Nr indeksu 35657

DUNAJEC

TYGODNIK PZPR

Nr 29—30 (298—299) Rok VII Nowy Sącz, 20—27 lipca 1986 r. Cena 30 zł

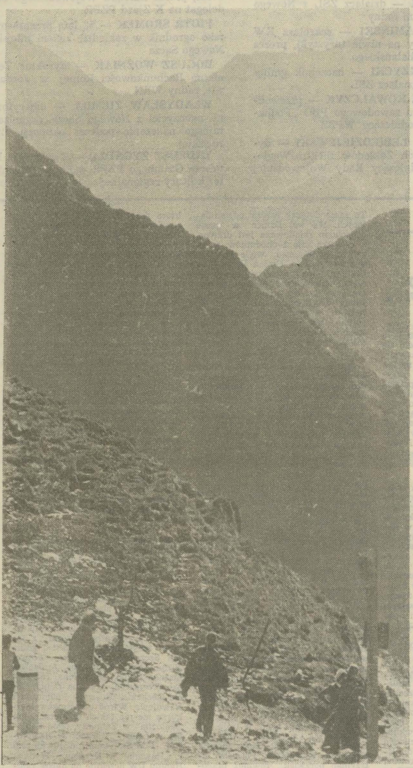

Fot. STANISŁAW MOMOT

Julian Tuwim

* * *

My ze wszystkimi naszymi błędami,
Tu z jakąś winą, a ówdzie i z grzechem
My, twardzi, szorstcy, nieprzejednani,
Z zaciśniętymi kamiennie pięściami —
Ach, mimo wszystko, jesteśmy uśmiechem,
Ziemi majowej szczęśliwym oddechem,
Słońcem młodzieńczym na świeżej polanie,
Świtem, pachnącym igliwiem leśnym,
Ust niecierpliwych słodkim pośpiechem —
— Oto, kto my jesteśmy.

I takich właśnie — błądzących często,
Gniewnych, zaciekłych w ostatnim boju,
Tu z błędem smutnym, tam z winą ciężką,
Trudnych, surowych, ugrzęzłych w znoju,
Takich nas wspomni wieczne zwycięstwo,
Wspomną stulecia szczęścia, pokoju —
Ale tak wspomną, jak się wspomina
Ziemi majowej tchnienie szczęśliwe,
Świt przesycony leśnym igliwiem,
I tę polanę... gdzie ta dziewczyna...
I ten wiersz do niej...
Jak się zaczynał?...
Jakoś najtkliwiej i najboleśniej:
„Mglistą, daleką widzę cię we śnie,
moja, jedyna..."
— Oto, kto my jesteśmy.

Jerzy Masior

Z lipca

Z lipca jest wszystko, to za nami,
Z lipca niech będzie, to przed nami,
W lipiec przyszliśmy tyralierą,
A teraz w lipiec już czwórkami.

A teraz w lipcu już po żniwach,
Ale wciąż jeszcze przed żniwami —
Po cudach żale i po dziwach,
Po gniazdach w ścierniach z pisklętami.

A nieraz lipcem, tak to bywa,
O źdźbło i kłos już jest za dużo,
Lecz druga zieleń wschodzi żywa,
Bo deszcze łąkom przecież służą.

Bo z lipca, z ziemi i z obłoków,
Z tej najcieplejszej pory roku,
Z tych marzeń, zdarzeń i oparzeń
Równamy czwórki, krok po kroku.

Wpisani do księgi honorowej

„Zasłużonych dla woj. nowosądeckiego" — lipiec 1986

HENRYK BURZEC — artysta rzeźbiarz z Zakopanego, członek Rady Krajowej PRON

ANDRZEJ CISOŃ — dyrektor WPHW, przewodniczący Rady Wojewódzkiej LZS

CZESŁAW COP — cieśla w PBO „Podhale", działacz związków zawodowych

JULIAN DAMASIEWICZ — kombatant walki i pracy, przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Rewizyjnej PZPR

JOZEF FERKO — działacz ZSL, kierownik Urzędu Stanu Cywilnego w Krościenku

WOJCIECH FRANCZYK — prezes Gminnego Komitetu ZSL w Kamienicy, działacz rad narodowych i spółdzielczości wiejskiej

JERZY GRODECKI — szef WUSW, delegat na X Zjazd PZPR

HELENA GUŃKA — dyrektorka szkoły w Chochołowie, radna WRN

RYSZARD JACHNO — ordynator oddziału laryngologicznego w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym, radny WRN

JAN JUREK — działacz ZSL z Nowego Targu, długoletni radny

LUDWIK KAMIŃSKI — sekretarz KW PZPR, aktywny na niwie turystyki, prezes Aeroklubu Podhalańskiego

JAN KASPRZYCKI — naczelnik gminy nowotarskiej, działacz ZSL

EUGENIUSZ KOWALCZYK — przewodniczący związku zawodowego PBO „Podhale", wiceprzewodniczący WPZZ

MIROSŁAW LEBIEDZIEJEWSKI — dyrektor Sądeckich Zakładów Elektro-Węglowych, przewodniczący Rady Wojewódzkiej NOT

WŁADYSŁAW LEŚNIAK — przewodniczący Rady Narodowej w Rabce, długoletni działacz społeczny

MIECZYSŁAW MANTYKA — dyrektor Biblioteki Publicznej w Zakopanem, działacz SD

WŁADYSŁAW MIGACZ — starszy inspektor Wydziału Społeczno-Administracyjnego w Urzędzie Wojewódzkim

JAN NOWINOWSKI — nauczyciel, przewodniczący MRN i Miejskiego Komitetu SD w Nowym Targu

JOZEF PIOTROWICZ — sadownik z Janowic w gminie Jodłownik, radny WRN, działacz OSP

ALFRED POTOCZEK — kierownik Wydziału Społeczno-Prawnego KW PZPR, długoletni działacz partyjny

JANINA RAJSKA — sekretarz LZS w Poroninie, aktywna w propagowaniu sportu wiejskiego

ANTONI RĄCZKA — wojewoda nowosądecki, prezes Zarządu Wojewódzkiego OSP, delegat na X Zjazd PZPR

PIOTR SROMEK — 53 lata przepracował jako ogrodnik w zakładzie zieleni miejskiej Nowego Sącza

BOGUSZ WOŹNIAK — dyrektor Technikum Rachunkowości Rolnej w Jordanowie, radny WRN

WŁADYSŁAW ZIEMBA — emerytowany nauczyciel z Nowego Sącza, organizator tajnego nauczania podczas okupacji hitlerowskiej

TADEUSZ ZYGADŁO — I sekretarz Komitetu Gminnego PZPR w Łącku, organizator kultury regionalnej

---

ROMAN KOSTANECKI

Warto wiedzieć, że...

Wojewódzka Inspekcja Terenowa złożyła kontrolną wizytę w gminie **Uście Gorlickie.** Kontroli poddano sprawy ochrony mienia, stanu sanitarno-porządkowego, ochrony środowiska, funkcjonowania handlu, komunikacji oraz instytucji obsługi rolnictwa. Kontrolerzy nie stwierdzili większych uchybień stanu sanitarno-porządkowego w Zespole Szkół Rolniczych w Hańczowej oraz obiektach znajdujących się w Wysowej: sanatorium „Chemik", restauracja „Beskidzka" i Rozlewnia Wód PPU (co nie oznacza, że zrobiono już wszystko w zakresie ochrony przeciwpożarowej oraz porządku i estetyki). Znacznie gorzej było w placówkach handlowych. W sklepie nr 6 w Smerekowcu obok bałaganu i gryzoni stwierdzono brak podstawowych artykułów spożywczych: pieczywa i smalcu; a cukierki, olej, krem do golenia, pasta do zębów i klej gumowy były przeterminowane. Jeszcze większy bałagan zastali kontrolerzy WIT w sklepie nr 3 w Gładyszowie i w jego najbliższym otoczeniu. Klientom oferowano cuchnące śledzie, przeterminowany olej i takież landrynki. Brakowało zup i aromatów do ciast. Również w pawilonie handlowym w Uściu Gorlickiem brakowało asortymentowego minimum, nieczynna była zamrażarka, a w ladzie chłodniczej znajdowało się kilkanaście kilogramów zjełczałego masła śmietankowego. Bar „Pod Twardowskim" w tej samej miejscowości w ograniczonym stopniu prowadzi działalność gospodarczą, ale specjalizuje się za to w sprzedaży wódki oraz piwa na wolnym powietrzu, na co nie ma zezwolenia. Zakąską mógł być ser twarogowy po okresie przydatności do spożycia. Zabrakło ciepłej wody do mycia kufli oraz książeczek zdrowia personelu. W miejscowej piekarni do produkcji pieczywa używa się przeterminowanych drożdży. Magazynu towarów masowych — o godzinie trzynastej — nie udało się skontrolować, bo był już nieczynny. Za to na przyległym placu można było zobaczyć zdewastowaną przyczepę ciągnikową, śmietnik przeładowany śmieciami, niewłaściwie składowany złom i drut zbrojeniowy. Zespół kontrolny wystąpił z wnioskiem o ukaranie prezesa GS w Uściu Gorlickiem, kierowników sklepów — w Smerekowcu i Gładyszowie oraz kierownika stoiska spożywczego pawilonu handlowego w Uściu.

Do Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Uściu Gorlickiem kontrolerzy w zasadzie nie mieli zastrzeżeń, podobnie jak do zlewni mleka w Śnietnicy. Natomiast w RSP w Regetowie panował ogólny nieporządek, szczególnie w magazynach i silosach, a skóry owcze były nieprawidłowo konserwowane. Wiele uwag uzbierało się pod adresem Zakładu Usług Mechanicznych w Śnietnicy, gdzie ujawniono brak dyscypliny pracy, niewłaściwe prowadzenie kart drogowych, bałagan i brud w pokoju śniadań i w umywalni, a części zamienne i butelki po alkoholu — w szafkach odzieżowych. W stanie zupełnej dewastacji znajdowała się koparko-spycharka, sieczkarnia polowa i dwa ciągniki. Stwierdzono również rażące zaniedbania w zakresie ochrony przeciwpożarowej. Nieporządek w pomieszczeniach socjalnych, zdewastowanie dwóch kosiarek rotacyjnych, brak dyscypliny pracy oraz nieprawidłową gospodarkę paliwową zarzucono kierownictwu i załodze Zakładu Usług Mechanicznych w Smerekowcu. Obydwa te zakłady to filie SKR w Sękowej.

Pobocza dróg publicznych porośnięte są wysoką trawą i chwastami. To samo dotyczy rowów odwadniających. We wsi Banica w pasie drogowym składowane jest drewno, a estetyka ulic i chodników w uzdrowisku Wysowa wiele pozostawia do życzenia. Gmina Uście Gorlickie nie ma bezpośredniego połączenia autobusowego z Nowym Sączem, co jest dla wielu ludzi szczególnie uciążliwą delegliwością. W zakresie ochrony środowiska nie uporano się z „dzikimi" wylotami ścieków. Winni tego stanu ukarani zostali mandatami.

● Podobną kontrolę Wojewódzka Inspekcja Terenowa przeprowadziła w mieście i gminie **Jordanów.** Również tutaj krytycznie oceniono pracę handlu spod znaku GS „Samopomoc Chłopska". W sklepie nr 22 w Osielcu brakowało makaronów, drożdży, kompotów i konserw rybnych, a majonez i margarynę sprzedawano po okresie ich przydatności do spożycia. Późno dostarczane jest to sklepu pieczywo. Również w sklepie nr 23 w tej wsi brakowało: marmolady, drożdży, mięsa, wyrobów podrobowych, proszków do pieczenia i przypraw do zup, a urządzenia chłodnicze były niesprawne. W sklepiej nr 21 w Bystrej Podhalańskiej brakowało masła, sprzedawano przeterminowaną margarynę. W Naprawie natomiast nie było nawet margaryny ani też zamówień na towary, a w barze „Luboń" serwowano przede wszystkim piwo. Restauracja „Bystrzanka" w Bystrej ogranicza się w zasadzie do sprzedaży dań barowych z mrożonek oraz alkoholu w dużych ilościach. Kontrolerzy wysoko ocenili pracę SKR w Jordanowie, a jej prezesa **Zbigniewa Podsadeckiego** zaproponowali do wyróżnienia. Nie wniesiono większych zastrzeżeń do funkcjonowania magazynów towarów masowych w Jordanowie i Łętowni. Na niedostateczny oceniono zaś podobny magazyn w Bystrej, którego „specjalność" to bałagan i brud. W tejże wsi wzorowy ład i porządek panuje natomiast w filii SKR, którą kieruje **Kazimierz Kowalczyk.** Potrafią utrzymać porządek również pracownicy placówki terenowej PKS w Jordanowie. Szkoda tylko, że przystanki autobusowe zarośnięte są wysoką trawą i chwastami, a niektóre drogi źle oznakowane. Stan nawierzchni na drodze w Osielcu Górnym jest tak zły, że grozi przerwaniem komunikacji. W Toporzysku, Małej Sidzince, Osielcu oraz w rejonie stacji PKP oraz Zakładów Drzewnych w Jordanowie na poboczach dróg składowane są materiały budowlane, co zagraża bezpieczeństwu w komunikacji. Pozytywnie można ocenić gospodarkę ściekową w Jordanowie i okolicy. Nie dotyczy to jednak wsi Sidzina, gdzie Bronisława Z., Zofię K., ,Jana W. i Jana M. ukarano mandatami karnymi za odprowadzanie gnojowicy do potoków i rowów przydrożnych. Operacja „Posesja 86" w mieście i gminie została przeprowadzona zbyt liberalnie i mało konsekwentnie. Kontrolowane zakłady pracy nie posiadały decyzji o dopuszczalnej emisji zanieczyszczeń powietrza. Wiele niedociągnięć dotyczących stanu bezpieczeństwa i higieny pracy stwierdzono w Drzewnej Spółdzielni Pracy „Zryw" w Jordanowie, za co jej głównego mechanika ukarano mandatem karnym. Zły jest stan ochrony przeciwpożarowej Przedsiębiorstwa Zagranicznego „Scanproduct".

● Rozpisany został konkurs na „Najlepszy sklep i zakład gastronomiczny w obsłudze ruchu wczasowo-turystycznego i akcji żniwnej w sezonie letnim 1986 r.". W konkursowe szranki wstąpiło 326 sklepów i 74 zakłady gastronomiczne. Największą ilość placówek zgłosił do konkursu WZSR, bo aż 150. Szkoda jednak, że z tego pionu do konkursu nie przystąpiły placówki z takich turystycznych miast i gmin, jak Szczawnica, Jabłonka, Łapsze Niżne, Łącko, Kamienica, Jordanów, Mszana Dolna, Bukowina Tatrzańska, Czorsztyn, Łososina Dolna, Uście Gorlickie, Muszyna, Piwniczna i Nawojowa. Wśród uczestników konkursu nie ma takich restauracji jak „Kałużna" w Zabrzeży, „Pod Jabłonią w Łącku, „Margoń" w Nawojowej, „Pod Smrekami" w Piwnicznej i „Hawana" w Krynicy. Wydział Handlu UW uczekuje na dalsze zgłoszenia konkursowe oraz na wszelkie uwagi, oceny i spostrzeżenia dotyczące funkcjonowania placówek handlowych.

STEFAN CIEPŁY

Lustro statystyki

Świętując lipcową rocznicę spoglądamy zazwyczaj wstecz; bilansujemy osiągnięcia, sumujemy porażki, snujemy plany na przyszłość. Postanowiliśmy tym razem odbiec od tej tradycji na rzecz bardziej współczesnego ujęcia i chcemy zaproponować naszym Czytelnikom **spojrzenie w lustro statystyki.** Wprawdzie ma ono pewne właściwości deformujące, bo zgodnie ze statystycznym pojmowaniem rzeczywistości autor i jego pies mają przeciętnie po trzy nogi, ale nie wszystkie dane statystyczne mają przecież ów humorystyczny posmak. A warto chyba obejrzeć siebie, oraz ziemię na której mieszkamy, z zewnątrz. Jakaż jest w porównaniu z innymi regionami? Wiemy, że piękna, zasobna w utalentowanych ludzi, niepowtarzalna. Ale jak jest zagospodarowana? Czy jest kulturalna, czy zacofana, bogata czy biedna? Jak się plasuje na mapie kraju? Jest w czołówce czy wlecze się w ogonie?

Niestety, nie dowiemy się z roczników statystycznych, ani nawet od dyrektora Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego w Limanowej (Nowy Sącz jak dotychczas nie ma dla statystyków miejsca) Franciszka Górki, czy mieszkańcy województwa nowosądeckiego są szczupli czy też otyli, w jakim wieku przeciętnie umierają, czy są oszczędni czy szczodrzy, ile mają samochodów i ile wydają na alkohol w porównaniu z mieszkańcami innych województw. Przy opasłości naszych roczników, można by się spodziewać nieco więcej. I już to kiedyś braliśmy z historii... No ale i tak dowiemy się sporo, a lektura tego tekstu nie powinna nikogo znudzić. Czyta się dwadzieścia jeden minut.

Powierzchnia

Pod względem wielkości woj. nowosądeckie zajmuje 31 miejsce w kraju i liczy sobie 5,576 km kw. W nowym podziale administracyjnym największe jest województwo olsztyńskie (12,237 km kw) przed suwalskim, a najmniejsze łódzkie przed krakowskim. Cechą chrakterystyczną województwa obok najwyższego w kraju położenia ponad poziom morza jest też równoleżnikowa rozległość sięgająca 150 km od Orawy po Beskid Niski. Niepowtarzalny charakter ma też regionalna odrębność kulturowa poszczególnych krain: Spisza, Orawy, Skalnego Podhala, Gorców, Beskidu Sądeckiego, Beskidu Niskiego, Pogórza Ciężkowickiego itp. 42 proc. powierzchni województwa zajmują lasy, co daje mu pod względem lesistości czwarte miejsce w kraju, po zielonogórskim (48,3 proc.), krośnieńskim (47,1 proc.) i gorzowskim (44,5 proc.).

Pod względem administracyjnym cały ten obszar podzielony jest na 43 gminy (czternaste miejsce jeśli chodzi o liczebność jednostek administracyjnych). Najwięcej ma ich województwo kieleckie (69) przed siedleckim (66), najmniej łódzkie (11).

Ludność

W dniu 31 grudnia 1985 roku ludność województwa nowosądeckiego liczyła 667,4 tys. mieszkańców, co stawiało je na 19 miejscu w kraju. Najludniejsze było wtedy woj. katowickie z 3916,4 tys. mieszkańców, przed stołecznym, zaś najmniej obywateli posiadało woj. chełmskie 240,8 tys.

Znacznie precyzyjniej charakteryzuje jednak stan zaludnienia wskaźnik zagęszczenia mieszkańców na 1 km kw., który w Polsce wynosił 119 osób. Otóż sądeckie było tuż, tuż — 120 osób, natomiast najgęściej było zaludnione łódzkie (754 osób na km kw.) przed stołecznym, a najrzadziej suwalskie (41) przed łomżyńskim.

Nie mam danych porównawczych dla innych województw, ale warto zwrócić uwagę na skalę przyrostu naturalnego. Otóż na przestrzeni dziesięciu lat, tj. od chwili kiedy powstało województwo, przybyło mu 68,7 tys. mieszkańców, a gęstość zaludnienia na 1 km kw. wzrosła ze 107,4 do 120. Pod względem tempa przyrostu naturalnego wg aktualnego rocznika statystycznego 1985, który podaje dane na koniec 1984 roku, woj. nowosądeckie plasowało się z przyrostem 12,5 na tysiąc mieszkańców, na piątym miejscu w kraju, po słupskim, suwalskim ,olsztyńskim i elbląskim.

Swego rodzaju odzwierciedleniem tego tempa przyrostu jest **bardzo korzystna struktura wiekowa województwa, które należy do najmłodszych w kraju, i posiada 53,9 proc. mieszkańców w wieku do 29 lat.** Młodzieży w wieku przedprodukcyjnym jest 232 tys.; ludność w wieku produkcyjnym liczy sobie 360 tys., a w wieku poprodukcyjnym 76 tys., a więc około 11 procent. W minionym roku zawarto w nowosądeckim 4851 małżeństw i przeprowadzono 340 rozwodów. Kryzysu instytucji małżeństwa zatem nie odnotowuje się.

W tym samym roku urodziło się 14745 dzieci (wyższy przyrost był na wsi — 22,6 promille, a niższy w miastach — 20,4 promille — odwrotnie niż w kraju). Niezmiernie interesująco wygląda ta liczba, jeśli chodzi o wielodzietność. Otóż spośród tych czternastu tysięcy, jako pierwsze w rodzinie przyszło na świat 4585 dzieci, jako drugie — 4109 dzieci, jako trzecie — 2729, jako czwarte — 1570, jako piąte — 775, a jako szóste i dalsze — 997 dzieci. Można więc zaryzykować pogląd, że **wielodzietność jest znaczącą cechą rodziny nowosądeckiej.** Dodajmy jeszcze, że na 100 mężczyzn przypada w województwie aż 108 kobiet, panowie mają zatem nieuzasadnione powodzenie.

Mimo że 60,2 proc. ludności Polski mieszka w miastach, woj. nowosądeckie należało do grupy 24 województw o przewadze ludności zamieszkałej na wsi. Proces ten ulega jednak stałej ewolucji i jeśli w 1975 roku w miastach mieszkało w woj. nowosądeckim 31,8 proc. mieszkańców, to w 1985 już 35,7 proc. Największym miastem był naturalnie Nowy Sącz, który liczył w końcu ub. roku 70351 tys. mieszkańców, po nim był Nowy Targ — 30462, a trzecie Zakopane — 30114. Warto może jeszcze spojrzeć na to zjawisko w skali kraju. Otóż pomijając województwo stołeczne i łódzkie, najwyższe zaawansowanie urbanizacyjne posiadało woj. katowickie (87,7 proc. ludności w miastach), przed gdańskim, a największa liczba ludności wiejskiej mieszkała w woj. zamojskim — 74,9 proc. i ostrołęckim 68,7 proc.

Mieszkalnictwo

To, że sytuacja jest ciężka wszyscy wiedzą, ale że woj. nowosądeckie ze wskaźnikiem zagęszczenia 1,23 osoby na 1 izbę znajduje się na przedostatnim miejscu w kraju (gorzej jest tylko w tarnowskim — 1,26), to już jest mniej znana informacja. W tym samym czasie (stan na 31 XII 84) średnie krajowe zagęszczenie na 1 izbę wynosiło 1,04 osoby, a w niektórych województwach wg GUS, jak w opolskim, katowickim czy łódzkim nawet poniżej [illegible]95 osoby

Czy GUS się jednak nie myli? Skąd wobec tego brałyby się liczby 2,5 czy nawet 3,5 miliona osób oczekujących w kolejce mieszkaniowej? Czy liczby te nie są zaniżone, skoro w porozumieniach gdańskich, szczecińskich i z Jastrząbia, a także w uchwałach IX Zjazdu mówiło się o docelowym osiągnięciu w połowie lat dziewięćdziesiątych wskaźnika jednej izby na 1 mieszkańca? Coś tu nie gra, albo ja czegoś nie rozumiem.

Przejdźmy jednak do innych informacji GUS-owskich. Otóż przeciętna wielkość mieszkania w woj. nowosądeckim jest wysoka i wynosi 60,7 m kw. (dziewiąte miejsce w kraju), duże też są pokoje, bo przeciętna powierzchnia jednej izby wynosi 18,1 m kw. Ale to już łatwo się tłumaczy przewagą ludności zamieszkałej na wsi i wysokim, bodaj najwyższym w kraju procentem budownictwa indywidualnego, chociaż trudno nie docenić wysiłku władz wojewódzkich, które uzyskały wysoką, bo dziesiątą pozycję w kraju jeśli chodzi o nakłady na gospodarkę mieszkaniową.

Mimo to przyrost liczby mieszkań nie budzi zachwytu. W 1985 roku oddano do użytku 2542 mieszkania, z czego w miastach 1231, a na wsi 1311. Gospodarka uspołeczniona partycypowała w tym „dziele” ilością 964 mieszkań, a nieuspołeczniona 1578 mieszkaniami. Ponure są jednak nie te proporcje, lecz stały spadek liczby oddawanych mieszkań. I tak, w rekordowym roku 1978 oddano ich 3263, w 1980 już tylko 2740, w 1982 jeszcze mniej bo 2551, no i rok miniony (2542) też nie przyniósł postępu, choć tempo regresu uległo zahamowaniu. Podobne zjawisko ma zresztą miejsce w całej Polsce.

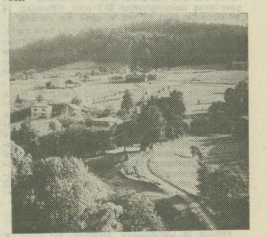

Fot. MIESZYSŁAW STASZEWSKI

Niezmiernie interesująco przedstawiają się dane dotyczące standardu mieszkań, pomieszczone w dużym roczniku statystycznym za rok 1985. Pokazują one zarówno dysproporcje w zaawansowaniu cywilizacyjnym poszczególnych regionów Polski, jak i skalę naszego dystansu do rozwiniętych krajów Europy. Dramatycznie także rysują się różnice między miastem a wsią. Województwo nowosądeckie nie należy do najbardziej zaniedbanych, powiedzmy to od razu, ale też szczególnych powodów do dumy, brakuje.

Zacznijmy od miast. I tak wodociąg posiadało w miastach woj. nowosądeckiego 80,5 proc. mieszkań, co daje województwu 12 miejsce od końca. Najgorzej było w miastach woj. białopodlaskiego, gdzie wodociąg posiada 65,4 proc. mieszkań, a najlepiej w elbląskim — 98,2 proc. i olsztyńskim — 96,2 proc. Jeszcze gorzej, bo na 11 miejscu od końca plasowało się woj. nowosądeckie jeśli chodzi o procent mieszkań wyposażonych w ustępy. Równocześnie najlepiej było w woj. gdańskim — 87.8 proc., stołecznym — 86,8 proc. i krakowskim — 86,1 proc., a najgorzej w wałbrzyskim — 58,3 proc. Także jeśli chodzi o gaz sieciowy w mieszkaniach, posiadało go zaledwie 32,2 proc. mieszkań w miastach, co sytuowało woj. nowosądeckie także na 11 miejscu od końca, przy czym trzy województwa (białopodlaskie, łomżyńskie i sieradzkie) nie posiadają go w ogóle, a dwa (ciechanowskie i konińskie) w śladowych ilościach. Wysoki poziom gazyfikacji osiągnęły natomiast miasta woj. wrocławskiego — 89,2 proc. legnickiego — 84.4 proc. i krakowskiego — 83,2 proc. I jeszcze dwa mierniki: łazienka oraz centralne ogrzewanie. To drugie posiada zaledwie 52,6 proc. mieszkań w miastach województwa, co plasuje nas na szóstym miejscu od końca. Najgorzej jest w wałbrzyskim — 43,7 proc. i przemyskim; najlepiej zaś w stołecznym — 80,3 proc. i rzeszowskim. Natomiast nieco wyżej byliśmy usytuowani pod względem liczby łazienek, w które wyposażone jest 67,5 proc. mieszkań, co daje nam 15 pozycję od końca. Tu znów najgorzej jest w wałbrzyskim — 52,7 proc., a najlepiej w rzeszowskim — 85,2 i krakowskim.

Ponieważ większość mieszkańców naszego województwa zamieszkuje na wsi, sądzę, że warto również te same wskaźniki przytoczyć teraz ze wsi. Ukaże się nam także przy okazji poziom cywilizacyjny naszej wsi.

I tak, jeśli chodzi o wodociągi, to woj. nowosądeckie zajmowało wysoką, bo ósmą pozycję w kraju, ze wskaźnikiem 55,7 proc. Średnia krajo-

(CIĄG DALSZY NA STR. 4)

Fot. STANISŁAW MOMOT

Lustro statystyki

(CIĄG DALSZY ZE STR. 3)

wa na wsi wynosiła pod tym względem 40,2 proc., najlepiej było w bielskim — 63 proc. i słupskim — 66,3 proc., a najgorzej w radomskim — 19,7 proc. a także chełmskim i kieleckim po 20.9 proc.

Ustępy na wsi posiadało 26,7 proc. mieszkań, to jest nieco ponad średnią krajową (25,1 proc.), przy czym w najlepszym pod tym względem województwie słupskim ustępy były tylko w 38,9 proc. mieszkań, a w najgorszym — ciechanowskim w 13,8 proc. Jeśli chodzi o ilość **łazienek** to również i pod tym względem nasze województwo lekko przewyższało na wsi średnią krajową wynoszącą 29,8 proc. (u nas — 31,1 proc.). Pod tym względem najlepiej było w katowickim 50,4 proc. i bielskim, a najgorzej w radomskim — 16,4 proc. i chełmskim.

Ostre dysproporcje między miastem i wsią jawią się zwłaszcza jeśli chodzi o wyposażenie w gaz i c.o. I tak **gaz** posiada 1,4 proc. mieszkań na wsi nowosądeckiej, przy średniej krajowej 2,2 proc. i dwóch województwach dominujących zdecydowanie pod tym względem, a to krośnieńskim — 24,3 proc. oraz zielonogórskim 20,3 proc. Natomiast 14 województw gazu na wsi w ogóle nie posiada.

I na koniec **centralne ogrzewanie**. Pod tym względem wieś woj. nowosądeckiego plasuje się na szarym końcu, bo na 47 miejscu, ze wskaźnikiem 13,5 proc. Gorzej jest tylko w krośnieńskim i przemyskim. Najlepiej natomiast w szczecińskim — 33,2 proc. i katowickim.

Myślę, że choćby tylko dla tej statystyki warto było studiować rocznik GUS-u. I już na zakończenie tematu mieszkaniowego jedna ciekawostka. Otóż aktualnie w budowie na terenie woj. nowosądeckiego znajduje się tylko 165 dacz. W roku 1985 ukończono 27 dacz, podczas gdy w 1980 jeszcze 79. W porównaniu z naszymi południowymi sąsiadami jesteśmy daleko „w lesie”, ale też widać z powyższych danych, że znacznie ważniejsze przed nami stoją zadania, jeśli chcemy gonić Europę i świat cywilizowany.

Zatrudnienie, płace

Pewnie to Czytelników zaskoczy, ale tylko w teorii woj. nowosądeckie jest pozbawione przemysłu. Otóż według statystyk zatrudnienia, wśród 49 województw, jeśli chodzi o ilość osób zatrudnionych w przemyśle, nowosądeckie plasuje się na 28 miejscu, a więc w okolicy środka, a nie na końcu. Zbliżona sytuacja jest z zatrudnieniem w budownictwie (29 miejsce). Łącznie gospodarka uspołeczniona zatrudnia 172 868 osób, a nieuspołeczniona 17 112. Do tej drugiej wypada chyba zaliczyć jeszcze 7370 wykonujących pracę nakładczą i... 3947 ajentów.

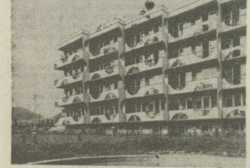

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Charakterystyczną cechą zatrudnienia jest **dwuzawodowość**. Aż 63 tys. osób dojeżdża do pracy, mieszkając w innej miejscowości. Znaczy to, że co trzeci robotnik jest chłoporobotnikiem, choć niekoniecznie o tym marzy. Marzy raczej o mieszkaniu w mieście. **Prawie co dziesiąta osoba zatrudniona w gospodarce uspołecznionej przebywa na urlopie wychowawczym.** Warto podkreślić, że nie zawsze jest nią matka. Fluktuacja kadr w nowosądeckiej gospodarce utrzymuje się w pobliżu średniej krajowej i wyniosła w 1985 roku 30 492 osoby. Natomiast zaskakujące jest inne porównanie. Otóż **na emerytury poszło w 1985 roku 991 osób, a na renty aż 2278** Zjawisko to warte jest bliższego zbadania.

Wreszcie płace. Wiadomo, że nie są one najwyższe, bo też nowosądeckie różni się jednak od katowickiego swym charakterem. W 1985 roku średnia płaca w gospodarce uspołecznionej województwa wyniosła 17 115 zł, przy czym w przemyśle była najwyższa — 18 723 zł, w budownictwie

(CIĄG DALSZY NA STR. 5)

SŁAWOMIR SIKORA

SZKIC DO PORTRETU

Mój rozmówca — **rocznik 1956**, pochodzenie chłopskie, kierowca-mechanik z zawodu — nie chce, by nazywać go działaczem („*bo słowo to wyblakło, straciło na znaczeniu*”). Ale jakżeż inaczej określić kogoś, kto równocześnie jest sekretarzem Komitetu Gminnego partii, przewodniczącym ZSMP i LZS, komendantem ORMO, wiceprzewodniczącym TPPR i LOK, zasiada w gminnych prezydiach PRON, PCK i komitetu przeciwalkoholowego, w Radzie Nadzorczej GS oraz w komisji dzielącej maszyny rolnicze i materiały budowlane?

Zaczęliśmy tę rozmowę od domu rodzinnego, od ludzi najbliższych wypełniających ten dom, a doszliśmy do rachunku życiowych zysków i strat **CZESŁAWA KOSIŃSKIEGO**, trzydziestolatka z Korzennej, wkorzenionego w wiejską glebę i wiernego swej rodzinnej ziemi.

*

Dom. Kryty strzechą. Przygarbiony wiekiem. Dom z ubitą ziemią — polepą zamiast najlichszej drewnianej podłogi. Na ścianie rząd rodzinnych zdjęć i świętych obrazków. Izba pachnąca słomą, parowanymi dla żywizny ziemniakami, mlekiem, zacierką, serwatką, dymem machorki... Chałupa postękująca bydłem przeżuwającym pracowicie strawę. Cienka ścianka oddzielająca izbę od obory, stajni i kurnika. Kraciasta chustka, w której — jak w skarbcu — trzyma się pieniądze, wydzielając gospodarnie po groszu. Czas odmierzany porami obrządku — żądająca pługa, kosy, kopaczki, ręki z ziarnem ziemia.

— *Dziadek Michał. Pamiętają go ludzie. Z dobrej roboty słynął. Z postawy i wąsów przypominał Witosa. Nawędrował się w pierwszej wojnie. Był aż na Alasce. Był w niewoli. W jakim mundurze? Nie pamiętam. Opowiadał nam to, jak byliśmy mali. Gdzieś w Rumunii, widział Franciszka Józefa. Urodził się jeszcze w tamtym wieku. Zmarł, gdy wróciłem z wojska w 1977. Lubiłem go słuchać. Ciekawiła go polityka. Krzepki był. W siedemdziesiątym roku życia szybciej wskakiwał na konia niż niejeden młodzieniaszek. Pamiętam, bo założył się z kolegą o flaszkę. Wygrał. Do dziś mam po nim pamiątkę: prawdziwą ułańską szablę. Przydawała się, jak chodziliśmy z Herodem po kolędzie. Imponował mi dziadka upór. Może inaczej: zdecydowanie, umiejętność podejmowania decyzji.*

Ojciec miał te same cechy, co dziadek. Dobry fachowiec. Stolarz. Skończył tylko podstawówkę, a był nawet brygadzistą. Nie pytali się go o papiery. Za niego mówiła robota. Przez 10 lat pracował w Czechosłowacji. Wrócił w 1970. Pracował, żeby rodzinie było lżej. Kupił nowy dom, gospodarstwo 3-hektarowe. Był i jest wymagający. W pracy dokładny. Uczył tego i nas.

Matka, jak to matka... Ciągle o synach, za synami. Broniła przed ojcem. Do 12 roku byłem jedynakiem. Ojciec za granicą. Byłem, jak to się mówi, trudnym dzieckiem... Zawsze, odkąd pamiętam, ciągnął mnie las. Blisko był, może dlatego. Ciągle mi śpiewał, tańczył. Próbowałem dostać się do Technikum Leśnego. Nie udało się. Zostałem samochodziarzem, ale jakbym dostał dobrą pracę, poszedłbym do lasu...

Zaznałem trochę biedy. Ona nauczyła mnie zaradności, samodzielności. Dobrze było, jak na obiad była zacierka (to takie drobne kluski na mleku) albo kasza. Długo biegałem na bosaka. W krótkich spodenkach na szeleczkach. Zabawką była mi „rowka”: kółko, które popychało się patykiem. Raz w zimie dziadek zrobił mi sanki. Ze starego łóżka. Jeździłem tydzień. Kiedy je roztrzaskałem, drugich nie było z czego zrobić. Jak większość chłopaków we wsi, interesowałem się Wyścigiem Pokoju. Dyskutowaliśmy, kłóciliśmy się — kto wygra, kto lepszy. To przez Jana Magierę. Pochodził z wioski obok, z Jelnej. Ojciec opowiadał, jak on trenował na naszych niby-drogach, pełnych błota, wyrw. Może dlatego był najlepszy na szas. Przez Wyścig Pokoju i Magierę ojciec kupił radio...

*

— *W szkole byłem chuliganem. Nie wiem dlaczego. Może wyobrażałem sobie, że to spodoba się dziadkowi? Chodziłem do szkoły z szablą. Za karę stawiany byłem do kąta. Wymyślna kara. Musiałem wyciągnąć ręce przed siebie i trzymać na nich dziadkową szablę.*

Nauczycielka języka polskiego wywarła na mnie wpływ najsilniejszy. Kiedy coś zbroiłem, brała mnie na rozmowę. Czasem krzyknęła. Częściej załamywała ręce. Tłumaczyła. Zostawała po lekcjach i uczyła mnie, gdy dostałem dwóję. Chyba w piątej klasie zacząłem się zmieniać. Zaległości w nauce miałem sporo. Szóstą, siódmą klasę kończyłem jeszcze z „dostatami”. Po ósmej nie miałem żadnej trói. Chciałem zostawić po sobie dobre imię.

Dowartościowania szukał w sporcie. Reprezentował szkołę w każdych zawodach. O swoim trzecim miejscu wywalczonym w zawodach saneczkowych mówi z przejęciem. Nic to, że w rywalizacji w gminie.

Jako jeden z nielicznych w szkole czytał „Politykę”, „Trybunę Ludu”, „Gromadę”... Z wychowania obywatelskiego miał piątki. Coś ciągnęło do wielkich spraw, spraw dziejących się daleko od Siedlec...

*

Szkoła średnia wiąże się z pierwszymi krokami Cześka w organizacji młodzieżowej. Początek lat siedemdziesiątych. Każdy szczebel szkolnej edukacji nobilitował. W domu o szkole średniej mówiło się z nadzieją na łatwiejszy chleb. ZMS przyszedł w pierwszej klasie. Wabił słowami starszych kolegów, przyciągał miejskością.

— *Stało się to po prostu. Działacze szkolnej organizacji przyszli na lekcję wychowawczą. Przybliżyli organizację, to co robią. Zdecydowałem się. W ZMS nie pełniłem żadnych funkcji. Podpisałem deklarację. Płaciłem składki. Ale nie mam czym tego udokumentować: nie dostałem legitymacji. ZMS jakby zapomniał o nas. Niewiele też o organizacji mogę powiedzieć. Czasem dostaliśmy do zrobienia gazetkę. Czasem uczestniczyliśmy w uroczystościach szkolnych. W tej szkole bardziej interesowałem się nauką. Po zasadniczej poszedłem do technikum. Zrobiłem dwie klasy, ale niestety... Ojciec pracował. Na gospodarstwie chora mama, przez długie miesiące była w szpitalu. Trzeba było przerwać naukę, zająć się gospodarstwem i bratem. Później skończyły się kłopoty, ale ja ciągle odkładałem szkołę: wojsko, praca, wreszcie organizację postawiłem na pierwszym miejscu. Ale nie rezygnuję. W nieskończoność odkładać nie mogę. Jakbym miał średnie wykształcenie, to może inaczej potoczyłoby się moje życie?*

*

Jeszcze w szkole podstawowej Czesiek zaczął jeździć w wakacje do pracy w Opolskie, do p. Kołodzieja. Zrywał czereśnie, zbierał ogórki, pomidory. Zazdrościł gospodarzom nowego domu, traktora, samochodu.

— *Wracałem po dwóch miesiącach z groszem w kieszeni. Miałem na chałat, książki, na własne wydatki. Nie chciałem, nie mogłem prosić rodziców o pieniądze. Trzeba było spłacić pożyczki za dom, gospodarstwo, wyposażenie. Jeździłem przez pięć lat. Kołodziejowie lubili mnie. Miałem smykałkę go gospodarstwa. Przydała się twarda szkoła ojca...*

Pierwsza praca: Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Pierwsza wypłata: 1350 zł. Pierwszy kopniak — nauczka...

— *W szkole jeździłem samochodem, który miał dźwignię biegów przy kierownicy. W przedsiębiorstwie dostałem auto z biegami w podłodze. Jak do tego podejść? Pomógł kolega. Ale nie na wiele się to zdało. Po jeździe dyrektor zastanawiał się, czy mnie nie zwolnić...*

Z kartą powołania w kieszeni pojechał do Kwidzynia, nie mówiąc matce, że założy mundur. Po dwóch tygodniach przysłał pozdrowienia.

— *Wojsko to szkoła życia. Nauczyło mnie wiele. Pachnie to sloganem, ale ile w tym prawdy, wie ten, kto miał mundur. Podobało mi się podejście organizacji młodzieżowej: Socjalistycznego Związku Młodzieży Wojskowej. Wstąpiłem jesienią 1975. tydzień po przysiędze. Na wiosnę byłem już przewodniczącym koła. Później zostałem szefem Zarządu Brygadowego. Spodobało mi się współzawodnictwo między kołami. Wygrywaliśmy. Znalazłem wspólny język z kolegami. Słuchali mnie nawet starsi. Może dlatego ominęły mnie żarty, często przykre, „starego wojska”. Moja kompania była najlepsza przez 1,5 roku w jednostce. We wszystkich rywalizacjach. Na 40 ludzi mieliśmy 18 członków Partii i prawo rekomendacji. Mnie też do Partii wprowadziła w 1976 r. moja organizacja młodzieżowa. Wstąpienie do ZSMW, później do PZPR było o wiele bardziej świadomym krokiem niż podpisanie deklaracji do ZMS. W wojsku wiele mówiło się o światopoglądzie, wychowaniu, polityce, Partii... Zdecydowałem się. Górnolotnie mógłbym powiedzieć, że pociągnęła mnie idea. Teraz nie wyobrażam sobie, abym nie działał społecznie.*

Dwa lata w mundurze. Zajmują w pamięci Cześka więcej miejsca niż dzieciństwo, szkoła. Do cywila wyszedł z dewizą, którą zaczął mu wpajać ojciec: wymagać najpierw od siebie, później od innych.

Do Siedlec wrócił „zarażony”... organizacją. Musiało się ciągle coś nowego dziać w jego życiu. Zaczęli się rozglądać za pomieszczeniami. Znaleźli u p. Świdra. Naczelnik płacił czynsz, Gminna Spółdzielnia dała wyposażenie. Młodzi zakasali rękawy. Udało się, więc zabrali się za inne prace społeczne. Ludzie przyglądali się ich poczynaniom z niedowierzaniem. Ale powoli zaczęli spoglądać życzliwiej. Młodzi ujęli ich tym, że nie zamknęli się we własnym gronie. Na spotkania, imprezy zapraszali wszystkich. Robili niespodzianki dzieciom i starszym.

— *Życzliwie pomagał nam I sekretarz POP we wsi — Jan Nowak. Pięciu najlepszych kolegów rekomendowaliśmy do Partii i otrzymaliśmy prawo rekomendacji. Liczono się z nami, pokazaliśmy, że zasługujemy na zaufanie. Inaczej się pracuje, gdy ktoś dostrzeże, uszanuje, pochwali... Założyliśmy koła Honorowych Dawców Krwi, Ludowych Zespo-*

łów Sportowych. Współpracowaliśmy ze strażakami, Kołem Gospodyń Wiejskich. Po podsumowaniu współzawodnictwa w gminie okazało się, że spośród kół jesteśmy najlepsi. W 1980 r. otrzymaliśmy wyróżnienie szefa Federacji.

Dobrała się wspaniała grupa: Lucjan Pawlik, Barbara Rosiek i jej siostra, Józef Nowolipski, Krystyna Matusik, Anna Gołąb, Leokadia Wolińska, Stanisława Pękała... Jak trzeba było, to dzień i noc, chłopaki i dziewczyny, pracowali przy remoncie klubu, przygotowaniu imprezy.

Po wygranym współzawodnictwie zaproponowano mi funkcję przewodniczącego Zarządu Gminnego. Ale wcześniej, prawie z marszu zostałem szefem koła w swojej wsi. Z jednostki przyszedł list do Zarządu Wojewódzkiego. List pochwalny. Koledzy powiedzieli o tym w gminie. Jasiu Chronowski, który był wówczas przewodniczącym, mówi do mnie: „Wojsko cię chwali, spróbuj u siebie".

✡

— O wprowadzeniu stanu wojennego dowiedziałem się w poniedziałek. W sobotę miałem imieniny u kolegi. W niedzielę pracę w domu, później „poprawiny"... Zostałem zmobilizowany. Byłem na to przygotowany. Skierowano mnie na posterunek milicji w Korzennej, a więc do siebie. Gmina była spokojna i w czasie „Solidarności", i w stanie wojennym. „Solidarność" wiejska była dość mocna, ale ataków na władzę nie było. Czasem „napadano" na naszą organizację, ale to było słabe echo tego, co działo się w kraju. Niektórym nie podobało się to „s" w nazwie Związku. Nagabywano kolegów: „wypiszcie się; ci, co doprowadzili kraj do takiego stanu, was teraz uczą, jak bałaganić..." Niektórzy koledzy odeszli. Często decydował nacisk rodziców. Ojciec był w „Solidarności", kazał się synowi wypisać z ZSMP. Niewielu się potrafiło sprzeciwić. Nie miałem w Gminie przypadku demonstracyjnego rzucenia legitymacji. Po prostu przestawali koledzy przychodzić na zebrania, przestawali płacić składki.

Na dole w gminie nie było mocnych, żeby rozpatrzyć się w tym, o co chodzi. Wszyscy staliśmy przed zupełnie nową sytuacją, do której nie byliśmy przygotowani. Bałagan w kraju, bałagan w myślach. Wiele jeździłem w tym czasie po gminie. Do kolegów w kołach. Starałem się choć raz w tygodniu być u każdego przewodniczącego, aby pogadać, doradzić, podtrzymać na duchu...

✡

— Kiedy zostałem przewodniczącym Zarządu Gminnego, przeraziłem się... W roku 1980 odeszła z funkcji przewodnicząca Zarządu i nic się u nas nie działo. Nikt nie czuł się na siłach, żeby pokierować organizacją. Wystarczył rok, aby ZSMP niemal się rozpadł. Uważałem, że łatwiej byłoby mi tworzyć organizację od podstaw, niż klecić, odbudowywać to, co jeszcze z niej zostało. Zacząłem jeździć do kolegów po wsiach. Ale szedłem już po tropach ZMW, który powstał w 1981. Dochodziło do konfliktów z kolegami z bratniej organizacji. A młodzi? Czy można mieć do nich pretensje? Chcieli pracować. Szli tam, gdzie mogli, gdzie ich chciano, gdzie coś się działo. Oczywiście, było wytykanie kolorów, który lepszy, który gorszy... Wielu kolegów pogubiło się. Nie wiedzieli, co robić. Przyjęli bierną postawę, przyglądali się, co z tego wyniknie. Znowu pomógł mi Jasiu Chronowski. Powiedział do kogo iść, z kim i jak rozmawiać. Jeździliśmy też razem. Wsparli nas dyrektorzy szkół. Wsparł Komitet Gminny Partii. Odradzały się koła. Praca ruszyła. Bez wielkiej polityki. Wspólnie radziliśmy co robić, co nas intryguje, czemu podołamy...

Czy ktoś powie, że bezcelowa jest pomoc starszym ludziom przy sprzęcie zbóż? Ten kłos jest rzeczywiście na wagę złota, a w naszej gminie są osoby, które przychodzą do nas, do urzędu i proszą o wsparcie, bo bez nas mieliby ogromne kłopoty z zebraniem tego, co zostało z takim trudem zasiane.

Jak rozmawiać z młodzieżą? Przede wszystkim szczerze i zwyczajnie. Językiem prostym, bez wielkich słów. Nie chcą „mowy — trawy". Parę razy, już jako przewodniczący, miałem dość tej pracy. Nauczony byłem, że jak się za coś wziąłem, to mi się udawało. A tu, w paru przypadkach — kłody pod nogi. Bałem się, że to, co do tej pory udało mi się wypracować — zaufanie, autorytet — teraz przy jakimś potknięciu stracę... Na szczęście wsparli mnie starsi koledzy: Zdzisław Pawlik, Stanisław Damasiewicz, Zbigniew Gołąb, Grażyna Stawiarska. Nie zawiedli.

Co mnie w tych gorących czasach dziwiło, to niezrozumiała, gwałtowna zmiana poglądów. W moich Siedlcach chcieli założyć koło koledzy z bratniej organizacji. Zaprosili ZSMP-owców i kolegów niezrzeszonych, ale nie poprosili przewodniczącego koła. Dowiedziałem się o tym i poszedłem. Byłem sam. Ich trójka z Nowego Sącza. Tłumaczyłem, przekonywałem. Mówili oni. Ale koła nie założyli. Koledzy z naszej organizacji nie uważali, że poglądu, jak rękawiczki, można zmieniać co sezon...

Powiedzieć, że pełno nas w gminie, to może przesada. Ale widać nas i mamy się z czym pokazać. Starszych ujęliśmy tym, że powracamy do dawnych tradycji: dożynki, grupy kolędnicze. Imprezy przygotowujemy wspólnie, bo my nie pamiętamy przyśpiewek, gadek. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że każde święto plonów to sprawa całej gminy. Wszyscy są zainteresowani, aby godnie wypadły. Ale jest to punkt honoru przede wszystkim nas, z ZSMP. My zaproponowaliśmy, aby wrócić do tej tradycji, my jesteśmy głównymi organizatorami.

✡

— Dostrzegam, że coraz trudniej dotrzeć do młodszych kolegów. Nie chcą angażować się. Nigdzie. Kibicowanie jest wygodniejsze. Może boją się odpowiedzialności? Też się boję. Przez te lata zmienili się ludzie w kołach, w instancji. Zastanawiam się, jak oni zachowają się, gdy mi się coś nie uda? Co powiedzą?

Obserwuję kolegów poza organizacją, gdy wyjeżdżają do szkoły, do miasta. Czasem mam wrażenie, jakbym rozmawiał z zupełnie innymi osobami... Łapią ten niby miejski styl: forsa, szpan, ciuchy, dysko, dziewczyny, alkohol. Wnet się wsi wyprą. Koledzy w organizacji są inni. Pociągnie ich sport, kultura, szkolenie w zawodzie. Ale jeżem się ustawiają, gdy zaczyna się mówić o polityce, wychowaniu ideowym. Udało nam się przełamać nieco ich opory. Dowodem są spotkania w ostatniej Dekadzie kół ZSMP, poświęconej programowi Partii przed Zjazdem. Zauważyłem, że wielu kolegom brakowało wiadomości, ale chcieli rozmawiać. Co ciekawe, więcej nawet dyskutowali niezrzeszeni. Nie miałem przypadku w gminie, aby któreś zebranie nie odbyło się. Ale na taki wynik trzeba zapracować. Nie wystarczy tylko wywiesić ogłoszenie. Musi się dotrzeć do koła, do członków, wytłumaczyć, jeśli mają wątpliwości.

Nie wszyscy patrzą tylko na własne sprawy. Ale większość rachuje bardzo precyzyjnie i praktycznie. Ucieknie nam w końcu młodzież ze wsi, jeżeli nie będzie się przeciwdziałać. Do tej pory jedynie mówi się, że trzeba, że należy. Warunki życia na wsi — ciężkie. Kłopoty prawie ze wszystkim. Zakupy — problem, dostanie przydziału na materiały budowlane — problem. A w mieście: osiem godzin, chlebek lżejszy. Domy kultury, drogi, szkoły — dostaje się w prezencie... Na wsi wszystko ludzie muszą sobie wypracować.

✡

Śmieje się Kosiński, gdy mówię o nim: „człowiek — choinka". Śmieje się i zaprzecza: nie jest tylko statystą w tych wszystkich organizacjach, w których sprawuje funkcje. Doliczyliśmy się ich 11.

— Statystą nie jestem nigdzie. Sam się zastanawiam, jak daję radę, żeby być na wszystkich zebraniach, wywiązać się z obowiązków, ale udaje mi się. Uważam, że my, jako organizacja — musimy być wszędzie, żeby faktem stało się hasło: „nic o nas, bez nas". Jeśli gdzieś nie jesteśmy reprezentowani, to jak mamy się upominać o młodych? W naszej gminie mamy 10 młodych radnych z ZSMP, dwóch sołtysów. W Łęce na 7 osób w radzie sołeckiej aż 5 to nasi koledzy z organizacji. Tam, gdzie byliśmy w kampaniach wyborczych, zauważono nas i dano mandat zaufania.

Pytałeś mnie o mój własny bilans. No, cóż — przygotowuję się powoli do odejścia z funkcji. Chciałbym jeszcze, aby udało mi się dobrze przeprowadzić wszystkie przedsięwzięcia związane z wręczeniem sztandaru gminnej organizacji. Oczywiście, nie zamierzam wyłączyć się całkiem z działalności społecznej, ale trzeba pomyśleć i o sobie. Coraz mniej mam czasu na ukończenie szkoły. Nie zdążyłem się ożenić, zagospodarować. Wszystko czego się dorobiłem jest w tym pokoiku: kolorowy telewizor, wersalka, trochę ubrań... Może za mało myślałem o swoim prywatnym życiu? Nachodzą mnie takie myśli czasem, ale nie mogę powiedzieć, żebym nie miał satysfakcji z tej pracy. Może ktoś mi zarzuci, że to wszystko co opowiedziałem, zbyt ładnie wygląda. Ale to prawda. Nie powiedziałem — rzecz jasna — wszystkiego. Są sprawy o których trudno publicznie mówić. Gdy działasz, musisz z ludźmi żyć w zgodzie.

(Praca nagrodzona w konkursie „Czas wyboru i dojrzewania" — ogłoszonym przez ZW ZSMP w dziesiątą rocznicę powstania Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej).

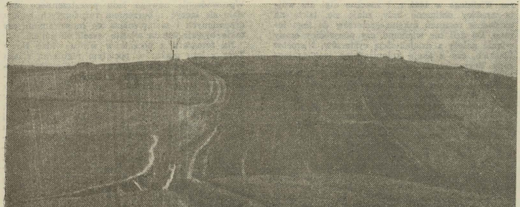

Fot. ZBIGNIEW KOT

Lustro statystyki

(CIĄG DALSZY ZE STR. 4)

— 16 793 zł. w oświacie — 16 402 zł. w administracji państwowej — 18 025 zł. w ochronie zdrowia — 14 037. w kulturze i sztuce — 14 037 zł. Publikowane przez „Rzeczpospolitą" co kwartał dane GUS-owskie pozwalają porównać tę sytuację z płacami w kraju.

Rolnictwo

Obfituje w kontrasty. Zacznijmy od plonów z czterech zbóż i ziemniaków. Pod tym względem, z wydajnością 22,6 z hektara i 125 kg województwo nowosądeckie znajduje się na ostatnim miejscu w kraju. Ale to zrozumiałe — warunki klimatyczne i glebowe województwa rzutują na to w sposób naturalny. Drugim skutkiem tych okoliczności jest także ostatnie miejsce pod względem hodowli trzody chlewnej na 100 ha, która wynosi 36,2 sztuki przy średniej krajowej 93,5 sztuki. Ale za to województwo dzierży prym jeśli chodzi o hodowlę bydła (52,7 sztuki na 100 ha), a także owiec (81,7).

Ze względu na warunki krajobrazowe, umaszynowienie rolnictwa jest niewysokie. Na 100 ha użytków rolnych przypada tutaj 3,1 ciągnika, podczas gdy w opolskim 5,9. Mniej traktorów niż woj. nowosądeckie ma już tylko katowickie.

Gospodarka rolna ma tu też charakter tradycyjnie rozdrobniony. Spośród 85 900 gospodarstw indywidualnych, aż 30 600 posiada powierzchnie od 0,5 do 2 ha, a jedynie 1500 gospodarstw przewyższa 15 ha. Tradycyjnie także region ten stanowi bastion owoców i warzyw. W rekordowym roku 1982 zebrano np. 86 847 ton owoców, podczas gdy w ubiegłym 37 807 — no ale to już jest kwestia urodzaju. Mimo marnych w zasadzie gleb niepokoi fakt, **że w 1984 roku ubyło z upraw rolnych w województwie 1175 ha na rzecz przemysłu i mieszkalnictwa.** Było to tempo bardzo wysokie, bo sytuujące województwo na 10 miejscu w kraju. Jednocześnie tylko dwa województwa odnotowały przyrost terenów uprawnych (krośnieńskie i katowickie, w żadnym stopniu nie wyrównując stałego procesu ubytku ziemi, która ma nas wyżywić.

Komunikacja i łączność

Ze względu na ukształtowanie topograficzne terenu województwa zarówno sieć linii kolejowych, jak i dróg nie jest zbyt gęsta, ale też nie przysparza powodów do rozpaczy. Długość linii kolejowych wynosi tylko 308 km, a i tak daje to województwu 15 miejsce od końca, a więc nie najgorsze. Najgęstszą sieć kolejową ma naturalnie katowickie, przed... jeleniogórskim. Natomiast sieć dróg o twardej nawierzchni wynosi 42,1 km na 100 km kw. i tylko nieznacznie mniejsza jest od średniej krajowej (49,1), co przy tych warunkach geograficznych uznać można za zupełnie przyzwoite nasycenie.

Zasadniczą funkcję przewoźnika sprawuje w tych warunkach PKS, który przewiózł w 1985 roku 67 700 mln obywateli. To już czysta astronomia, a czytelnicy sami wiedzą, że do autobusu PKS dostać się niełatwo.

Nieco zaskakuje rozbieżność liczb między dużym rocznikiem statystycznym, a danymi Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego, jeśli chodzi o łączną ilość pojazdów samochodowych, tak państwowych, jak prywatnych. Według rocznika było ich w 1984 roku 6850, w tym 3426 aut osobowych, z czego 3369 stanowiły auta prywatne. Natomiast wg danych WUS rok później pojazdów zarejestrowanych w województwie było łącznie 96 400, z czego aut osobowych było 42 600, w tym prywatnych 42 000. Coś tu się nie zgadza. Tak czy owak statystyki GUS nie podają stopnia nasycenia samochodami w rozbiciu na województwa, więc nie będzie można dokonać interesujących porównań.

Mamy za to tabele porównawcze województw pod względem liczby urzędów pocztowych (nowosądeckie ze wskaźnikiem 3 na 10 tys. mieszkańców, przy średniej krajowej 2,2 jest w drugiej dziesiątce). Znacznie bardziej ciekawe wydaje się nasycenie telefonami, które obrazuje wskaźnik liczby abonentów na 1000 mieszkańców. Wyniósł on w 1984 r. w nowosądeckim 46,3, przy średniej krajowej 63,4 (i znaczącej dominacji stolicy pod tym względem — 153). Na drugim miejscu była Łódź — 103,4 a na trzecim szczecińskie — 92,6. Na końcu natomiast znajdowały się zamojskie — 36,3, ostrołęckie — 37 i siedleckie — 38. Warto wszakże dodać, że **nowosądeckie telefonizuje się bardzo intensywnie**, a jeszcze w roku 1980 wskaźnik nasycenia telefonami wynosił tylko 40. W minionym zaś roku nasycenie wzrosło do 48,8. Tempo godne pochwały.

(CIĄG DALSZY NA STR. 6)

Lustro statystyki

(CIĄG DALSZY ZE STR. 5)

Ochrona zdrowia i środowiska

Poziom opieki zdrowotnej mierzy się u nas zazwyczaj ilością lekarzy i łóżek na 10 tys. mieszkańców oraz śmiertelnością niemowląt na 1000 urodzeń żywych. Przydatność obu pierwszych mierników, zdaniem autora, jest dość ograniczona, choćby z tego powodu, że ilość lekarzy nie przechodzi automatycznie w jakość, a w schematach organizacyjnych mogą tkwić zarówno bodźce jak i hamulce wydajnej służby. Także ilość łóżek, choćby największa, wcale nie musi oznaczać ich optymalnego wykorzystywania. Ale zostawmy te dywagacje na boku.

Pod względem liczby lekarzy woj. nowosądeckie, ze wskaźnikiem 16,7 na 10 tys. (przy średniej krajowej 19,6) było na 14 pozycji w kraju. Najlepiej było we wrocławskim, bielskim i krakowskim, gdzie liczba lekarzy oscylowała wokół 30, a najgorzej w siedleckim (9,7) i ostrołęckim oraz zamojskim (koło 10). Ale... no właśnie, przejrzystość tego wskaźnika mąciło zatrudnienie lekarzy mieszkających w woj. nowosądeckim w sanatoriach, które wcale nie pracują na rzecz miejscowej ludności. I podobnie rzecz się ma z łóżkami, których jest 56,4 na 10 tys. mieszkańców, przy średniej krajowej 59,1, ale i tu wliczane są niektóre łóżka sanatoryjne. Natomiast jeśli chodzi o zgony niemowląt na 1000 urodzeń żywych, to nowosądeckie było minimalnie lepsze od średniej krajowej (19,1). Pod tym względem zamojskie przoduje w skali kraju (13,0), co raz jeszcze dowodzi, że ilość lekarzy nie przesądza o poziomie opieki zdrowotnej, natomiast najwyższa śmiertelność niemowląt była w woj. łódzkim — 25,2, posiadającym czwarte miejsce w kraju jeśli chodzi o ilość łóżek szpitalnych.

Fot. CAF — OLSZEWSKI

W 1985 roku zmarło 6262 mieszkańców województwa, z czego 1562 przed osiągnięciem 60 roku życia. **Najczęstszą przyczyną śmierci (w 1454 wypadkach)** była miażdżyca, na drugim miejscu plasowały się nowotwory (987), na trzecim urazy i zatrucia (492), na kolejnym niedokrwienna choroba serca (436), dalej choroby naczyń mózgowych (404) i rozedma płuc (272). No i teraz już nowosądeczanie wiedzą, jakich schorzeń wystrzegać się szczególnie.

Statystyki chorób są obfite i można by je tu kontynuować, ale po co? Przejdźmy do ochrony powietrza, a ściślej — emisji pyłów i gazów. Dane są nieco zaskakujące. **Mniej pyłów miało 11 województw, a gazów 8 województw, co dowodzi że pojęcie zagłębia zdrowia, pod tym przynajmniej względem, jest dość iluzoryczne. Także wielkość odpadów przemysłowych sytuowała nowosądeckie na wysokim, bo 14 miejscu.** O stanie środowiska naturalnego pisaliśmy niedawno na naszych łamach, więc nie będziemy już tego tematu rozwijać. I tak wszyscy wiedzą, gdzie jest najgorzej.

Kultura i oświata

Baza materialna kultury jest w województwie nowosądeckim dość uboga. Muzea, poza Tatrzańskim, są raczej niewielkie, ilość kin stałych wynosi zaledwie 28 i posiadają one 6570 miejsc, co sytuuje woj. nowosądeckie w ostatniej dziesiątce.

W charakterze czerwonej latarni występuje też woj. nowosądeckie, jeśli chodzi o ilość radioodbiorników i telewizorów na 1000 mieszkańców. Tych pierwszych jest 199 przy średniej krajowej 270 (przedostatnie miejsce w kraju), a tych drugich 181, przy średniej krajowej 254 (ostatnie miejsce

(CIĄG DALSZY NA STR. 7)

ANNA SZOPIŃSKA

MIASTO MIĘDZY RZEKAMI

Kilka stuleci minęło od czasów, kiedy na środku nowotarskiego rynku wznosił się okazały drewniany ratusz z podcieniami wspartymi na potężnych słupach — tu urzędowali rajcowie z burmistrzem, tu miały swe pomieszczenie sądy ławnicze. Na placu przed ratuszem zbierało się czasem pospólstwo żądne wrażeń i ciekawe, jak mistrz katowski w niewielkim budynku „kuczy" egzekwował zeznania bardziej opornych złoczyńców. Z czworokątnego rynku wybiegała wtedy ku wschodowi ulica Waksmundzka zwana też Sandecką lub Węgierską, a ku zachodowi — Ludźmierska zwana Orawską. Ulica Dworska z północno-zachodniego rogu rynku prowadziła ku ośrodkowi starostwa nowotarskiego — był to rozłożysty drewniany dwór na fundamencie i otynkowany wapnem, skupiały się wokół niego zabudowania gospodarcze, stajnie, chlewy i browar. Pod wieczór straż miejska z halabardami obchodziła krąg miasta, nawołując:

Hej panowie gospodarze,
Już dziewiąta na zegarze,
Strzeżcie ognia i złodzieja,
Chwalcie Pana, w Nim nadzieja.

Dwór zajmował rzekomo teren, gdzie dziś stoi dawny budynek „Sokoła" i cisną się wąskie kamieniczki przy placu Słowackiego. Wtedy to ponoć: *„w pobliżu granic miejskich od strony Waksmunda płynął potok Czerwony zwany ongiś Szubienicznym, a od strony Niwy, Kramarzów potok, zwany identycznie. Tuż na skraju wschodnim dawnego miasta wznosiła się kapliczka św. Doroty, o której dziś mówi tradycja, że tam ścinano skazańców".*

Na św. Katarzynę, św. Jakuba i w Białą Niedzielę zjeżdżali do Nowego Targu chłopi z okolicznych wsi i kupcy na jarmark, także nowotarscy mieszczanie trudnili się handlem, wożąc z Węgier miedź, wino, rozmaite towary na Śląsk i do Krakowa, a wielicką sól na Węgry. Prawo składu i zakaz omijania miasta przez kupców obwarowane przywilejami, miały w zamyśle monarchy uczynić z Nowego Targu zasobny ośrodek handlu, umocnić władzę królewską na południowych krańcach Małopolski. Ponowna lokacja, nadanie praw miejskich osadzie Novum Forum przez Kazimierza Wielkiego w 1364 r. i znaczne ulgi dla wójta-zasadźcy obliczone były, zdaje się, także na ukrócenie roszczeń zakonu cystersów do tego terenu. Do dziś nie wiadomo, czy pierwociny osady wiązać należy z działalnością cystersów, Niemców Śląskich, czy z akcją kolonizacyjną węgierskiego rodu Berzewiczych (nazwę Kokoszków tłumaczyłoby wtedy nazwisko magistra Kokosza z Berzewiczych), bowiem prawomocne dokumenty sąsiadują z falsyfikatami, historia — z tradycją, legendą i ustnym przekazem. Faktem jest, że pięciokrotnie trawiona pożarami, plądrowana przez Tatarów, gnębiona kontrybucjami podczas przemarszu wojsk i ubożona stacjonowaniem chorągwi osada po części tylko mogła spełnić nadzieje króla. Śniegi w czasie żniw, epidemie, klęski pomoru i najazd szwedzki powodowały, że na długo zamierało życie w mieście, katastrofalnie malała liczba ludności. Echa tych zniszczeń pobrzmiewają w legendzie o zapadniętym mieście — na terenie pierwszej osady (obszarach Mieściska i Podmieściska), ponoć jeszcze długo odnajdywali ludzie różne szczątki i przedmioty. Nadanie Kazimierzowskie wprawdzie stworzyło prawny fundament bytu nowotarżan, ale nie uchroniło miasta przed skutkami dziejowej zawieruchy.

22 czerwca 640 lat upłynęło od daty pamiętnej lokacji. Nie ma już drewnianych domostw szczytami zwróconych ku czworokątowi rynku, budynek ratusza dawno zapomniał o swoim niegdysiejszym kształcie (i najpewniej po remoncie urządzi się w nim Muzeum Miejskie), litera prawa nie straszy sylwetkami szubienic przy wjeździe do miasta od strony Czorsztyna i Krakowa, kat sprowadzany z sądeckiego grodu napadnięty w drodze — zginął od własnego miecza kilka wieków temu. Tylko najstarsi obywatele pamiętają nawoływania miejskiej straży, ostały się jedynie trzy relikty minionego czasu: stary kościół pod wezwaniem św. Katarzyny, modrzewiowy kościółek na cmentarzu owiany romantyzmem zbójeckiej legendy i sędziwa karczma przy ulicy Waksmundzkiej. Pieczołowicie konserwowane budowle sakralne nie wymagają remontu, a w Miejskim Funduszu Rozwoju Kultury znalazły się wreszcie środki (16,5 mln zł) na przywrócenie zajazdowi dawnego wyglądu, co uratuje go przed zupełną dewastacją.

✡

Dziwnie splata się w „mieście między rzekami" dawność z dniem dzisiejszym: nie przewidział zapewne poczciwy Stefan Batory, zatwierdzając w 1576 roku pierwszy nowotarski statut cechowy — statut szewców, że w niespełna cztery wieki później stolica Podhala zasłynie właśnie przemysłem obuwniczym; nie przewidział też, że prawie najpóźniej zalegalizowany cech kuśnierzy da początek rzemiosłu, które stanie się tak charakterystyczne dla pejzażu miasta — zważywszy wszystkie dobre i złe strony tego zjawiska.

A że nie ma złego, co by na dobre nie wyszło — potwierdza też historia miejskiego rynku: gdyby nie pożar w 1784 r., baron von Siegstetten nie poleciłby opracowania planów poszerzenia starego rynku i wytyczenia nowych ulic. Energia i konsekwencja sądeckiego barona sprawiły, że miasto powstało ze zgliszcz w nowej, kształtnej formie, ulice zaczęły się przecinać pod kątem prostym. Wprowadzenie nowego ładu przestrzennego musiało się łączyć z burzeniem rozpoczętych budów drewnianych i zastąpieniem ich murowanymi, ale takie bywają koszta własne wszelkich zmian.

Na fotografii z początków wieku widać Nowy Targ z lotu ptaka: w pociętym regularną siatką ulic obszarze miasta zaznacza się już ciemny prostopadłościan gimnazjum, w środku jaśnieje filigranowy zarys kościelnej wieży. Dziś trzeba z większej wysokości patrzeć na Nowy Targ, by w polu widzenia znalazły się granice zabudowań przesunięte od południa daleko ku Szaflarom, od północy zachodzące na stoki Gorców, od wschodu zlane z granicami Waksmunda, od zachodu sięgające Kombinatu Obuwniczego. Podniesienie terenu przybliży oku gigantyczną budowę szpitala, która powoli, acz systematycznie zbliża się do finału — to jakby dziejowa rekompensata za spalony podczas szwedzkiego najazdu szpital św. Leonarda — przytułek dla ubogich. Potężna bryła hotelu „Skalny" już z większą estetyką (bo ele-

---

MOST W KAMIONCE

Grupa muzyków i śpiewaków regionalnego zespołu „Skalnik", w barwnych lachowskich strojach — nie zlękła się ulewnego deszczu, który przerwał uroczystość otwarcia nowego mostu w Kamionce Małej. Przecięto wstęgi, po gładkiej asfaltowej nawierzchni przerzuconego nad potokiem Kamionka mostu przejechały pierwsze samochody wiozące gości, przeszedł korowód mieszkańców, a na koniec — kapela.

Deszcz przeczekano w specjalnie zbudowanej na tę uroczystość altanie. Gospodynie, którym przewodziła Zofia Basiagowa ustroiły ją pięknie kwiatami i zielenią, nakryły stoły.

Do niedawna — przez potok Kamionka, który nie raz dał się we znaki mieszkańcom kilku wsi gminy (do dziś usuwa się skutki wielkiej powodzi sprzed trzech lat) — wiodła drewniana kładka. Z wyładowanym wozem trzeba było przeprawiać się w bród. W razie podwyższonego poziomu wody mieszkańcy około 30 gospodarstw położonych za potokiem czuli się niemal odcięci od świata. Pomysł wybudowania mostu z „prawdziwego zdarzenia" narodził się w 1984 roku. Społeczny zapał tutejszych ludzi sprawił, iż nie zabrakło oferujących im pomoc. Dotację pomógł zdobyć wicewojewoda Józef Niemiec; Urząd Gminy zakupił materiały budowlane, a mający w gminie Kamionka Wielka swoją filię sądecki „Nowomag" zapewnił specjalistyczny sprzęt i środki transportu, wykonał też balustrady. Fachowymi poradami służył sądecki Rejon Dróg Publicznych. Prace nadzorował autor dokumentacji, inż. Andrzej Gryglak. Społecznym czynem miejscowi wykonali prace przekraczające wartość 3,3 mln zł.

Spotkanie społeczników, którym przewodził przewodniczący Komitetu Budowy, Czesław Basiaga, z przedstawicielami instytucji oraz firm, które pozwoliły marzenia o własnym moście przekształcić w czyn — miało charakter wielkiego święta.

Tutejsi ludzie — serdeczni, gościnni i pełni zapału do społecznej pracy nie po raz pierwszy podejmują wspólne inicjatywy. To samo można powiedzieć o mieszkańcach całej gminy. Osiem wsi — Kamionka Wielka, Kamionka Mała, Bogusza, Królowa Górna i Królowa Polska, Jamnica, Mystków oraz Mszalnica zamieszkuje ponad 7100 mieszkańców. Choć gospodarstwa nie są tu duże (przeważnie nie przekraczają 2,5 do 3 ha) — pracowitością rolnicy osiągają dobre efekty. Popularnością cieszy się hodowla bydła mlecznego i opasowego, a jego „obsada" należy do największych w województwie; na każdym niemal skrawku ziemi, na każdym hektarze wypasa się bydło. Małe gospodarstwa zmuszają jednak ludzi do podejmowania także pracy w sądeckich, jak też miejscowych zakładach. O wynikach gospodarowania świadczą dwukrotnie zdobyte przez gminę tytuły Mistrza Gospodarności. Ostatnio uzyskano to zaszczytne wywacja otynkowana) wpisuje się w pejzaż, choć na oddanie obiektu, wnioskując z tempa prac, trzeba będzie dłużej poczekać — zresztą ku cichemu zadowoleniu starszych mieszkańców, którzy woleliby nie mieć w sąsiedztwie instytucji podobnej „Kasprowemu". Obszar zabudowań wyraźnie się rozciągnął, mniej jest zwarty niż na starych fotografiach, zagęściło się na lewym brzegu Białego Dunajca, a nasłonecznione stoki Niwy, bez możliwości doprowadzenia ciepła — pewnie nieprędko pokryją się wykopami pod fundamenty planowanego tam wielorodzinnego budownictwa.

W początkach naszego wieku autor monografii Nowego Targu pisał: *„Podłożem szutrowatym, na którym zabudowuje się miasto, płynie woda gruntowa o poziomie zależnym od poziomu wód rzeki, dostarczając miastu wody pitnej i użytkowej. Wody te wywołują bardzo często zawilgocenie murów, ułatwiając rozwój grzyba, co w znacznej mierze obniża wartość zdrowotną mieszkań"*.

Pozazdrościć można ówczesnym mieszkańcom, jeśli tylko takie mieli zmartwienie. Dziś „miastu między rzekami" w ogóle brakuje wody: gdy nie rozwiązują problemu studnie głębinowe, gdy nie nadąża już Stacja Uzdatniania w Szaflarach, a w dalekiej perspektywie jest doprowadzenie wody z Białki — brak odpowiedniego ciśnienia hamuje prace budowlane Spółdzielni Mieszkaniowej na Równi Szaflarskiej III/V. Użytkownicy sieci miejskiej w wyżej położonych dzielnicach muszą się pogodzić z faktem, że wodę będą mieli przez kilka godzin w ciągu doby, albo myśleć o własnych hydroforniach, które są dodatkowym obciążeniem. Budowa szpitala też ma trudności z zaopatrzeniem w wodę. Prawdopodobnie najszybciej zostanie oddany jeden zbiornik retencyjny na Kowańcu; jest szansa, że przyspieszy się ukończenie drugiego, ale to w niewielkim stopniu zmieni sytuację: pożar na Kokoszkowie dowiódł, jak nagląca jest potrzeba wyrównania ciśnienia w sieci miejskiej, a kwestia zdatności wody to już osobny i wcale nie mniejszy problem.

Choć wody brakuje — skutki wilgotności powietrza w widłach Dunajców są takie same jak przed wiekami: nasilające się wiosną i jesienią nieżyty górnych dróg oddechowych, dolegliwości reumatyczne, zacieki na tynkach. Jednak mieszkańcy stolicy Podhala to lud zahartowany w dziejowych przeciwnościach i ostrym górskim klimacie z dużym wahaniem temperatur. Kiedyś zasłużyli sobie wprawdzie na niepiękną cenzurkę: *„Ludzie tu stosunkowo niezamożni, nie odznaczają się wcale zbytnią pracowitością czy ruchliwością, są raczej chciwi niż sprytni, ale na ogół przywykli żyć prosto i byle czym się kontentować. (...) Coraz rzadziej spotkać można jeszcze sukniane portki, ale i te głównie od święta i na pokaz letnikom"* — ale teraz nie trzeba nawet dowodzić anachroniczności tej opinii, nawet „sukniane portki" za sprawą pewnych zmian w świadomości (i Związku Podhalan) nie są na ulicach niczym niezwykłym. Zleniwienie ducha tutejszym mieszkańcom też nie grozi, dowiedli tego już w zamierzchłych czasach, stając oporem przeciwko gwałtom i zdzierstwom starostów i dzierżawców, dochodząc przed majestatem swoich praw i zagrożonych wolności. Okrucieństwo i tyrania nie opłaciły się ani Ratułdowi ani staroście Komorowskiemu, choć mieszczanie nowotarscy zawsze starali się być względnie (wyjąwszy niesumienność w składaniu opłat) lojalni wobec króla, nie szczędzili krwi w obronie majestatu. Ten sam duch, oporny przemocy i bezprawiu, kołatał w chłopach zbuntowanych przeciwko Komorowskiemu, w powstańcach chochołowskich, młodzieży „Sokoła", Drużynach Strzelców Podhalańskich, gorczańskich partyzantach i założycielach Konfederacji Tatrzańskiej. Opinia kreująca nowotarżan na ludek oporny także oświacie i kulturze raczej od początku miała kruche podstawy: wszak od XV wieku, a może i wcześniej, działała w mieście szkoła parafialna, która wprawdzie nie przyswoiła sztuki czytania i pisania większości mieszczan, ale otwarła krakowskie uczelnie przed tutejszą młodzieżą. W XVI wieku słychać już o Macieju z Nowego Targu — profesorze wydziału filozoficznego na uniwersytecie krakowskim, wielu sięga po wysokie stanowiska w hierarchii świeckiej i duchownej. Przed I wojną światową tu ogniskuje się myśl patriotyczna, wychodzi „Gazeta Podhalańska", powstaje gimnazjum. W czas okupacji tajne nauczanie zorganizowane przez Piusa Jabłońskiego obejmuje połowę podhalańskiej młodzieży.

Jest też w nowotarskiej mentalności przywiązanie do swego, choć różne w ciągu wieków przybierało formy: wybuchały spory o grunta — ze starostwem czorsztyńskim o Gronków, i z mieszkańcami wsi Waksmund roszczącymi niesłuszne pretensje do 1/3 obszaru miejskiego. Procesy przyniosły mierny skutek, ale poczucie własności nie zanikło, tylko przedmiotem sporu są dziś tereny przeznaczone pod bloki na Równi Szaflarskiej: właściciele użytków rolnych nie godzą się na wykup po zbyt niskiej cenie, skutkiem czego grozi im przymusowe wywłaszczenie po cenie jeszcze niższej. Wywłaszczeni zapewne odwołają się do sądu, co z przyczyn formalno-prawnych opóźni lokalizację bloków. A głód mieszkaniowy rośnie. I co gorsza, w tym sporze obie strony mają swoje istotne racje.

Fot. MICHAŁ SROKA

---

różnienie w 1984 roku. Ludzie tu chętni do podejmowania zobowiązań i prac społecznych. Na statystycznego mieszkańca gminy przypada rocznie 5 do 6 tys. zł wypracowanych społecznie środków. Buduje się drogi, mosty, zbiera fundusze na remonty oraz budowę nowych szkół. Niedługo dzieci z Królowej Górnej i Królowej Polskiej będą się uczyć w nowych, pięknych budynkach, przy których wiele prac wykonali mieszkańcy wsi. W najbliższym czasie planowany jest remont jednej z dwóch szkół w Kamionce Wielkiej. Jak mówi naczelniczka, Janina Bocheńska — od pięciu lat piastująca ten urząd — z tutejszymi ludźmi łatwo jest pracować, mają wiele inicjatywy. Nie chcą poprzestawać na tym, co już zrobili. Obecnie największa inwestycja w gminie — to przeprowadzana właśnie sieć gazyfikacyjna. Budową gazociągu zajmuje się Społeczny Zarząd Gminny, któremu przewodzi Antoni Potoniec. Ponadto — w każdej miejscowości działają Społeczne Komitety.

Osiem wsi ze światem połączyły dobre drogi. Kursują autobusy WPK oraz PKS. W toku są prace przy budowie drogi łączącej Mystków z Kamionką; gdy zostanie już oddana do użytku — znacznie skróci trasę między obu miejscowościami. Obecnie trzeba jeździć przez Nowy Sącz. Droga właściwie już jest — brakuje tylko asfaltowej nawierzchni, którą położono na odcinku ponad 2 km. Pozostało trochę ponad km do zrobienia.

Mieszkańcy gminy marzą, że kiedyś ich miejscowości będą przyciągać wczasowiczów i turystów. Wsie otoczone górami Beskidu Sądeckiego już teraz są atrakcyjne dla gości. Planuje się wybudowanie schroniska w Kamionce Wielkiej. Będzie ono nosić nazwę, jaką dawniej — w najstarszych przekazach oznaczano dzisiejszą Kamionkę — Czarna Kępica. W okolicy znajdują się mineralne źródła — jeszcze niezagospodarowane, ale już myśli się o ich przyszłym wykorzystaniu. Planów jest wiele. Rosną także ambicje. Kamionka Wielka we wrześniu będzie obchodzić 650-lecie istnienia. Według zapisów z ksiąg parafialnych wieś powstała w 1336 roku. Swoją nazwę wzięła od pierwszych kamieniołomów, które stały się warsztatem pracy dla wielu przodków obecnych mieszkańców wsi oraz gminy. Planuje się wiele atrakcji, występów, zwłaszcza iż ta wielka impreza będzie połączona z popularnym „Latem w Dolinie Kamionki".

Wróćmy jednak do najmniejszej wioski gminy — Kamionki Małej, liczącej zaledwie 86 gospodarstw. Wybudowanie mostu — to nie jedyna praca społeczna, jaką ostatnio zajmowali się jej mieszkańcy. Rozpoczęto budowę stadionu sportowego, który będzie miał także zaplecze — szatnie i magazyn sprzętu. Brakuje jeszcze we wsi świetlicy. Mieszkańcy chcą ją zbudować w społecznym czynie. W czasie uroczystości związanej z oddaniem do użytku dziesięciotonowego mostu — zrobiono nawet pierwszy krok w tym kierunku. Jeden z gości, Józef Kos postanowił zaofiarować na ten cel działkę. Gospodaruje na dwóch hektarach. Choć to niewiele — pragnie pomóc mieszkańcom swej miejscowości w spełnieniu i tego marzenia. — *To wielka dla mnie i dla mojego syna, Kazimierza satysfakcja, że na naszej ziemi stanie za jakiś czas świetlica, gdzie wszyscy będziemy mogli się spotykać. Nie jestem młody, wiele więc nie mogę pomóc, mogę jednak przysłużyć się tym kawałkiem gruntu.*

Ten przykład najlepiej świadczy o bezinteresowności i poczuciu wspólnoty łączącej mieszkańców wsi. Chyba właśnie dzięki temu, tak wiele już udało się im osiągnąć. Warto wymienić wyróżnionych dyplomami uznania przez naczelniczkę gminy społeczników i współtwórców mostu: inż. **Andrzeja Gryglaka, Czesława** oraz **Zofię Basiagów, Adama Basiagę** i **Stanisława Horowskiego.**

LUCYNA KASZUBA

Lustro statystyki

(CIĄG DALSZY ZE STR. 6)

w kraju). No ale wiadomo, że warunki odbioru programów radiowych i telewizyjnych ze względu na rzeźbę terenu są tu wyjątkowo złe.

Może więc nowosądeczanie czytają książki i gazety? Też niekoniecznie. **Sprzedaż gazet i czasopism wynosiła w 1984 na 1 mieszkańca 67,8 egz. przy średniej krajowej 88,1** (i czytelnictwie w stolicy czy poznańskim niemal dwukrotnie wyższym. Na szczęście statystyki milczą i nie podają w układzie województw liczby wypożyczeń książek z bibliotek lub wielkości zakupu książek. Tak więc miejmy nadzieję, że tam sytuacja przedstawia się lepiej.

Niewiele też mówią statystyki oświatowe. Porównań międzywojewódzkich brakuje, a co komu wyniknie z faktu, że mamy przykładowo 21 liceów, czy 110 średnich szkół zawodowych. Zaskakująca może by tylko dysproporcja, ale porównań z innymi dokonać nie sposób. Więc tylko już na koniec podam, na podstawie danych z 1983 roku, poziom wykształcenia mieszkańców regionu: z wyższym wykształceniem było 11 135 osób, co w porównaniu z rokiem 1973 oznaczało stuprocentowy wzrost; średnie posiadało 35 739 osób, zasadnicze zawodowe 43 743 osób, podstawowe — 48 637 osób, zaś niepełne podstawowe 4621. Mowa naturalnie o dorosłej ludności w wieku produkcyjnym.

Turystyka, handel, gastronomia

Kończę tę paradę liczb turystyką, choć z powodzeniem mogłaby ją otwierać. Rzeczywiście pod względem ilości miejsc w obiektach turystycznych (hotelach, motelach, schroniskach, pensjonatach, na kempingach i w pokojach gościnnych) woj. nowosądeckie przoduje w skali kraju i posiada ich 23 469, zaś na drugim miejscu znajduje się... (no, kto zgadnie?) poznańskie: 22 683 miejsca, a na trzecim suwalskie. Natomiast pod względem ilości miejsc w obiektach wczasowych, nowosądeckie jest dopiero na czwartym miejscu (40 592), po szczecińskim (69 028), koszalińskim (63 597) i gdańskim (47 637). Cechą specyficzną tej bazy jest jej całoroczny (w 75 procentach), a nie sezonowy charakter.

Szlaków turystycznych jest 2329 km, w tym górskich 165 km. Oprowadza nas po regionie 1082 kwalifikowanych przewodników. Nadto w województwie gości każdego roku około 100 tys. uczestników kolonii i obozów młodzieżowych. Turystów, którzy się nie meldują ,nikt nie rejestruje, ilość pozostałych szacuje się w milionach (dwóch trzech, czy nawet czterech ,ale tak naprawdę nikt nie jest w stanie policzyć). Wiadomo natomiast, że w 1985 roku bawiło na terenie woj. nowosądeckiego 23 421 turystów zagranicznych, którzy tu nocowali, co stanowi wzrost w stosunku do 1982 roku, kiedy było ich tylko 7591, ale i tak daleko jeszcze do poziomu przyjazdów z 1980 roku, kiedy było ich 64 561.

Turystyce towarzyszyć musi handel i gastronomia. Na jeden punkt sprzedaży detalicznej przypadało w woj. nowosądeckim 210 mieszkańców. Była to sytuacja generalnie niezła, w porównaniu np. z Warszawą, gdzie na 1 punkt sprzedaży przypada 266 mieszkańców. No ale obraz ten zaciemniają u nas turyści, choć w Warszawie także ich nie brakuje. Swoją drogą to najlepiej się kupuje w kraju w woj. koszalińskim i słupskim, gdzie sieć sklepów jest w stosunku do liczby mieszkańców stałych — najgęstsza.

Sławną ongiś, bo nie wiem czy teraz, gastronomię nowosądecką reprezentuje 484 zakłady gastronomiczne uspołecznione i 133 prywatne. Posiadają one łącznie 37 591 miejsc. Nie licząc turystów, na 1 miejsce przypada 18 osób, no ale to jest właśnie słabość statystyki. A turystów policzyć nie sposób. W każdym razie owe 18 osób daje województwu pierwsze miejsce w kraju obok jeleniogórskiego. A czy rzeczywiście najtrudniej jest zjeść coś w ostrołęckim lub płockim — jak sugerują statystyki — to już musieliby odpowiedzieć bywalcy.

Wśród owych 484 uspołecznionych zakładów gastronomicznych jest 118 restauracji, 101 kawiarń, cukierń i barów kawowych, sporo barów ekspresowych i zaledwie 8 barów mlecznych, a jeszcze w 1983 było ich 11. No i kto tu uwierzy w dbałość o kieszeń turystów. O tym, jak turyści są obsługiwani, statystyki milczą. Pisze za to czasem „Dunajec".

⁂

Przemysł, inwestycje, zatrudnienie w szczegółowym ujęciu, bilanse materiałowe i surowcowe — szereg tego typu wskaźników pominęliśmy tutaj, by nie znużyć Czytelników. Liczby męczą. Ale także dają jakieś świadectwo prawdzie. I z tą intencją potrudziliśmy się wspólnie.

Przygotował **STEFAN CIEPŁY**

ELŻBIETA GLINKA

NA GRANICY

Leluchów to niedużа wieś — jedna z tych, „gdzie diabeł mówi dobranoc”. Ale ważna. Tędy wiodą dwie stalowe nitki kolejowego toru, które zaraz za mostkiem na potoku Smereczny przekraczają granicę państwową między Polską i Czechosłowacją; jeżdżą tym torem międzynarodowe pociągi na Węgry, do Rumunii. Tu również, w Leluchowie, zakończy się już wkrótce elektryfikacja linii kolejowej Tarnów — granica państwa.

Gdzie granica — nie może zabraknąć wopistów. Nie dziwię się więc, gdy opodal Leluchowa spotykam patrol. Rozmawiam chwilę z jednym z żołnierzy. Szer. ANDRZEJ SIUDUT już drugi rok niemal codziennie pełni trudną służbę pogranicznika. W upał i mróz, w zamieci śnieżnej i ulewie, dniem czy nocą. A przecież nie chciałby jej zamienić na inną. — *Tu jest ciekawie* mówi. — *Coraz to coś nowego, no i można się wykazać samodzielnością, inicjatywą.*

Szer. Siudut służy w pododdziale granicznym Karpackiej Brygady WOP, dowodzonym od 20 lat przez mjr. HENRYKA POPŁAWSKIEGO. W świetlicy pododdziału świadectwa rzetelnego, wzorowego wykonywania przez żołnierzy obowiązków: Złota Odznaka „Za zasługi dla województwa nowosądeckiego”, Honorowa Odznaka Przyjaciół Harcerstwa nadana przez Główną Kwaterę ZHP, dyplomy — „Przodującego koła ZSMP w 40-leciu WOP” i zdobywców drugiego miejsca w tegorocznych ćwiczeniach brygadowych, zdjęcia z niedawnej wizyty ministra spraw wewnętrznych, gen. CZESŁAWA KISZCZAKA...

Odcinek granicy, którego strzegą podwładni mjr. Popławskiego, nie należy do najspokojniejszych. Niemal w każdym tygodniu wopiści chwytają amatorów nielegalnego przekraczania granicy. Najczęściej są to ludzie bardzo młodzi. Wiedzie ich zwykła ciekawość, chęć przeżycia „dreszczyku” przygody, naiwna wiara, że za granicą czeka na nich znakomita praca, wielkie pieniądze, wspaniałe życie. Próbują więc szczęścia nastolatki, z ledwie ukończoną szkołą podstawową, próbują „w niedzielę urodzeni”, „niebieskie ptaszki”, cwaniaczki szukające lekkiego chleba. Na przykład 15 czerwca dwóch 15-letnich gorliczan wybierało się do Austrii, 3 lipca do tego samego celu dążyli ich rówieśnicy — 15- i 16-latek, których zatrzymali na granicy st. szer. ZBIGNIEW SABURA i szer. MACIEJ KOSZKUL. 16 czerwca próbowało szczęścia, także bezskutecznie, dwóch starszych już „turystów” z Krakowa. Często zdarzają się również graniczne przestępstwa popełniane nieświadomie, z braku znajomości przepisów. Niewielu ludzi zadaje sobie na przykład trud przeczytania zarządzenia wojewody nowosądeckiego z 1979 roku, zabraniającego, między innymi, palenia ognisk w odległości 200 m od granicy, kąpania się w granicznych rzekach i potokach, fotografowania się na granicy i rozmawiania przez nią. Wopiści czuwają, by nie łamano przepisów, pouczają ludzi, czasem — nakładają mandaty, kiedy indziej legitymują, zatrzymują, kontrolują. Muszą umieć błyskawicznie ocenić, czy mają do czynienia z nieuwagą lub niefrasobliwością — czy też z przestępstwem świadomym i celowym. Muszą bacznie penetrować teren, mieć wyostrzony wzrok i słuch, reagować szybko i bezbłędnie, gdyż gra toczy się o bezpieczeństwo Ojczyzny, a czasem również o ludzkie życie.

W „centrum dowodzenia” pododdziału telefony i radiotelefony niemal nie milkną — to patrole rozsiane po całym odcinku granicy podległym tej placówce sygnalizują swoje spostrzeżenia, składają meldunki, czasem wzywają pomocy. Próbuję rozmawiać z dyżurnym operacyjnym kpr. JANEM MISZCZYSZYNEM, ale te sygnały przeszkadzają.

— *Sami wopiści* — mówi mjr Popławski — *nie zdołaliby skutecznie strzec granicy, gdyby nie ogromna pomoc miejscowego społeczeństwa. Mieszkańcy miasteczek i wsi są naszymi wiernymi sojusznikami. Informują o pojawieniu się w terenie podejrzanych osób, a czasem nawet — jak niedawno w Leluchowie — sami zatrzymują takich ludzi i przekazują ich naszym żołnierzom.*

Trzeba od razu powiedzieć, że pomoc jest dwustronna. Ileż to razy wopiści pomagają okolicznym gospodarzom w trudnych życiowych sytuacjach! Ot, pierwszy z brzegu przykład: w Dubnem mieszka stary rolnik, który nie poradziłby sobie na dużym gospodarstwie, gdyby żołnierze samorzutnie nie wspierali go w pracach polowych. Do Dubnego, do Leluchowa wiodą drogi, na których nietrudno połamać resory samochodu, toteż karetki pogotowia zazwyczaj zatrzymują się pod siedzibą placówki WOP, a stamtąd lekarz jedzie do chorego wojskowym gazikiem. Było już i tak, że kierowca bał się, czy nie przyjdzie mu odbierać w drodze wraz z lekarzem porodu...

Wopiści włączają się w życie okolicznych miejscowości i całej gminy. Radnymi Miejsko-Gminnej Rady Narodowej w Muszynie są sierż. szt. ZDZISŁAW OPIELEWICZ i chor. szt. MARIAN ADAMCZYK. Dowódca — mjr Henryk Popławski — wchodzi w skład Egzekutywy Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR. Dodajmy od razu, że do partii należy sto procent kadry placówki. Z drużynami harcerskimi przy okolicznych szkołach współpracują członkowie Wojskowego Kręgu Instruktorskiego ZHP — kaprale MIECZYSŁAW SMUK, JAROSŁAW CZYRNEK, a także WALDEMAR WAWRZYNEK i JAN MISZCZYSZYN. Zetesempowcy w mundurach, którym przewodniczy kpr. BOGUSŁAW WIĘCEK (a dodajmy, że do ZSMP należą tu wszyscy żołnierze) współpracują z kołami cywilnymi Związku. Należą także wopiści do cywilnych kół zainteresowań: st. szer. DARIUSZ JOCHER — którego spotykam na szosie koło Żegiestowa, gdy wraz z szer. JANEM CZAJĄ odbywają służbę patrolową — należy do słynnego Klubu Modelarstwa Kosmicznego „Zefirek”. Zdobył wicemistrzostwo Polski i właśnie nazajutrz ma wyjechać na Mistrzostwa Świata do Rumunii. Całe rodziny Adamczyków czy Marmuszewskich należą do regionalnego zespołu „Muszyniacy”, działającego przy Gminnym Ośrodku Kultury, a Marian Adamczyk nawet przymierza się do zawodowej pracy kulturalno-oświatowej, zdobywając wiedzę na trzyletnim studium. Z Kołami Gospodyń Wiejskich i Klubami Rolnika współdziałają panie z Organizacji Rodzin Wojskowych. Przewodniczy im HALINA ZBOŻEŃ, pracująca w Zarządzie Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. Inne żony oficerów i podoficerów również pracują w instytucjach cywilnych — na przykład LUDWIKA POPŁAWSKA uczy w miejscowej szkole. Do najaktywniejszych działaczek Koła ORW należą TERESA ADAMCZYK, LUDWIKA OPIELEWICZ, JANINA DZIEDZINA. Organizują kursy i szkolenia przydatne kobietom w prowadzeniu domu, wycieczki dla rodzin i dla dzieci, uroczystości z okazji różnych świąt.

Fot. MICHAŁ SROKA

Żołnierze służby zasadniczej mają swoją Radę Kultury, kierowaną przez kpr. EMILA OPIELĘ. Dbają o wystrój świetlicy, działają w kółku zainteresowań — ostatnio dużym powodzeniem cieszy się rzeźba i trzeba przyznać, że niektóre prace, jak na przykład kpr. Jarosława Czyrnka, są zupełnie udane. Jest ciemnia fotograficzna, z której korzystają młodzi amatorzy tej sztuki, jest akwarium dla miłośników rybek. Można więc dobrze i interesująco wypełnić czas wolny od wielogodzinnej służby wymagającej napięcia, męczącej fizycznie. Zaś „dla ciała” — solidne i smaczne (próbowałam!) posiłki przygotowuje kucharz placówki — st. szer. RYSZARD DOMAGAŁA.

☆

Służba wopowska to nie tylko penetrowanie terenu. To również praca na przejściach granicznych. Graniczna Placówka Kontrolna znajduje się przy stacji kolejowej w Muszynie. Od 23 lat dowodzi nią mjr. ANTONI LORENC, odznaczony za wzorową służbę Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Major wrósł w region, tutaj znalazł żonę, tu wychował syna — dziś już absolwenta szkoły średniej.

Przez stację w Muszynie przejeżdża na dobę siedem par (to znaczy w obie strony) pociągów towarowych i dwie pary pociągów lokalnych Muszyna — Poprad. Co kilka dni są również dalekobieżne pociągi relacji Kraków — Budapeszt, Kraków — Warna i Kraków — Mangalia. Kontrola pasażerów wyjeżdżających z Polski odbywa się w Plavcu, już po stronie czechosłowackiej. Wopiści wsiadają w Muszynie, by przygotować podróżnych do odprawy granicznej. Przede wszystkim — zbudzić, bo wszystkie dalekobieżne pociągi jadą nocami.

— *Podróżni* — mówi mjr Lorenc — *są często nieprzygotowani do przekroczenia granicy. Nie mają na przykład uiszczonej opłaty paszportowej i musimy ich wysadzać z pociągu. Pracownicy Urzędu Celnego z dobrej woli mają zazwyczaj trochę znaczków paszportowych, by poratować uczestników wycieczek zbiorowych, matki z małymi dziećmi czy ludzi starych, dla których przerwanie podróży byłoby szczególnie uciążliwe, ale nie wolno na to liczyć. A Wydziały Paszportowe nie zawsze informują, że sam paszport nie wystarczy. Powinna być na przejściu jakaś placówka sprzedająca znaczki paszportowe, podobnie jak i skupująca dewizy od gości z Zachodu, którzy nie zawsze dokonali obowiązkowej wymiany walut.*

Major wspomina, że chyba cztery lata temu „Orbis” próbował uruchomić taką placówkę, przysłał swego przedstawiciela, ale ponoć okazało się to nieopłacalne, bowiem zbyt mało podróżnych korzystało z tego udogodnienia.

Wopiści nie tylko kontrolują paszporty, ale także wspomagają celników w ich pracy. W tym roku już trzykrotnie właśnie wopiści wykrywali towary ukryte przez podróżnych — ostatnio było to 269 kompletów pierścieni do samochodu „Łada”, wartości 1000 zł każdy, i 4 komplety (czapki i kołnierze) ze srebrnego lisa. Znalazł to żołnierz służby zasadniczej. Częste są próby przemytu na mniejszą — rzec można: detaliczną — skalę. Gdy zostaną udaremnione, celnicy sporządzają protokół, w którym przeważnie sprawca określany jest jako NN, bo nikt nie przyznaje się do swej własności.

Zdarza się również wykryć w pociągu ludzi usiłujących nielegalnie przekroczyć granicę. Niedawno wopista znalazł 13-latka z Tarnowa, próbującego ucieczki z domu, gdzie rzekomo źle mu się działo, i szukającego szczęścia w „świecie”.

Zdarza się także, że granicę chcą przekroczyć ludzie znajdujący się, delikatnie mówiąc, „pod muchą”. Jeśli zachowują się niewłaściwie — przerywa im się podróż, dokumenty odsyła do Wydziału Paszportowego w ich miejscu zamieszkania, a czasem kieruje sprawę na kolegium. Niedawno wspólnie z Wojewódzkim Urzędem Spraw Wewnętrznych wopiści przeprowadzili akcję wygarnięcia pijaków z międzynarodowych pociągów. Zatrzymano paszporty i ich właścicieli. Ta akcja bardzo poprawiła sytuację — od czterech miesięcy nie było przypadku rozrabiania na granicy pod wpływem alkoholu.

— *Tutejsza GPK dobrze wykonuje zadania służbowe i społeczno-polityczne* — podkreśla towarzyszący mi w wyprawie do wopistów zastępca dowódcy Karpackiej Brygady WOP do spraw politycznych, płk BOGUSŁAW KOŁSUT. — *Jest to ocena nie tylko moja, ale całego dowództwa Brygady. Większość kadry służy w Muszynie 10—15 lat i stanowi zgrany zespół. Jest w tym duża zasługa dowódcy, majora Antoniego Lorenca.*

Niemała w tym zasługa również organizacji partyjnej, której I sekretarzem jest JAN HOMIAK. Tylko jeden członek kadry nie należy do partii.

Major Lorenc z uznaniem mówi o dobrej współpracy wopistów z pracownikami Urzędu Celnego — dyrektorem SYLWESTREM PANCHERZEM, z którym rozpoczynał wspólnie przed laty służbę, i naczelnikiem Oddziału muszyńskiego JÓZEFEM GWIŻDŻEM. Chwali również współdziałanie z kolejarzami, a szczególnie naczelnikiem stacji, ADAMEM PORĘBĄ. — *Tu musi być ścisła synchronizacja działań* — zaznacza major — *gdyż inaczej pociągi nie mogłyby kursować zgodnie z rozkładem.* — Również z sąsiadami z drugiej strony granicy — celnikami i wopistami czechosłowackimi pracuje się zgodnie, wspierając wzajemnie.

Gorzej, niestety, przedstawiają się warunki życia i służby. Wopiści czekają niecierpliwie, by stanął wreszcie blok, w którym przynajmniej część rodzin ma otrzymać mieszkania i skończyć z uciążliwymi dojazdami z Grybowa, Piwnicznej, Krynicy i Nowego Sącza. Równie niecierpliwie czekają na rozwiązanie problemu pomieszczeń służbowych. Dziś i GPK, i Oddział Celny gnieżdżą się w niewielkich pokoikach, nie odpowiadających warunkom wyposażenia przejścia granicznego i nie mających podstawowych urządzeń socjalnych dla ludzi pełniących trudną służbę przez okrągłą dobę. Planowana rozbudowa od dawna nie może dojść do skutku ze względu na zakaz stawiania w tym rejonie lokalnych ciepłowni, a bez kotłowni nie można zapewnić ogrzewania budynku. Należałoby czekać, aż powstanie centralna kotłownia dla południowej części Muszyny. Ministerstwo Komunikacji, które zgodnie z przepisami powinno zapewnić pomieszczenia dla GPK i celników, miało związane ręce. Dowództwo KB WOP nie chciało jednak czekać. Ponownie poruszono sprawę podczas kampanii przed X Zjazdem PZPR. 24 czerwca mówiono o niej na spotkaniu z delegatami na Zjazd, które odbyło się w Brygadzie, a następnie I sekretarz KW partii, JÓZEF BROŻEK, i wicewojewoda JÓZEF NIEMIEC wizytowali placówkę w Muszynie. Tu, w roboczej rozmowie z dowódcą Brygady, płk. TADEUSZEM KULEJEM, z mjr. Lorencem, Józefem Gwiżdżem i zastępcą naczelnika stacji PKP, CZESŁAWEM NIKIELEM uzgodniono tryb działania.

Obecnie DOKP Kraków wystąpiła już do wojewody nowosądeckiego z prośbą o spowodowanie wydania przez Wydział Ochrony Środowiska UW zgody na budowę tymczasowej kotłowni. Jest więc nadzieja, że warunki pracy wopistów i celników w Muszynie poprawią się.

Jak wszędzie, tak i tutaj wopiści aktywnie włączają się w rozwiązywanie spraw środowiska, w którym żyją i pełnią służbę. Na przykład ppor. BOGDAN DZIEDZINA i sierż. szt. ZBIGNIEW ŁEPSKI pracują z drużynami ZHP w szkołach jako instruktorzy, mjr Lorenc przez pięć lat przewodniczył Komitetowi Rodzicielskiemu miejscowej szkoły, wopiści z GPK pomagali też przy budowie szkoły i od lat wspomagają jej działalność pedagogiczną i wychowawczą; mógłby o tym wiele powiedzieć dyrektor WALDEMAR SERWIŃSKI. Żona dowódcy, EWA LORENC, z ramienia Ligi Kobiet Polskich weszła w skład **Wojewódzkiej Rady Narodowej**.

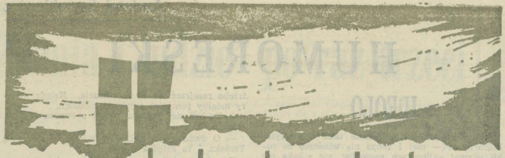

Lipiec '86

biała izba

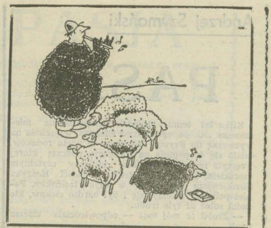

MYŚLI LUZEM

◆ Nie potakuj przynajmniej tym, którzy nie zgadzają się z tobą.

◆ Niejeden wydaje się wielki tylko w porównaniu z dziełem, które stworzył.

◆ Kto ma oczy i uszy otwarte a usta zamknięte — ten nie utonie, nawet jeśli wpadnie.

◆ Przy biesiadnym stole nikt nie siedzi z założonymi rękami.

◆ Trzeźwy nie bije pięścią w stół, kiedy kieliszki już napełnione.

◆ Bujanie najbardziej wyprowadza nas z równowagi.

◆ Trudno popierać kogoś, kogo trzeba popychać.

◆ Gdy sztuka jest niewypałem, to i sala teatralna nie nabita.

Jan Szczepański

Uśmiech

Dlaczego tyle zabiegów, dyskusji i agitacji o uśmiech sprzedawczyni? Dlaczego kampania o uśmiech w urzędach? Przecież uśmiech wymuszony traci ten walor, o który w tych zabiegach chodzi, i staje się kwaśnym skrzywieniem ust. A jednak chodzi o uśmiech. Dlaczego? Bo jest symbolem istotnych ludzkich wartości.

Wielu ludzi skłonnych jest traktować uśmiech jako „wstęp do śmiechu". jako reakcję na sytuacje komiczne wywołujące śmiech. Śmiech jednak jest zjawiskiem zupełnie innym. Jest zewnętrznym wyrazem całkiem innych postaw, nastawień i relacji między ludźmi. *„Bo śmiech, o Lechu, jest zabójczą bronią"* — pisał Słowacki, a wielu ludzi gorzko stwierdziło prawdziwość tego zdania. Śmiech jest aktem brutalnym, może być bezczelny, arogancki, wrogi. Uśmiech spełnia zupełnie inne funkcje w stosunkach między ludźmi.

Zaczyna się od uśmiechu niemowlęcia, tak skrupulatnie badanego przez różne szkoły psychologii rozwojowej. Jeśli im wierzyć, uśmiech niemowlęcia jest już przejawem zorganizowanego *ego*, jest już reakcją sprawdzającą zewnętrzną rzeczywistość, jest już przejawem celowego myślenia, a przede wszystkim uspołecznienia, włączenia się w świadome, emocjonalne wzajemne oddziaływania, aktem komunikowania, wyrażenia zaufania i pozytywnego nastawienia. Można sobie postawić pytanie, czy psychologowie odkryli w uśmiechu niemowlęcia początki trwałej funkcji tego zachowania się w całym późniejszym życiu człowieka, czy też odwrotnie, wyniki badań nad uśmiechem ludzi dorosłych już niejako „wkładają" w uśmiech niemowlęcia Zostawmy rozstrzygnięcie tego pytania matkom pielęgnującym swoje pierwsze dziecko.

Obserwując sytuacje wywołujące uśmiech kilkuletnich dzieci, łatwo możemy ustalić, jakie sprawy tych dzieci uśmiech ma załatwić i jakie problemy ma rozwiązywać lub pomóc w ich rozwiązaniu. Są to bowiem zasadniczo te same sposoby postępowania, jakie stosuje każdy z nas. Uśmiech bowiem i w życiu dorosłych, w relacjach różnorakich spełnia wyraźnie określoną rolę. Jest przede wszystkim zapytaniem pełnym zaufania i wyrazem gotowości do okazania zaufania. Gdy człowiek potrzebuje pomocy w jakiejś sytuacji i zwraca się o nią do nieznanego bliźniego, zaczyna od nieśmiałego uśmiechu deklarującego zaufanie i powierzenie mu swojej sprawy z tym pytającym zaufaniem. Odpowiedź uśmiechem jest traktowana jako zapowiedź gotowości do nawiązania kontaktu. Uśmiech oczywiście nie mówi wszystkiego, gdyż oczy rozmówców mogą pozostać czujne i badające, ale uśmiech wyklucza odpowiedź brutalną czy chociażby niegrzeczną i urażającą.

Wymiana uśmiechów jest także deklaracją życzliwości. Uśmiech jest nieodłącznym towarzyszem życzliwości. Odnosząc się do kogoś życzliwie, zazwyczaj witamy go i żegnamy uśmiechem. Nie uśmiechamy się do ludzi, których nie lubimy, ani do ludzi, którzy budzą naszą antypatię. Życzliwość przejawia się w różnych działaniach, ale uśmiech stanowi oprawę konieczną działań życzliwych. A życzliwość jest przejawem pozytywnego, generalnego nastawienia wobec ludzi. Ludzie bardzo potrzebują życzliwości, więc tak rozpaczliwie szukają uśmiechu.

Uśmiech jest także zapowiedzią gotowości do sympatii, a bardzo często jest tej sympatii zewnętrznym wyrazem. Bez wnikania w skomplikowane teorie psychologiczne wiemy dobrze z codziennego doświadczenia, czym jest sympatia i jak trudno jest żyć bez niej. Wysyłamy więc uśmiech jako sygnał w przestrzeń międzyludzką, czekając niespokojnie na odzew zaspokajający głęboką ludzką potrzebę. Nasze istnienie jako istot społecznych zależy od porozumiewania się z innymi, z poczucia przynależenia do zbiorowości, wzajemnego oddziaływania i wspólnoty działania. Sympatia daje głęboką postać wczucia się w stan psychiki innego, zrozumienia go i daje także poczucie bezpieczeństwa, gdyż sympatia zapewnia możność oparcia się o innych w razie potrzeby. To wszystko zawiera się w pierwszym nieśmiałym uśmiechu kierowanym do człowieka, który wydaje się sympatyczny.

Uśmiech jest także sygnałem zrozumienia i akceptacji tego, co robi bliźni. Jest wyrazem bezinteresownego uznania dla jego pracy i dzieła. Potwierdzeniem, że rozumiemy jego intencje i że spotykają się z naszym uznaniem. Jest więc także przejawem akceptacji wartości innego człowieka. Świadczy o tym, że do oceny podchodzimy z nastawieniem pozytywnym, bez uprzedzeń negatywnych, bez złośliwości i bez szyderstwa. Śmiech może być szyderczy, uśmiech zazwyczaj bywa manifestacją łagodności. Dlatego tak często przyjmujemy skierowany do nas uśmiech z uczuciem ulgi.

Uśmiech bywa także sygnałem zachęty do działania i do okazywania swoich możliwości. Uśmiech nauczyciela jest potężną zachętą dla nieśmiałego ucznia, i to nie tylko w szkole. Także w szkole życia. Można nim osiągnąć znacznie większe skutki wychowawcze niż srogością i dyscypliną. Uśmiech bowiem wyzwala znacznie większe zasoby sił psychicznych niż przymus. Wyzwala rezerwy wiary w siebie i swoje możliwości. Nakaz każe coś czynić i osiągać, ale jakby się nie interesował, czy słuchający nakazu dysponuje możliwościami i środkami wykonania. Uśmiech apeluje do wewnętrznych cech człowieczeństwa, mobilizuje je i pobudza do wysiłku.

Tak, to wszystko prawda, ale uśmiech bywa także okrutny, bywa złośliwy. Jednakże wtedy nie jest on kierowany do innych. Jest to uśmiech kierowany do siebie, do własnego okrucieństwa i własnej złośliwości. Łatwo odróżnić taki uśmiech i łatwo zrozumieć, co on mówi. Jest on namiastką śmiechu. Jest narzędziem i środkiem w walce, w dążeniu do zniszczenia innego człowieka. Lecz gdy znajdziemy się w takiej sytuacji, kiedy wystawieni jesteśmy na działanie okrutnej przemocy, jakże łatwo odróżniamy uśmiech okrucieństwa od uśmiechu współczucia, przesłanego nam jako sygnał rozumiejącego człowieczeństwa.

Więc może dlatego, nawet nie zdając sobie w pełni sprawy ze wszystkich funkcji, jakie uśmiech spełnia w naszym życiu, nawet nie umiejąc sformułować w słowach wagi, jaką do niego przywiązujemy, zabiegamy o uśmiechy, gdyż są one świadectwem stanu społeczeństwa, w którym jest dobrze żyć. Bez uśmiechu świat wydaje się odczłowieczony, pozbawiony ludzkich wartości i ludzkich więzi. Uśmiech jest najprostszym i najwymowniejszym sygnałem człowieczeństwa wysłanym do innego człowieka. Odpowiadajmy na te sygnały. Uśmiechajmy się do siebie. Nawet wtedy, gdy jest ciężko żyć. Uśmiech jednak trochę życie ułatwia i nadaje mu polor godności.

(„Odra", maj 1986)

Andrzej Krzysztof Torbus

Antyfona do matki

która u drzwi na dzwonek czeka

modli do schodów się do windy

gryzie paznokcie szklanką mleka

gasi pragnienie niczym krzywdy

która najwierniej jak potrafi

gazowej kuchni płomyk chroni

i smutno patrzy z fotografii

i nie śmie Boga prosić o nic

która dzień w dzień zakupów koszyk

na trzecie piętro dźwiga z trudem

dla której każdy jeden grosik

jest darem nieba sytym jutrem

która najpierwsza strąca z powiek

niedospanego snu gałązkę

nieraz odmówi czegoś sobie

weźmie na siebie winy cząstkę

która jest światłem najłaskawszym

w rozlicznych życia zakamarkach

i która ostry pełni dyżur

lecz nie w szpitalu a przy garnkach

która ma tysiąc spraw na głowie

a tylko jedno nosi imię

bez słowa synów marnotrawnych

na powrót pod opiekę przyjmie

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Andrzej Szymański

PASJA

Kilka lat temu sześćdziesięcioparoletnia mieszkanka Zakopanego, Janina Bielawa, wyjechała na wycieczkę do Rzymu. Jak czyni to wielu rodaków, udała się do papieża na audiencję, podczas której wręczyła mu gruby brulion, zapisany czytelnym maczkiem, zawierający tekst powieści Henryka Sienkiewicza „Quo vadis" w języku łacińskim. Papież-poliglota ucieszył się i był bardzo ciekaw, kto zadał sobie aż tyle trudu.

— *Zrobił to mój mąż* — odpowiedziała starsza pani.

— *A ile lat liczy małżonek?*

— *Niedawno skończył 89.*

*

JÓZEF BIELAWA, bo o nim mowa, 6 marca br skończył 95 lat, cieszy się dobrym zdrowiem i nadal pracuje nad przekładami. Prócz „Quo vadis" przetłumaczył „Trylogię", „Trzy znaki zodiaku" Jana Parandowskiego oraz „Cień ojca" Jana Dobraczyńskiego. W tej chwili kończy tłumaczyć „Nad Niemnem" Elizy Orzeszkowej.

— *To chyba praca trzyma mnie przy życiu* — mówi. — *Kiedy 10 lat temu, po przeszło 60 latach nauczania przeszedłem na emeryturę — musiałem czymś wypełnić czas, którego zacząłem mieć raptem dużo. A czym się miał zająć emerytowany nauczyciel, znający dobrze łacinę i grekę, których to języków jakoś nikt dzisiaj nie chce się uczyć? Wpadłem na pomysł, aby tłumaczyć z polskiego na łacinę.*

Urodził się Józef Bielawa w Nagoszynie, niewielkiej wiosce koło Dębicy. Choć ojciec, Stanisław, był zastępcą wójta — nie byle jaka figura na te czasy — w domu się nie przelewało. Dwukrotnie rodzina Bielawów przeżywała pożar, dwukrotnie trzeba było zaczynać dorabianie się od początku. Każda para rąk w gospodarstwie się liczyła i nie wiadomo, jak potoczyłyby się koleje życia Józka, gdyby nie miejscowy organista. Józek „kalikował" u niego, czasem pomagał przekładać kartki w trakcie grania i tak nauczył się nut. Kiedy organista to zauważył, postawił przed rodzicami sprawę twardo: chłopca trzeba uczyć! Może i nie doszłoby do edukacji Józka, ale mniej więcej w tym samym czasie okazało się, że samodzielnie opanował on sztukę czytania. Tyle że najchętniej czytał... do góry nogami.

— *Siostra czytała przy stole, ja czasem siedziałem naprzeciwko niej, to i owo czasem mi pokazała i... nauczyłem się. Tyle że do góry nogami* — tłumaczył zmartwiony, widząc zaniepokojenie bliskich.

I tak zaczęła się Józkowa edukacja. Pomagał w gospodarstwie i jednocześnie chłonął wiedzę, robiąc zadziwiająco szybkie postępy. Po czterech latach trzeba było zadecydować, co dalej? Ukończywszy cztery klasy, znając na dodatek nuty, Józek mógł zostać nawet i organistą, a to w biednej galicyjskiej wiosce dawało i szacunek, i pieniądze. I nie wiadomo, jak by się potoczyły losy chłopca, gdyby nie wtrącili się wiejscy nauczyciele — Konstanty Sierosławski i Wilhelm Bruchnalski, którzy przekonali rodziców, że Józka trzeba kształcić dalej.

A nie było to łatwe! Prawda, że gdyby chłopak wyjechał, byłoby mniej gęb do miski; ale i do roboty zabrakłoby dwóch rąk, choć małych, ale zawsze pomocnych.

Wreszcie jednak zapadła decyzja: niech jedzie, niech uczy się dalej! A może faktycznie coś z chłopaka wyrośnie?

Zaczął się nowy okres w życiu Józefa Bielawy: gimnazjum w Dębicy. Sceneria jak ze „Wspomnień niebieskiego mundurka" lub „Syzyfowych prac": ubogi, wiejski chłopiec mieszkający po różnych stancjach i bursach, zarabiający korepetycjami, nocami nadrabiający stracony w pogoni za chlebem czas, starający się za wszelką cenę dorównać najlepszym, aby tylko nie zawieść nadziei pokładanych w nim przez rodziców i zacnych nauczycieli z rodzinnej wioski.

Nadszedł wreszcie dzień „wyzwolenia", matura! Dla każdego wiejskiego chłopca — nie zapominajmy, że był to rok 1910 — osiągnięcie takie mogło być szczytem marzeń. I to z jakim wynikiem: na świadectwie maturalnym z góry na dół „celująco"!

Świeżo upieczony absolwent dębickiego gimnazjum nie chciał jednak na tym poprzestać. Z pięknym maturalnym świadectwem w kieszeni, obdarzony niepewnym (jak też mu się tam powiedzie w tym obcym świecie?) rodzicielskim błogosławieństwem 19-letni Józef Bielawa ruszył w kolejny etap swej życiowej wędrówki: do Lwowa, na głośny — nie tylko na galicyjskich ziemiach — Uniwersytet Jana Kazimierza. Zaczął studia na wydziale filologii klasycznej i wkrótce zwrócił uwagę prof. Oswalda Balzera — tego samego, który wcześniej walnie przyczynił się do rozstrzygnięcia na korzyść Polaków wielkiego sporu o Morskie Oko.

(CIĄG DALSZY NA STR. 3 BIAŁEJ IZBY)

Andrzej Szymkiewicz

HUMORESKI

IDEOLO

Zdarzy się raz na pokolenie taka dziewczyna, która mówi — nie! I żebyś nie wiadomo co robił, używał najlepszych sposobów, nic z taką nie wskórasz. Szkoda zachodu i centów na videotekę. Z pozoru wszystko ma jak trzeba — i na czym siedzieć, i czym oddychać, nogi do pary i parę złotych zębów — a taka nieużyta jak ciotka Fela, co śpi na dutkach, a rodzinie nie da.

Myśmy trafili na Tereskę.

Oj, ciężko niejednego doświadczyła! I za druhnę się ją brało, i motorem woziło, a choćby to była Yamaha. Tereska nieodmiennie burczała: nie! Pierwszy, którego spławiła, zmilczał, drugi ze trzy razy próbował, Józek się zawziął. Ale bokiem mu wyszło, bo go dziewczyny wzięły na języki, że pod okapem wystawał. Po Józku daliśmy sobie spokój. Nie, to nie! Mało to innych dziewcząt i ładnych, i zadbanych, i takich, które mają to w oczach? Jak jest ochota, okazja się znajdzie.

Tereska poszła w zapomnienie. Nikt już na nią nie leciał, jakoś nam przeszło. Czasem, jak któryś sobie przypomniał, to się mu powiedziało, żeby dał spokój. Z biegiem lat sprawa robiła się kłopotliwa, jako że minął szał na nietknięte.

Mój brat Tomek, chciaż młody, ma poważanie w osadzie. Jego zdanie znaczy więcej niż ogłoszenie sołtysa. Jak jest trudna sprawa, każdy idzie do niego, jak beznadziejna — w nim ostatnia nadzieja Wszystko dlatego, że jest niedowiarek — czego nie dotknie, w to nie uwierzy.

Zaczęło się od tego, że uratował ojcu paszport. Ojciec złożył podanie, zdjęcia w nowym garniturze, zaproszenie dołączył, a książeczki nie wydali. Stary klął po kątach, jak to stary. Tomek nie mógł już słuchać i kazał ojcu iść do sprawdzenia. Ale on nie chciał.

— Mardułka zauroczyła!

Puknął się Tomek w czoło, kiwał głową z politowaniem. Co Mardułka ma do sprawy? Winniśmy jej trochę desek, prawda, ale żeby z donosem chodzić? Zaraz w poniedziałek poszedł Tomek do biura i co się pokazało? Ojciec nie postawił daty na podaniu. I dlatego paszport wstrzymali. Chciał za niego to zrobić, ale urzędnik się nie zgodził bo charakter pisma by nie pasował. Ojciec wdział nowy garnitur matka wywiązała mu krawat, żeby wszystko ze zdjęciem się zgadzało, golił się pół godziny przed lustrem i wrócił z paszportem. Odtąd poszedł hyr, jaki to Tomek dożarty. Taki człowiek w rodzinie to skarb, jak się ma do czynienia z urzędami.

Od czasu do czasu Tomek zachodzi na nową plebanię. Któregoś wieczoru, gdy wrócił, zaraz do mnie. Co to za heca z Tereską? Więc ja mu tak i tak, dokładnie mówię po kolei, bo Tomek nie tylko dożarty, ale akuratny, nigdy na dziewuchy czasu mu nie starczało i tylko dbał, żeby nie wyjść z wprawy. Jak się wszystkiego o Teresce dowiedział, patrzał na mnie, jakby w lesie spotkał miejskie dziwo: wyfiokowane i w szpilkach.

Następnej soboty znów poszedł na plebanię. A jest z czego być dumnym. Poszło grosza sporo, każdy dom wyłożył pół stówy, najlepszego budulca my nie żałowali. Jak już mieć, to mieć! W dużej sali wikary nastawiał foteli i kupił video. Najpierw szedł prawdziwy film, później była nauka. Czasem odwrotnie.

Tego wieczoru szedł film, który tłumaczył taki jeden, bez którego kiedyś telewizja nie mogła się obejść, ale obecnie jakoś go nie widać. Potem była homilia.

Wikary mówił: — Powiedz mi Tomuś, po co wam Koło, dlaczego parafię obrażasz? Na plebanii masz wszystko, książki z drugiego obiegu, filmy prawdziwe, teledyski z najlepszych wytwórni, a jak chcesz, to ci sprowadzę naukowca, albo komputer. Powiedz tylko słowo. Ale ZMW zostaw!

Mój brat jak już czego nie lubi, to jak na niego mówią Tomuś. On jest Tomek dla nas, dla obcych Tomasz.

— Księże wikary — odparł zły jak psy w noc księżycową — księże wikary! Na teraz to mi żaden naukowiec niepotrzebny i nie mam czasu na komputery. Każdemu swoja droga. Księdzu do rachunków, mnie do kopania.

Tu się ksiądz zafrasował. Zrozumiał, że Tomka nie przegada, ani nie przekona. Tak, że musieli zacząć prawdziwą rozmowę.

Wtedy mu Tomek wyłożył, że po to Koło, aby w naszej osadzie zbudować wodociąg, i on tego dopnie, chociażby mu wikary zabronił oglądać „Ben Hura". Ale jak wikary posłyszał o wodociągu, to już go przestał nazywać Tomusiem. Woda to woda. U nas z wodą prawdziwe nieszczęście. Jak mróz przychwyci, albo latem deszczu mało, żaden hydrofor nie działa.

— Ideologia ideologią — powiedziała cicho Tereska — a myć się trzeba!

— Dobrze już, mój synu, dobrze — udobruchał się wikary. — Tylko mi obiecaj, że jak wodociąg zbudujesz, Koło zaraz rozwiążesz.

Każdy na urzędzie musi postawić na swoim. Nasz wikary też pisze sprawozdania.

Ale Tomek tylko kręcił głową: — Nijak nie mogę — odparł. — Jak już będzie wodociąg, trzeba rozejrzeć się za kanalizacją. Ksiądz wikary mógłby pomyśleć o jakimś biobloku.

— Ty byś się, Tomasz, nawet z Panem Bogiem wadził!

— O dwadzieścia milionów warto! — wtrąciła Tereska. I tu księdza zatkało.

Tereska spuściła głowę, zapłoniona jak dziewucha przed pierwszą spowiedzią, i tylko spod oka patrzyła na Tomka.

A później wyszli z plebanii razem.

Spać chodzę różnie, wcześnie albo późno. Jak się zdarzy. Tego wieczoru włączyłem radio, długo nastawiałem, bo mi coś fala uciekała i dopiero przed samą jedenastą usłyszałem czysty głos spikera. Ale wtedy wrócił Tomek.

Mój brat był jak zawsze poważny. A chociaż był do krzty zmachany, nie rozbierał się. Stał przede mną na środku pokoju, trzymał się za pas kowbojski i patrzył mi w oczy.

— Ona jest całkiem w porządku.

Zaraz wiedziałem o kim mówi, ale milczałem. Wtedy dodał: — Ona jest ideolo!

CHRYSTUS FRASOBLIWY

W dzisiejszych czasach ludzie nie zwracają uwagi na świątki. Samochody śmigają, nikt nie chodzi modlić się pod figurę, czasem tylko wybierze się który po bez, ale chyłkiem, bo niedobrze zadzierać ze świętymi. Chyba, że chodzi o świętego Antoniego, patrona złodziei. Nie wiadomo, dlaczego złodzieje mają swego opiekuna, jak porządna profesja kowali czy zdunów. Chyba dlatego, że jak rozdzielali zawody, Antoni się spóźnił i nawet strażaków sprzątnął mu Florian. Antoni to święty łaskawy, dobrotliwy, zupełnie jak nasz szwagier, którego każdy oszwabi.

Gdyby ktoś przyjrzał się przydrożnym kapliczkom, to by zauważył, że najwięcej w nich Chrystusów frasobliwych. Bo jak się modlić, to do głównej osoby, bez pośredników, którzy połowę ukradną, resztę przeinaczą.

Siedzi więc Chrystus zafrasowany, bo jak tu się nie trapić, kiedy każdy patrzy swego, ludzie nieużyci, baby gonią za chłopami, a chłopy albo na zebraniach, albo wódę żłopią. Jak im się wiedzie, o powinnościach nie myślą, za jedno — duchowych czy świeckich. Dopiero jak ich bieda przyciśnie, wtedy do kapliczki, albo do naczelnika.

Tylko w naszej osadzie nie ma Chrystusika. I nie ma kapliczki. Jakoś się nie składało. Ale mało wiela, byłoby u nas jedno i drugie, gdyby nie zaszły poważne wydarzenia. Człowiekiem, który miał tego dokonać jest mój stary.

Historia kariery mojego ojca, który z chłopa zmienił się w artystę, jest krótka i ciekawa. Proboszcz kazał mu kupić, pewnie za grzech nie byle jaki — posążek świętego Ignaca, który jest patronem naszej parafii. Ojcu żal się zrobiło dutków, bo to trza by wydać gotowy grosz, więc chodził struty, aż się natknął na dziadkowy kozik. Z nudów i frasunku zaczął dłubać. I raptem jak na niego coś naszło, święci Pańscy! Dziabnął raz, dziabnął drugi: wychodzi! W parę dni wyrzeźbił świętego Ignaca, który cokolwiek był podobny do naszego proboszcza, ale to nawet lepiej. W końcu dawno nikt nie widział świętego, a proboszcza można sobie codziennie obejrzeć jak chodzi do klubu. Tak czy owak ojciec zaniósł figurkę. Jakby to był nasz dawny kanonik, pewnie by świętego ustawił w zakrystii, ale się naraił młody wikary. Ten wziął ojca cudo, obejrzał z każdej strony i posłał na wystawę. Wróciło z największą nagrodą! Odtąd się zaczęło. Rzeźbi i rzeźbi. A że święci pewnie lubią reklamę, więc na ojca łaski spływają. Tylko z samej łaski nie wyżyjesz, trzeba jeszcze chleba. Więc figurki wracały z tych wystaw, dyplomy szły na ścianę, one do komory, aż się komora zaklinowała jak beczki marmolady przed przeceną. Dopiero jak się pojawił Jasiek, interes ruszył. Jasiek od lat handluje byle czym, talerzami, orłami; to co mu szkodziło wozić do Morskiego Oka ojcowych świętych. Dolą dzielili się po połowie. Zebrało się tego na nową chałupę.

U nas, jak człowiek chce mieć poważanie, musi się budować. Za jedno — czy z Chicago wrócił, czy się na przemycie obłowił, musowo dom stawia. Nie mógł ojciec być gorszy, poddał się obyczajom. Chałupa jest jak inne, piętrowa, murowana. Z tą tylko różnicą, że miała być przed nią kapliczka, jak na artystę przystało. Ale kto w kapliczce?

Ojciec nie z tych, co nie potrafią dwóch rzeczy robić na raz: na przykład chodzić i myśleć. No więc łaził, duma, i nie mógł postanowić, jakiego by tu świętego uhonorować. Nawet w niebie święci jakby się przyczaili, nie dali żadnego znaku. Aż tu jakoś po obiedzie palnął się ojciec w czoło.

Jasne! Jakżeby inaczej! Nic, tylko w kapliczce chce siedzieć sam Chrystus! Bo co innego sterczeć w kurzu, za wsią, a zgoła honorniej w środku osady, na naszej parceli. Dlatego świętym przykazał, żeby byli cicho.

Wziął się ojciec raźno do pracy.

Wikary nachodził parę razy, zagadywał a to a owo, jak będzie ze święceniem. Ojciec uśmiechał się domyślnie i powiadał, że to co trzeba w peweksie zamówił. Wikary odchodził uspokojony.

I kiedy figurka była obrobiona, tak że tylko nadać jej ludzkie cechy — wybuchła chryja. Ojcu jak raz skończyły się dutki i liczył na Jaśka, a tu wylazło szydło z worka. Ni ma dutków.

Co się pokazało? Z początku Jasiek uczciwie dzielił dolę, ale mu wyszło za drogo. On sobie — niby ojciec — kozikiem w cieple dłubie, a ty głupi stój, lato — zima i ludziom buble podtykaj. Cóż to — myślał Jasiek — w prywatnym interesie prywatne zasady nastały? Ki diabeł!

Wziął Jasiek kawałek lipy i tym samym sposobem co ojciec, świątka wydłubał, na spodzie naciął ojcowe inicjały i pod tym pseudonimem szły świątki jak woda. A ojca pod okapem butwiały, chociaż nagrodzone i święcone. Tak to Jasiek ojca orżnął, jak Żyd chłopa w karczmie przed wojną.

Tylko że z ojcem trudna sprawa. Ojciec urazy nie puści. Jak wroga rozpozna, niczym rasowy kundel, ni warknie, tylko zęby zaciska.

Najpierw ojciec chodził struty, jakby się najadł surojadek, myślał i myślał o zemście. Z wykonaniem się nie śpieszył. Ucztą bogów nie jest zemsta ale jej obmyślanie.

Wreszcie jak już Jasiek sądził, że go złe ominie, wziął ojciec japoński aparat, strzelił Jaśkowe ryło, zdjęcie wywołał, i dobrał się do porzuconego świątka.

Figurka była gotowa, tylko dorobić głowę. Ojciec upodobnił ją do łba Jaśkowego, czuprynę ufarbił na rudo, pryszcze na czarno i posłał ją na największą wystawę.

Nazwał ją: Judasz!

ŚMIERĆ HEMINGWAYA

W domu mieliśmy dużo książek, które stały po różnych kątach, wciskały się na półki, wypychały kolekcję kryształów, które matka zbierała dla Mirki. Najwięcej było książek szkolnych. Ojciec mówił, że w jego latach wszystkie dzieci uczyły się z tych samych podręczników, które przechodziły z dziecka na dziecko, jak gospodarka z ojca na syna. Dzisiaj czasy inne. Dzisiaj taki postęp, że wiadomości, które profesor podaje na pierwszej lekcji, trzeba uzupełnić aneksem na ostatniej. Jak umowę z majstrem. Jedna książka na dom nie starczy, trzeba ich tyle co dzieci. Nas jest w domu pięcioro, więc jak się tylko pomnoży, wiadomo ile jest podręczników.

Matka zbiera książki kucharskie. Nie żeby nie umiała gotować. Tak źle to z nią nie jest. Obsłużyła niejedne chrzciny i wesela. Książki stoją sobie w kuchni, elegancko, w celofanie, wysztyftowane jak francuskie garnki, które używamy od święta. Dobre książki, drogie, z kolorowymi obrazkami. Matka ich nawet Mirce nie pozwala oglądać, chociaż jej na wszystko pozwala.

W pokoju mamy nie mniej ważne książki. Obydwie encyklopedie — fińską i jugosłowiańską. To nie są encyklopedie z tych krajów, one są całkiem nasze, tylko u nich drukowane. Dlaczego? Nie wiem. Obok nich stoi ze dwadzieścia albumów, które Ewka z zagranicy zwozi. Z Rzymu o papieżu, Z Lours o Matce Boskiej. Matka powiedziała, że jak się pojedzie do stryja, przydadzą się na prezent, ale Ewka tylko się skrzywiła. Nie po to z zagranicy zwozi, żeby je oddać do Chicago.

O innych książkach nie ma co mówić, bo nie są tak ważne jak tamte. Dość, że są. Wiadomo czyje, po co, skąd się wzięły.

A z jedną jest kłopot. Nie wiadomo, gdzie ją ojciec znalazł, i teraz nic, wszystkich wypytuje. Ale czy to człowiek o wszystkim może wiedzieć? Przynajmniej nie w naszej osadzie.

Na pierwszy rzut oka książka wygląda nijako. Ni gruba, ni cienka. Pół papieru jasnego, pół żółtego. Okładka też nic ciekawego. Naprawdę nie było sensu, żeby sobie ojciec nad nią głowę łamał. Ale trzeba znać naszego starego. Ojciec jak ten niedźwiedź, który tak się zawziął, że wszystkie owce wydusił.

Najpierw książkę obejrzała matka. Popatrzyła, pokręciła głową, jak nad niezrozumiałym słowem z pisma niedzielnego.

— O kościele? — zapytała.

— O jakim kościele?! — burknął ojciec. Kiedy ojciec burknie, zamiast normalnie zakląć, to znaczy, że wychodzi z nerw.

— Niby o dzwonach...

— Głupia baba! — znowu burknął ojciec i sprzątnął matce książkę sprzed nosa. Matka zezłoszczona kazała obrządzić krowy, a nie zajmować się głupstwami. Ale sprawa przez to się nie rozwiązała, chociaż zrobiliśmy w oborze Wilanów.

Później ojciec zagadnął Ewkę: — Kto to jest Hemingway?

Ewka odwróciła się od lustra, przed którym przyklejała piegi. Miała ich w saszetce tyle co kwiatków w koszyczku na Boże Ciało.

— Hemingway? — zastanowiła się marszcząc nos do góry. — Chyba jakiś reżyser od science fikcion.

— Reżyser! — warknął ojciec, bo już był cholernie zeźlony.

— Może producent — wzruszyła ramionami Ewka, po czym stanęła przed ojcem.

— Dałbyś lepiej dziesięć dolców! — zażądała.

— Na co aż tyle?

Dziesięć dolców, nie wiem jak gdzie, ale u nas to pieniądz, zwłaszcza jak się ma pięcioro dzieci.

— Idę na urodziny.

— Na urodziny nie daję — odparł ojciec. — Weź zwyczjne pieniądze od matki.

Ewka stała przed ojcem zła jak cholera, w tych spodniach, które wkłada na wcisk i tylko wtedy, jak ma na sobie angielskie rajtki. Matka bardzo lubi te portki, które Ewka wkłada na leżąco, bo myśli, że w nich nie można się puścić. Matka jeszcze nie odkryła, że w spodniach jest wszyty długi zamek. Jak to odkryje, Ewka dostanie kopyścią.

— Tato! — zawołała Ewka wścieknięta. — Ja cię proszę jak człowieka człowiek. Nie będę przez twoje sknerstwo przed Baśką świeciła oczami. Czy to znajda jestem, żebym na prezent dawała zwyczajne pieniądze?

Ojciec stał przyparty do muru i drapał się w głowę. Kiedy się idzie na urodziny do Baśki, trzeba mieć odpowiedni prezent, kryształ albo kupon jedwabiu. No więc stary, rad nie rad, sięgnął do kabzy, w której miał dolce dla Tomka.

I znów wrócił do książki. Nie dawała mu spokoju. Na szczęście było niedzielne popołudnie, słońce przygrzewało. Dobytek oporządzony, w telewizji nudy, choćby się włączyło supercolour, radio jeszcze nie nadawało. Ojciec siedział nad szklanką kawy i medytował. Ojciec rzadko medytuje, ale jak zacznie — nie ma ratunku.

Gdzieś pod wieczór przyszła Hanka. To jest bardzo dziwna dziewczyna, niby jak wszystkie, a jakaś inna.

Kiedy zobaczyła ojca na medytacjach, chciała się cichcem wycofać, lecz stary ją dojrzał. On ją lubił.

— Powiedz mi, synowa — ojciec tak nazywa Hankę, chociaż wcale nie wiadomo, czy Tomek zrobi ją synową, matka o tym też milczy. — Powiedz mi synowa kto to jest Hemingway?

— Był — poprawiła Hanka. — Hemingway — krzesny — nie żyje, od dwudziestu pięciu lat.

— Tak — przeciągle powiedział ojciec. — A tego nie wiedziałem. Czytam, widzisz jego książkę, do gustu mi przypadła i nie miałem pojęcia, że to taki wielki pisarz.

Dla ojca wielki pisarz powinien umrzeć dawno. A ćwierć wieku to szmat czasu.

— A nie wiesz synowa, na co umarł?

Hanka żuła gumę. Szczęki jej chodziły jak turoniowi, góra — dół, góra — dół.

— On się zastrzelił — odparła, przestając na chwilę ruszać opaloną od roboty twarzą.

Ojca wiadomość zastanowiła. Zsunął okulary i patrzył wyczekująco na Hankę, jak na listonosza, co nosi przekazy.

— Widzicie krzesny, to było tak. Hemingway poczuł się stary. Żal mu się zrobiło polowań, na które nie pojedzie, połowów, na które nie wypłynie, nie mógł polecieć do Wietnamu, safari było już nie dla niego. Pewnego popołudnia zdjął but wziął strzelbę, lufę wsadził w usta, a palcem u nogi nacisnął spust.

— Dlatego, że był stary?

— Dlatego.

Ojciec siedział w bezruchu. Mucha spokojnie łaziła po brzegu szklanki do połowy wypełnionej kawą. Ojciec siedział zamyślony o dalekiej wyspie zalanej słońcem, jak nasz sad w dzisiejszą niedzielę, i zastanawiał się, jaka też dziewczyna z tej Hanki. Nikt nie wiedział o Hemingwayu, a ona wiedziała.

Później ojciec zajął się zwyczajnymi sprawami.

U nas w osadzie nikt nie słyszał, żeby jakiś stary się zastrzelił. Owszem, w dawnych czasach syn miał prawo wynieść ojca do lasu, ale ten obyczaj minął, jak wprowadzili renty za gospodarkę. Zresztą, o ile pamiętam, nasz ojciec zawsze był stary i pewnie zdążył do tego przywyknąć. Nie słyszało się także, żeby ktoś do siebie strzelał z dubeltówki, a przed tym zdejmował buta. Nieboszczyk bez buta wygląda całkiem nieprzyzwoicie.

Tomek wrócił późnym wieczorem, jak zwykle, to znaczy kiedy ojciec jeszcze nie spał. Czekał na niego w cieple wieczoru na ławce przed domem. Palił, pociągał piwo z puszki i gapił się w niebo. Tomkowi chciało się spać i był porządnie zmachany, ale przysiadł na chwilę do ojca, bowiem był pierworodny i nie mógł bez słowa przejść obok rodzica.

Ojciec dalej siedział, jakby nie miał nic do powiedzenia. Palił, popijał, oglądał podziurkowane niebo.

Dopiero jak Tomek chciał wstać, ojciec położył mu rękę na kolanie.

— Nie widzi mi się ta cała Hanka — powiedział cicho, kiedy się już nasiedzieli, ile obyczaj każe. — Inne dziewuchy całkiem zwyczajne, a ona odmienna.

Tomek skinął głową, czego ojciec z dwóch powodów nie widział, bo było ciemno i patrzył w niebo.

— Aha!

— Tak żę, synu, rozejrzyj się za inną.

Tomek znów kiwnął głową. Chciało mu się spać jak cholera.

Ojciec wstał, przeciągnął się, spojrzał na gumno i zbierał się do domu.

Z jakiej racji stary człowiek miałby do siebie strzelać? — zadumał się na dobranoc. — Z jakiego powodu?

PASJA

(CIĄG DALSZY ZE STR. 2 BIAŁEJ IZBY)

Profesor spostrzegł, że młody Bielawa pilnie słucha wykładów, dowiedział się, że godzinami przesiaduje w bibliotece, nierzadko wychodząc z niej ostatni. A jednocześnie usłyszał o jego trudnej sytuacji materialnej, o tym, że jest zdany wyłącznie na własne siły.

Prof. Oswald Balzer troszczył się o swoich studentów i jak tylko mógł, starał się im pomagać. Niby przypadkiem zatrzymał w korytarzu Józefa Bielawę:

— *Widzę, że dużo przesiaduje pan w bibliotece. Czy nie zechciałby mi pan pomóc? Mam sporo zajęć i nie zawsze starcza mi czasu na szperanie, wyszukiwanie materiałów, robienie notatek, wypisów. Postaram się to jakoś wynagrodzić...*

Józef Bielawa był szalenie wdzięczny profesorowi. Pensja, jaką mu płacił Balzer, pozwalała na kontynuowanie studiów bez obawy, że któregoś dnia trzeba będzie rzucić naukę i zarabiać na życie.

Ostatni, dyplomowy egzamin zdawał już w czasie wojennej zawieruchy. Oswald Balzer za wszelką cenę chciał zatrzymać nieprzeciętnie zdolnego absolwenta, w którym — jak to otwarcie przyznawał — upatrywał swego następcę. Bielawa nie podjął na razie decyzji, co będzie robił. Tymczasem — był rok 1915 — postanowił w czasie wakacji trochę odpocząć.

Rok wcześniej poznał Zakopane, gdzie był gościem pp. Przanowskich, właścicieli hotelu położonego w centrum uzdrowiska, rodziców jednego z kolegów. Zapraszali go wówczas, aby za rok znów ich odwiedził. Spakował więc teraz rzeczy — a było tego niewiele — i... poszedł do Zakopanego. Na przejazd koleją nie za bardzo było go stać, a zresztą uważał, że taka „krajoznawcza” wycieczka bardzo mu się przyda.

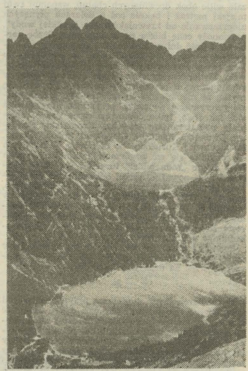

Fot. STANISŁAW MOMOT

Zakopane, choć wokół trwała wojna, żyło normalnie. Jedynie spotykane tu i ówdzie grupki pracujących lub maszerujących jeńców przypominały, że gdzieś na świecie biją się i giną żołnierze.

Jak to się stało, że uzdolniony i mający przed sobą wspaniałą karierę Józef Bielawa został w Zakopanem na stałe? Przecież nadchodziły doń listy ze Lwowa, aby wrócił i prowadził wykłady, potem, już po wojnie, Uniwersytet Jagielloński nęcił obietnicami kariery. Nie uległ namowom.

Nie chcąc być dłużej ciężarem dla państwa Przanowskich, został wychowawcą w gimnazjalnej bursie mieszczącej się w „Okszy” (ul. Zamoyskiego), a rok później objął nauczycielską posadę w zakopiańskim gimnazjum, mającym siedzibę w nieistniejącej już dziś „Lilianie” (ul. Gimnazjalna). Uczył łaciny i greki, a nadto — języka polskiego. Z czasem odezwały się też wpojone przez nagoszyńskiego organistę zamiłowania muzyczne; objął więc lekcje śpiewu, prowadził chór szkolny. Jeszcze mieszkając u pp. Przanowskich siadał z kolegami w kawiarni hotelowej, pod wielką, ozdobną palmą i śpiewali. Widocznie nie najgorzej, skoro któregoś dnia podszedł do nich jakiś pan, dziękując za najlepsze, jakie słyszał dotąd, wykonanie ...swojej

(CIĄG DALSZY NA STR. 6 BIAŁEJ IZBY)

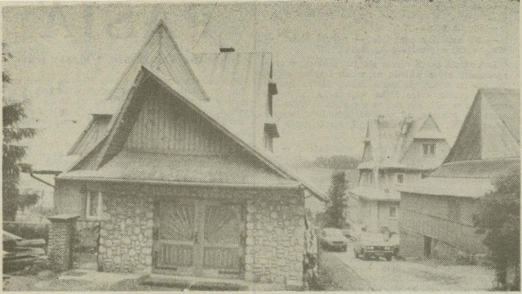

BUKOWINA

Hej, ni ma tyz to ni ma,
Jak na Bukowinie:
— Nopierwyj śnieg kurzy,
Na ostatku ginie!

— tak przekornie rekomendowali kiedyś swoją wieś bukowińscy górale i gorzka ironia podzwania w tej śpiewce: zachwyt nad urokliwym położeniem i walorami klimatu skutecznie mrozi prawda o bytowaniu na skalistej ziemi — tu nic nie przychodzi łatwo i górska gleba nie nagradza upornej pracy obfitym plonem.

Przybysz może i z zazdrością spojrzy dziś na okazałe wille obok drewnianych chałup, wspomni swój miejski metraż i bąknie coś o dolarach płynących nieprzerwanie od krewniaków zza „wielkiej wody", przemnoży cenę biletu na wyciąg przez liczbę narciarzy i ilość dni w sezonie, ale, nasyciwszy się widokiem — ruszy do Zakopanego w poszukiwaniu lokalowego komfortu i bardziej „elitarnych" rozrywek. Stwierdziwszy zbyt niskie ciśnienie wody w pensjonatowym prysznicu — pewnie i pocieszy się myślą, że nie mieszka tu na stałe. Po jakimś czasie rzeczywiście wyjeżdża, przyjeżdża inny, a wieś stoi jak stała, tylko domostwa coraz gęściej oblepiają podtatrzańskie wierchy: Kramarski, Buńdowy, Olczański, Rusiński, Głodowski, Spiski, Wysoki, Bachledowy i Kurucowy, bo Bukowina — jak Rzym — rozsiadła się na wzgórzach. I mimo wszystko wieś ciągle „rada widzi" turystów — toć to podstawa bytu poważnej części bukowińskich górali — praprawnuków tubylczej ludności i 26 odważnych, którzy w 1618 roku zdecydowali się osiedlić w wierchach. 20 września 1636 roku przywilej wójtowski nadany Bartkowi Bukowińskiemu przez Starostę Nowotarskiego zapoczątkował łączenie się osadników w zorganizowaną społeczność.

Powtórka z dziejów wsi i losów jej mieszkańców może pozwoli lepiej zrozumieć ich charakter, inaczej spojrzeć na dzisiejszą Bukowinę.

*

26 ról darowanych osadnikom przyjęło nazwy od właścicieli i tak zostało po dziś dzień. Chciwość starosty Komorowskiego sięgała widać i tutaj, skoro źródła pisane wspominają o chłopach z Bukowiny świadczących w sądzie przeciwko niemu. Biegły lata, a ziemia przechodziła z rąk do rąk, na mocy testamentów dzieliła się w coraz to mniejsze kawałki. Surowość klimatu, lata nieurodzaju, mrozy, wojny i epidemie nie ułatwiały gazdowania na bukowińskich wierchach — bywały lata, kiedy liczba zgonów kilkakrotnie przekraczała liczbę narodzin, w 1873 roku cholera zebrała tu wielkie żniwo. Już wtedy zaznaczyły się we wsi różnice majątkowe, wzbogacili się niektórzy gazdowie, inni spadli do rzędu wyrobników i komorników. W XVIII i XIX wieku dzieje Bukowiny podobne były dziejom wszystkich podhalańskich wsi: przy ogólnym zastoju w rolnictwie rosła liczba ludności i postępowało zubożenie. Jednoklasowa szkoła parafialna w Białce, czynna tylko jesienią i zimą, nie mogła zaspokoić potrzeb oświatowych czterech wsi.

Reakcją górali na przedłużanie się tak ciężkiej sytuacji była masowa emigracja do Stanów Zjednoczonych, niektórzy ratowali się wyjazdami na roboty sezonowe do Niemiec i Węgier, nawet w bogatsze rejony Galicji. Zjawisko to zmniejszyło rozmiary dopiero po I wojnie światowej.

Już w początkach wieku stała się Bukowina atrakcyjną miejscowością wypoczynkową, zaczęła czerpać zysk z turystyki, a szedł za tym rozwój hodowli, rękodzielnictwa artystycznego i ogólne polepszenie warunków bytowania. Osobliwość klimatu i ukształtowania terenu, zauważona wcześniej przez Staszica, odnotowana przez Goszczyńskiego i Wincentego Pola, zaczęła ściągać ludzi w bukowińskie wierchy. Wtedy biegła przez Bukowinę i Głodówkę najkrótsza droga do Morskiego Oka i ku Tatrom, dopiero gościniec z Zakopanego przez Jaszczurówkę i Zazadnią zmniejszył popularność tej trasy. W latach międzywojennych do Bukowiny ściągają narciarze skuszeni wspaniałymi warunkami i letnicy zmęczeni wielkomiejskim gwarem. Przy reorganizacjach administracyjnych w 1936 roku zbiorcza gmina Bukowina Tatrzańska objęła: Białkę, Jurgów, Czarną Górę i Rzepiska, a na krótko przed wojną — także Jaworzynę Spiską i Podspady. We wrześniu 39 r. Jurgów, Czarna Góra i Rzepiska dostały się w obręb faszystowskiego państwa ks. Tiso — skutkiem okupacji był zastój, a właściwie regres gospodarczy, choć ówczesny gminny urząd (z wyjątkiem wójta) starał się sprzyjać ludności.

Po wojnie Polska wraca do stanu posiadania z 1936 r., ale w nadgranicznych wsiach Spisza (Jurgowie, Czarnej Górze, Rzepiskach) przemieszała się ludność polska ze słowacką, a nawet węgierską i rusińską. Bukowina, Brzegi, Białka, Groń i Leśnica pozostały etnicznie polskie.

Nad peryferyjnym położeniem Bukowiny i czynnikami hamującymi rozwój wsi widocznie zawsze brały górę inwencja i pracowitość mieszkańców (inspirowanych potem przez kierownika szkoły — Franciszka Cwiżewicza), skoro w 1923 r. działała tu już biblioteka, nieco później powstał teatr i chór włościański, odbywał się zjazd Związku Podhalan. Część Domu Ludowego oddano do użytku w 1931 roku, a w kilka lat później wieś miała już światło dzięki spółdzielni elektryfikacyjnej. Wcześniej powołano Ochotniczą Straż Pożarną. Wkrótce po wojnie Bukowina wzbogaciła się o linię autobusową do Zakopanego, piekarnię mechaniczną i remizę OSP. Pod koniec lat pięćdziesiątych nowa droga połączyła Bukowinę z Zakopanem, Nowym Targiem i Morskim Okiem, dzieciom oddano „Tysiąclatkę", powstał wiejski wodociąg Przybył jeszcze budynek poczty i Dom Handlowy, rok temu zaczął działać Gminny Ośrodek Zdrowia. Wyrosło przez te lata w Bukowinie mnóstwo nowych domów i zabudowań gospodarczych, a i powiększyła się rzesza turystów korzystających z uroków miejscowości. Nie oznacza to jednak, że Bukowina bliska jest ideału. Wypowiedź gospodarza bukowińskiej gminy zdaje się potwierdzać fakt, że życie w tej pięknej, wierchowej wsi wcale nie jest sielanką

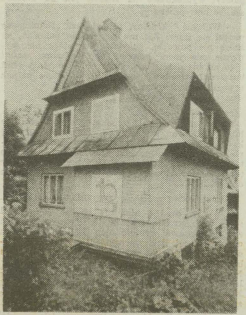

— To jest gmina, a mamy potrzeby miasta — mówi **STANISŁAW BUŃDA** *— Jeśli sama Bukowina liczy 2,5 tys. mieszkańców — dochodzi do tego 10 tys. przyjezdnych w sezonie zimowym. Rachunek jest prosty: na jednego „tubylca" przypada czterech wczasowiczów. Latem — zatrzęsienie kolonii — na 34 turnusach wypoczywa w tej chwili 6,5 tys. młodzieży, najwięcej w Białce Tatrzańskiej. Przy takiej liczbie gości nieuchronne są kłopoty z zaopatrzeniem: w martwym sezonie placówki handlu i gastronomii zaspokajają potrzeby, bo gmina liczy zaledwie 12 tys. ludzi, ale gdy w zimie ilość ta wzrośnie o 20 tys. — dotkliwie odczuwa się brak porządnego zakładu gastronomicznego, barów szybkiej obsługi, placówek małej gastronomii. Niezbędny staje się motel, bo turysta przyjeżdżający na sobotnio-niedzielny wypoczynek nie ma się gdzie zatrzymać — w domu wczasowym go nie przyjmą, a kwatery prywatne są „obstawione" o wiele wcześniej.*

Okazuje się, że Bukowina nie ma parkingów: w sezonie narciarskim samochody ustawiają się gęstym sznurem po obu stronach drogi w pobliżu wyciągów. Trudno w takiej sytuacji mówić o ruchu bezkolizyjnym. A nie ma parkingów, bo gmina nie ma własnych terenów, wszystko to użytki rolne i sprawa wykupu jawi się jako niemożliwa do załat-

350 ROKÓW
BUKOWINY
1636
WITOJCIE

TATRZAŃSKA

wienia, choć powstał już plan lokalizacji parkingu w Bukowinie Górnej, właśnie blisko wyciągów.

Zimą doskwiera bukowianom także brak wody: wodociąg ma prawie 30 lat i obliczony był na potrzeby rolnictwa. W międzyczasie podłączyły się ośrodki wczasowe i wprawdzie „gospodarz da dwa-trzy wiadra krowie, ale wczasowicz chce się chlapać”. W sezonie zimowym Bukowina potrzebuje ok. 1500 kubików wody dziennie, a skute lodem ujęcia nie dają więcej nż 600—700 kubików. Koniecznością staje się budowa nowych ujęć, bo wydajności tamtych nikt nie zwiększy. Jest też projekt pociągnięcia wody z koryta Białki przez Brzegi, ale koszt tej inwestycji szacuje się na ok. pół miliarda i w tym wypadku kłócą się interesy mieszkańców z racjami „ochroniarzy”, którzy Białkę chcą uczynić rezerwatem. Skąd popłynie woda dla Bukowiny — dziś nie wiadomo.

Brzmi to jak paradoks, ale i tutaj nabrzmiewa kwestia ochrony środowiska — co robić ze ściekami i śmieciami, jeśli wieś nie jest skanalizowana? Domy wczasowe i prywatne mają co prawda własne zbiorniki, ale jest to rozwiązanie na krótką metę. Trzeba urządzać wysypiska i myśleć o utylizacji odpadów, w opracowaniu jest plan oczyszczalni, choć to jeszcze odległa perspektywa. Za bardzo intensywnym rozwojem wsi na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci nie szły inwestycje komunalne — nie ma w Bukowinie przedsiębiorstwa gospodarki komunalnej, jak dowcip brzmi wiadomość, że tylko jeden pracownik zajmuje się tu oczyszczaniem jezdni i przystanków. zresztą budżet gminy nie pozwoliłby na większe zatrudnienie 30 km wodociągu również domaga się konserwacji. Połączenia autobusowe PKS nie są w stanie obsłużyć wszystkich chętnych, zwłaszcza zbiorowych wycieczek organizowanych przez ośrodki wczasowe.

Tylko z drogami uporała się Bukowina dzięki dotacjom z Funduszu Prewencyjnego PZU, jest już połączenie z wierchami: Rusińskim, Kurucowym, z Brzegami i Leśnicą—Groniem. Bez drogi do Bukowiny pozostały jedynie Rzepiska, ale i ta ma być wkrótce położona — pomoże pewnie WZIR, który buduje wodociągi w Jurgowie i Brzegach. Korzystając z hojności PZU, dwie wsie: Brzegi i Jurgów, wzbogaciły się o nowe remizy z salami widowiskowymi i świetlicami, także Białka rozbudowuje swoją remizę i Leśnica—Groń myśli o budowie wielofunkcyjnego ośrodka.

Na pięknym podłożu wiekowych tradycji kultura ludowa krzewi się tu bujnie, w każdej wsi działają zespoły, w całej gminie jest ich kilkanaście; twórców i artystów ludowych — wszechstronnych, oryginalnych, z „iskrą bożą” — w samej Bukowinie trudno zliczyć, działa (co jest rzadkością) teatr regionalny. Ale — Dom Ludowy — staruszek wybudowany w okresie międzywojennym i pozostający pod opieką samorządu Spółdzielni Kulturalno-Oświatowej — domaga się kapitalnego remontu, zaś remont pochłonie kilkadziesiąt milionów złotych. Teraz dochód z tej placówki nie wystarcza nawet na pokrycie kosztów działalności. Stąd potrzeba zbudowania gdzieś w centrum gminy wielofunkcyjnego GOK-u Tym bardziej, że na razie bukowińskie wsie muszą się zadowalać kinem objazdowym.

Stylowy drewniany kościółek — jakby zawstydzony bliskim sąsiedztwem dużego, murowanego — stoi bezpański i trochę podniszczony. Fakt, że w klasie zabytków się nie znalazł, ale zamiast burzyć niepotrzebny już obiekt — może warto rozważyć propozycję Naczelnika i urządzić tam galerię rzeźby sakralnej — ku zadowoleniu twórców (którzy wreszcie mieliby gdzie wystawiać swoje dzieła) i zwiedzających, bo zasada decorum przemawia za takim właśnie miejscem ekspozycji.

Tutaj można by dopisać optymistyczną puentę, wyrazić nadzieję, że pracowitość mieszkańców, ich przywiązanie do podglebia i twórczy duch w niedługim czasie dokonają cudu i zmienią Bukowinę w raj „tubylców” Mekkę turystów i narciarzy. Ale bądźmy realistami: bez koniecznych środków materialnych i przemyślanych inwestycji. bez współdziałania z właścicielami większych ośrodków wczasowych Bukowina raczej nie upora się ze swymi kłopotami. a wtedy jeszcze większa ironia będzie dźwięczała w śpiewce: *„Ni ma tyz to, ni ma, jak na Bukowinie”*...

ANNA SZOPIŃSKA

Zdjęcia **MICHAŁ SROKA**

PASJA

(CIĄG DALSZY ZE STR. 3 BIAŁEJ IZBY)

kompozycji pt. „Kiedy przyjdę już, dziewczyno”. Był to znany kompozytor Bolesław Wallek-Walewski. Kiedy później utworzył w Krakowie chór „Echo”, często zapraszał Józefa Bielawę do współpracy, co było sporym wyróżnieniem dla młodego nauczyciela.

Syn profesora Bielawy, Jerzy, który był również jego uczniem, twierdzi, że tylko ten mógł liczyć na ojcowskie względy na innych zajęciach, kto wyróżniał się w śpiewie. Do tych, o których profesor Bielawa nie wyraża się zbyt ciepło, gdyż nie śpiewali w chórze, należał i Adam Żeromski, syn wielkiego pisarza.

Szkoła, młodzież, chór... To były chyba trzy największe pasje profesora. Pasje, dla których poświęcił karierę, zrezygnował z zaszczytów; pozostał im wierny do końca swej działalności zawodowej. Z czasem przestał wystarczać mu chór szkolny. Wspólnie ze znanym w mieście organistą Józefem Mistrzykiem prowadził doskonały chór „Echo Tatrzańskie”, później stał się współzałożycielem „Wierchów”. Robił to, jak twierdzą świadkowie tamtych dni, doskonale. W repertuarze trafiały się prawdziwe perełki polskiej muzyki wokalnej: utwory Bolesława Wallek-Walewskiego, Jana Galla, Stanisława Niewiadomskiego, także oczywiście Stanisława Moniuszki oraz opracowania utworów ludowych.

W domu pp. Bielawów wisi pastelowy portret ich nieżyjącego syna, Stanisława. — *Wybrałam się z 3-letnim Stasiem do Witkacego* — wspomina p. Janina. — *Przyznam: nieco wystraszona. Opowiadano przecież, że dziwak, że wariat, pijak, narkoman. I proszę sobie wyobrazić; kompletne zaskoczenie. Przyjmuje nas wytworny, elegancki pan, sadza mnie na kanapce, proponuje coś do picia, pyta, jak sobie wyobrażam portret dziecka... Zaszokowało mnie też tempo jego pracy. Cały seans — razem z ubieraniem Stasia, posadzeniem go na foteliku, uspokojeniem — trwał raptem około półtorej godziny. Ponieważ Witkacy nie pozwolił mi zaglądać za sztalugi, byłam przekonana, że wyszedł z tego jakiś niesamowity knot. A tymczasem namalował dobry, w realistycznej konwencji utrzymany „konterfekt”. Przez cały czas Witkacy zabawiał mnie i małego, i tak sobie zjednał mego synka, iż ten przez długi czas stale pytał, kiedy jeszcze pójdziemy do tego fajnego wujka...*

Stanisław Makowiecki, mieszkający obecnie w Hiszpanii w swych wspomnieniach lekcje u prof. Bielawy przedstawia jako jedno pasmo niepewności i strachu.

— *Nie wiem, dlaczego on tak właśnie odebrał moje lekcje?* — zastanawia się sędziwy nauczyciel. — *Przecież u mnie na lekcjach nigdy nie było jakiejś histerii. Owszem, pytałem, ale nigdy właściwie nie stawiałem stopni, a najwyżej robiłem notatki w prywatnym kajeciku; nie miały wpływu na generalną ocenę. Nie było u mnie nigdy żadnych tzw. średnich not, stawianych na podstawie matematycznych wyliczeń. Uczeń otrzymywał ocenę za to, co faktycznie umiał, a nie na podstawie przypadkowych odpowiedzi. A mój stosunek do uczniów? Przyznaję, że chór był moją słabością i kto w nim śpiewał, z reguły mógł liczyć na pobłażliwsze traktowanie na lekcjach łaciny czy polskiego, ale przecież każdy ma swoje czułe punkty. Poza tym zawsze wolałem ucznia mniej zdolnego, ale chętnego do pracy, niż leniwego geniusza.*

Dr inż. Józef Młynarczyk, emerytowany pracownik naukowy Politechniki Krakowskiej, maturę robił w 1939 roku. Na jednej z lekcji prof. Bielawa niespodziewanie wyrwał go do odpowiedzi. — *Miałem trochę pietra* — wspomina po latach. — *Profesor był jakby tego dnia nie w sosie. Ale byłem obkuty, jak należy, przede wszystkim z bieżącego materiału, a i z poprzednimi lekcjami jakoś też sobie radziłem. Pytał mnie bardzo długo, nie żądając jednak bezmyślnego klepania tekstu. Bardziej interesowało go, czy wiem, jak zbudowane są poszczególne zdania, dlaczego akurat ten a nie inny przypadek, i tak dalej. W końcu zapisał coś w swoim notesie i... do matury — nie licząc przypadkowych odpowiedzi z ławki — miałem spokój. Gorzej natomiast powiodło się jednemu z moich kolegów. Nie mogąc zdobyć „bryka”, posłużył się przy tłumaczeniu Owidiusza przekładem Kochanowskiego. Może by profesor przymknął oko na ten fortel, gdyby kolega nie... dukał. Takiego „męczenia” Kochanowskiego profesor nie mógł znieść, przerwał chłopcu brutalnie i sam skończył deklamowanie tego genialnego przekładu. Nie postawił dwójki, ale też przez długi czas nie raczył kolegi zauważać, choć tamten dwoił się troił, aby zmazać swoją winę.*

Jerzy Bielawa, dziś dyrektor Ogrodniczego Zakładu Handlowego, wspomina: — *Czasami mówili moi koledzy: ty to masz dobrze: ojciec uczy, i on, i inni nauczyciele będą spoglądać przez palce na różne rzeczy. Nieprawda! Wcale nie miałem życia łatwiejszego od innych. A na zajęciach z ojcem byłem traktowany bardziej surowo niż reszta klasy. Gdy*

(CIĄG DALSZY NA STR. 7 BIAŁEJ IZBY)

Lucyna Kaszuba

„Janosiki” z ZNTK

Nie tylko zespoły regionalne przynoszą chlubę naszemu regionowi, popularyzując jego barwne ludowe tradycje. Mocną stroną nowosądeckiej kultury są do dziś także orkiestry dęte. Niewątpliwie jedna z najlepszych — to zespół Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Nowym Sączu. Należy też do najstarszych.

Gdy w 1892 roku tworzono Orkiestrę Pracowników Cesarsko-Królewskich Warsztatów Kolei Wschodnich w Nowym Sączu, pod kierownictwem **Piotra Ekierta** oraz **Kazimierza Kirschanka** — kto przypuszczał, że zespół ten na stałe wrośnie w kulturalny pejzaż miasta i przez blisko wiek — potrafi zachować młodość?

Jednym z seniorów Orkiestry jest **Jan Kaszowski**. Przyszedł tu w 1929 roku. — *Służyłem w 1 Pułku Strzelców Podhalańskich. Po wyjściu z wojska — postanowiłem już nie wracać do rodzinnej Wieliczki, lecz zostać w Sączu i tu założyć rodzinę. Zacząłem grać w zespole. Pamiętam, że w owych latach, gdy robotnicze orkiestry cieszyły się ogromnym powodzeniem (nie było jeszcze tylu atrakcji, zwłaszcza dla biedniejszych, prostych ludzi, nie bez znaczenia był także fakt, że to swoi grali dla swoich) — co tydzień wyjeżdżaliśmy na koncerty do różnych miast kraju, graliśmy na Śląsku i w Wielkopolsce. Zapraszano nas stale na występy z okazji Zjazdów Związku Zawodowego Kolejarzy do Warszawy. Nie mieliśmy początkowo tak malowniczych mundurów, jak obecnie. Przypadkiem, gdy chcąc nas ukarać za „nieposłuszeństwo” — kierownictwo Zakładów odebrało kolejarskie mundury — wpadliśmy na pomysł, by w nowych strojach Orkiestry wykorzystać podhalańskie motywy (później chciano zwrócić umundurowanie, nie zgodzili się jednak związkowcy). Wszyscy sądeccy członkowie Związku opodatkowali się w wysokości 3,5 złotego. Za zebrane pieniądze uszyliśmy stroje wraz z pelerynami, w jakich występujemy do dziś*

Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

Jan Kaszowski, mimo podeszłego wieku — nadal jest czynnym członkiem Orkiestry. Jako „gospodarz” czuwa nad sprzętem, instrumentami, dba, by przed każdym wyjazdem i koncertem wszystko było zapięte na ostatni guzik. Jemu też kolejarze zawdzięczają, że cenne instrumenty zdołały przetrwać wojnę. Narażając życie — ukrył je na poddaszu Domu Robotniczego, wprowadzając jednocześnie w błąd poszukujących drogiego sprzętu hitlerowców. Przez resztę wojny musiał się ukrywać wraz z rodziną. Uważa jednak, że było warto — już wkrótce po wyzwoleniu — 1 maja Orkiestra dała pierwszy koncert

Przeszło przez jej szeregi wielu muzyków. Niektórzy związali z zespołem niemal całe swoje życie. Od ponad 30 lat pracują tu **Jan Kapturkiewicz, Józef Hebda** i **Edward Turski**. Szkolą się młodzi. Niewątpliwie liczne sukcesy i wysoki poziom muzyków — to zasługa nie tylko ich talentów oraz pracowitości, ale także znakomitego kapelmistrza, **Zenona Drabińskiego**. Prowadzi on zespół od 1974 roku. Poprzednio był kapelmistrzem Orkiestry Reprezentacyjnej Śląskiego Okręgu Wojskowego we Wrocławiu. Jest skromny, nie lubi przypisywać sobie zasług, lecz nie da się ukryć, iż właśnie za jego „rządów” — zespół odnosi największe sukcesy. Od lat — na Ogólnopolskich Przeglądach Orkiestr Dętych w Bydgoszczy kolejarze ze Sącza zajmują I lub II miejsce, są laureatami Nagrody Prezydenta Miasta Bydgoszczy. Jako jedyna orkiestra amatorska — na międzynarodowym przeglądzie w Czechosłowacji, w 1981 roku byli zdobywcami IV nagrody, którą „podzielili” się z zespołem japońskim. Koncentrowali w Jugosławii, Bułgarii, nawiązali bliskie kontakty z muzykami włoskich oraz austriackich orkiestr. Podróże sprzyjają nowym przyjaźniom.

Niedawno wrócili z Norwegii. Przebyli prawie 4 tys. km — i nie na darmo. W festiwalu kolejarskich orkiestr dętych, jako najlepszy z 12 zespołów uczestniczących w imprezie — zdobyli główną nagrodę: „Lirę Północy”. W norweskiej prasie ukazały się pochlebne recenzje o sądeckich muzykach, byli też w centrum zainteresowania norweskiej publiczności oraz licznych turystów, którzy przysłuchiwali się koncertom.

— *To nasza najdłuższa podróż i chyba najbardziej niezwykła* — mówi Zenon Drabiński. — *Pod Narwikiem mieliśmy okazję zobaczyć „białe noce”. Przyjęto nas niezwykle serdecznie. Koncertowaliśmy w teatrze, dawaliśmy również występy w różnych dzielnicach miasta, w Domu Starców i miejscowym szpitalu, prezentowaliśmy musztrę paradną i grę w marszu. Najbardziej wzruszająca dla nas chwila — to moment odegrania hymnu narodowego na cmentarzu, gdzie spoczywają polscy żołnierze. Myślę, że życzliwość, z jaką przyjmowano Orkiestrę — to wyraz żywych w tym rejonie Norwegii pamięci i uznania dla Polaków, którzy walczyli pod Narwikiem. Nasze stroje przypominały starszym ludziom mundury bohaterskich żołnierzy z Karpackiej Brygady. Podobała się muzyka prezentowana przez zespół. Dobierając repertuar nie unikamy współczesnych melodii i „modnego” brzmienia, staramy się jednak przede wszystkim podkreślać naszą przynależność do regionu. Gramy utwory klasyków, w tym tak bliskich góralom kompozytorów — Moniuszki i Kurpińskiego, a największy aplauz wywołują zawsze oparte na ludowych motywach suity — sądecka oraz gorczańska. Daliśmy w sumie kilkanaście koncertów w Norwegii.*

Zenon Drabiński chciałby wprowadzić w swoim zespole „innowacje”; ze zdziwieniem zauważył w zagranicznych orkiestrach dętych obecność kobiet. Chętnie widziałby kilka pań w grupie muzyków ZNTK. Niestety — na razie brak chętnych. Kapelmistrz ma obecnie pod opieką około 60 ludzi. Bliskimi współpracownikami są długoletni członkowie zespołu: **Czesław Święs** i **Roman Mrugała**. Prezesuje Orkiestrze **Julian Wysowski**. Młodzi i starsi zgodnie kontynuują tradycje; szkoda tylko, że coraz mniej jest zapaleńców wśród początkujących muzyków, którzy pragnęliby specjalizować się w grze na ciężkich i trudnych instrumentach dętych.

„Janosikom” (tak bowiem nazywają sądeckich muzyków widzowie w innych regionach) — nie grozi jednak regres. Są coraz lepsi, o czym świadczą wyniki, a Zakład i jego dyrektor, **Andrzej Gałęziowski** — otaczają ich troskliwą opieką. Nie muszą obawiać się zmiennych mód i konkurencji rozrywkowych zespołów. Tamte — odchodzą i przemijają, podczas gdy orkiestry dęte — nadal zachowały urok, jak wszystko, co wyrasta z autentycznych ludzkich potrzeb i wieloletniej tradycji.

Andrzej B. Krupiński

„Ziemia i ludzie" po raz trzeci

Nie trzeba chyba nikomu przypominać, czym dla kultury polskiej było w niedalekiej jeszcze przeszłości Zakopane; Mekką naszych artystów i polskimi Atenami. A zaczęło się wszystko od Stanisława Witkiewicza w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Najpierw więc ową wieś jeszcze, jaką było podówczas Zakopane, przycupniętą w cieniu Giewontu, odkrywali dla innych malarze, wrażliwcy pełni romantycznych uniesień i chęci pozytywistycznego działania, sięgający do korzeni polskości tkwiących w ludzie tutejszym, wtedy jeszcze, kiedy Polski na żadnej z map nie było: Gerson, Gierymski, Kotsis, a po nich Skoczylas, Kulisiewicz i wielu innych. Byli też i poeci, mający Jana Kasprowicza za przewodnika, i kompozytorzy, żeby na Janie Karłowiczu i Karolu Szymanowskim tylko poprzestać. Z tamtych i późniejszych lat pozostała Zakopanemu artystyczna tradycja, wspomnienie sarkastycznego widzenia świata przez Witkacego; „Salonów Marcowych", którym przed niewielu laty patronował Tadeusz Brzozowski; nadto przepastna ikonografia owej surowej krainy, gdzie ponad tumanami mgieł połyskują Rysy, gra odbitym światłem Kościelec, gdzie rozrasta się ciemna sylweta Giewontu. Pozostały też wizerunki ludzi tutejszych, owych Krzeptowskich, Walczaków, Gąsieniców, Stopków, Gładczanów, ale też Matlakowskich, Zaruskich, Zborowskich, Makuszyńskich, Kenarów i wielu, wielu inych. Po dziś dzień owe zbiory powiększają się o nowe przekazy. Tworzą je współcześni artyści: Zenon Pokrywczyński, Arkadiusz Waloch czy Ireneusz Wrzesień, zacni przewodnicy młodzieży artystycznej ze Szkoły Kenara. Im to właśnie oraz innym, których ponad setka wzbogaca substancję duchową miasta pod Tatrami zawdzięczamy, iż niegdysiejsza jego sława odradza się rok po roku. Artystyczne oblicze Zakopanego, tworzą już nie tylko Tadeusz Brzozowski czy Władysław Hasior, ale też Henryk Burzec, Grzegorz Pecuch, Janusz Bielski, Antoni Grabowski, Helena i Władysław Pawlikowie, z młodszych zaś — Krzysztof Jądrzejowski i Jerzy Jędrysiak, a także inni tu nie wymienieni. Dorobek większości z nich poznać możemy za pośrednictwem zakopiańskiego salonu Pracowni Sztuk Plastycznych, w galeriach autorskich (Brzozowskiego, Hasiora, Pecucha), a przede wszystkim w galerii Biura Wystaw Artystycznych przy ulicy Krupówki 41.

„Ziemia i ludzie" to prezentacja dorobku artystów żyjących i tworzących na terenie województwa nowosądeckiego. Jej organizatorami są Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Nowym Sączu oraz Biuro Wystaw Artystycznych. Jest to przegląd o charaktezze konkursowym, na który autorzy zgłaszają prace z ostatnich dwóch lat. W pierwszej takiej wystawie, zorganizowanej w 1984 roku z okazji 40-lecia Polski Ludowej, uczestniczyli malarze, graficy oraz rysownicy. W następnej, rok temu — rzeźbiarze, medalierzy oraz artyści uprawiający tkactwo artystyczne. W tegorocznej — znów malarze, graficy i rysownicy — razem 26 osób. Zaprezentowali ponad 100 prac. Pięcioosobowemu jury przewodniczył profesor krakowskiej ASP, a zarazem jeden z najwybitniejszych współczesnych grafików polskich, Andrzej Pietsch. Jury przyznało:

— nagrodę dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UW w Nowym Sączu **Jerzemu Jędrysiakowi,**

— nagrodę naczelnika miasta Zakopanego i gminy tatrzańskiej **Arkadiuszowi Walochowi,**

nagrodę dyrektora Biura Wystaw Artystycznych w Nowym Sączu **Januszowi Bielskiemu.**

Wyróżniono **Marka Szalę** i **Krzysztofa Jędrzejowskiego.**

Dokonywanie oceny jakiegokolwiek utworu artystycznego jest zadaniem niezwykle trudnym, a zarazem ryzykownym, jako że jest to zajęcie, w którym dominuje przede wszystkim subiektywne odczucie oceniającego. Zdarza się, że znak najwyższej jakości uzyskują artyści i prace, nie zasługujące nań, a pomijane są dzieła naprawdę wybitne. Ileż to już było dotychczas tego rodzaju pomyłek, które dopiero czas zweryfikował. Myślę jednak, iż w przypadku tegorocznego konkursu „Ziemia i ludzie" jurorzy uniknęli większych błędów. Artyści sami zresztą ułatwili im pracę prezentując obok utworów rzeczywiście znaczących, również przeciętne. Te pierwsze i tym razem — jak to często bywa — znalazły się w mniejszości. Już na pierwszy rzut oka wybijały się dwa zestawy prac: pejzaże górskie i portrety Arkadiusza Walocha oraz linoryty Jerzego Jędrysiaka.

O Arkadiuszu Walochu pisałem już na łamach „Dunajca". Przypomnę zatem tylko, że jest to artysta średniego pokolenia, uprawia malarstwo olejne i rysunek. Zawodowo związany jest od trzydziestu bez mała lat ze Szkołą Kenara, właśnie jako nauczyciel malarstwa i rysunku. Tematem jego prac są przede wszystkim portrety osób mu bliskich (często też autoportrety) oraz tatrzański pejzaż. Siłą ich zaś — niezwykła ekspresja, wyrafinowany koloryt składający się z różnych odcieni szarości i rzadko spotykane wyczucie tematu. Pod tym względem jest Waloch sam jakością dla siebie, twórcą z nikim nie porównywalnym.

Jerzy Jędrysiak należy do młodszej generacji artystów związanych z Zakopanem. Zaledwie 6 lat temu ukończył krakowską ASP, gdzie kształcił się w drzeworycie u Bunscha i w grafice książkowej u Banaszkiewicza. Do dziś zresztą pozostał wierny tej uczelni, ale już jako asystent. Pomimo młodego wieku „zaliczył" 8 wystaw indywidualnych oraz udział w 49 wystawach zbiorowych i konkursach zarówno w kraju jak i za granicą. Widzieliśmy też w Zakopanem kilka razy jego prace, m. in. na pierwszej wystawie „Ziemia i ludzie" w 1984 roku, gdzie prace jego zostały wyróżnione. Tym razem zaprezentował 8 dużych linorytów cechujących się oszczędnością kreski i dużą siłą wyrazu.

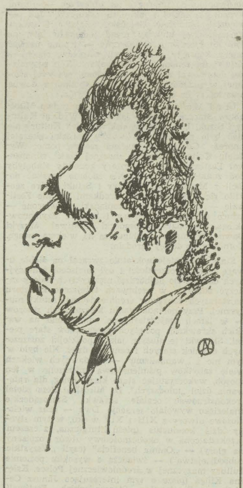

GRZEGORZ PECUCH

Rys. Andrzej B. Krupiński

Trzecim z nagrodzonych jest Janusz Bielski. Jego barwne prace podejmujące jak najbardziej aktualne tematy, od kilku już lat fascynują nas biegłością warsztatową, sarkastycznym podejściem do tematu i niemal publicystycznym zacięciem ich autora. Właśnie Janusz Bielski najbliższy jest hasłu sygnującemu wystawę — „Ziemia i ludzie".

Są na wystawie jeszcze interesujące prace i innych autorów, jak chociażby cykl rysunków Krzysztofa Jędrzejowskiego, sprawnie wykonanych i abstrakcyjnych, noszących wspólny tytuł — „Kontrolowany rozwój sytuacji", czy — grafiki Marka Szali, warsztatowo bez zarzutu, lecz jeszcze akademickie. Na baczniejszą uwagę zasługują również pastele (!) **Ireneusza Września,** którego znamy z romantyczno-aluzyjnych pejzaży tatrzańskich wykonywanych wyłącznie techniką olejną, a ponadto prace **Wandy Rzegocińskiej, Barbary Adamowicz** i **Haliny Bielczyk.**

Przyznam się, iż tym razem opuszczałem galerię BWA przy Krupówkach z mieszanymi uczuciami. Sprawdzili się ci, na których prywatnie liczyłem, jednakże znakomita większość artystycznej społeczności Zakopanego i Nowego Sącza tegorocznej imprezy jakby nie zauważyła. Inni potraktowali ją zdawkowo. Z tej to przyczyny nie stanie się ona z pewnością wydarzeniem artystycznym, a tylko interesującym (w miarę niestety, jedynie w miarę) przeglądem najświeższych dokonań jej uczestników.

PASJA

(CIĄG DALSZY ZE STR. 6 BIAŁEJ IZBY)

przyszły egzaminy maturalne, ojciec zażądał powołania specjalnej komisji dla sprawdzenia moich wiadomości.

— Zawsze starałem się rozbudzić w swych uczniach ciekawość — mówi profesor. — *Niezbyt wysoko ceniłem odklepywanie odpowiedzi, wolałem, aby uczeń nauczył się samodzielnie myśleć, aby wiedział, gdzie i jak szukać potrzebnych wiadomości. Poza tym na lekcjach polskiego robiłem wszystko, aby uczniowie pokochali język ojczysty. Przecież my naprawdę mamy wspaniałą literaturę i nie powinniśmy mieć żadnych kompleksów w stosunku do innych narodów.*

Do zabawnego incydentu doszło na parę lat przed wybuchem wojny. Z jakiejś okazji przyjechał do Zakopanego profesor Stanisław Szober, ceniony językoznawca, autor m. in. „Słownika poprawnej polszczyzny", kierownik katedry na Uniwersytecie Warszawskim i w ogóle sława nie tylko ogólnopolska, ale i światowa. Odwiedził tutejsze gimnazjum, przysłuchiwał się lekcjom prowadzonym przez Józefa Bielawę, wyrażając się nader pochlebnie nie tylko o talentach pedagogicznych zakopiańskiego nauczyciela, ale również o poziomie nauczania w szkole. I wszystko byłoby dobrze, gdyby w „kuluarach" rozmowa nie zeszła na tematy fachowe. Szober w sposób dość apodyktyczny zawyrokował o pisowni jakiegoś słowa i... natrafił na „kontrę" Bielawy:

— Niestety, panie profesorze, ale to słowo pisze się właśnie w ten sposób!

Szober zaniemówił na chwilę, a potem powiedział:

— Pan się chyba myli, panie kolego!

Ale Bielawa rozpoczął długi i bardzo logiczny wywód, wprawiając w osłupienie wszystkich obecnych, a najbardziej samego Szobera. Ten próbował początkowo oponować, potem dyskutował, w końcu skapitulował i przyznał prowincjonalnemu nauczycielowi rację.

— Żałuję, że wcześniej pana nie poznałem. Bardzo przydałyby mi się konsultacje z panem. Ale dlaczego, u licha, pan się tu marnuje? Niech pan jedzie ze mną do Warszawy, potrzebni są ludzie z taką wiedzą.

— A czy nie uważa pan, profesorze, że ja tu, w Zakopanem, też jestem potrzebny? Może nawet bardziej aniżeli w Warszawie.

I został w Zakopanem...

Gdy wybuchła wojna, on, który przez całe życie nie należał do żadnej partii, trzymał się zawsze z dala od wielkiej polityki, żył w swoim odległym od bieżących spraw antycznym świecie — jako jeden z pierwszych podjął się nauczania na tajnych kompletach. W domu Orawców, przy cmentarzu poronińskim, odbywały się egzaminy maturalne, lekcje zaś to tu, to tam, aby zmylić czujność okupanta. Ale i tak nie uniknął aresztowania. Jednak w trakcie przesłuchania w „Palace" Niemcy doszli widocznie do wniosku, że ze strony tego fanatyka starożytności nic chyba nie może zagrażać „tysiącletniej" Rzeszy i puścili go wolno, chociaż nakazali codzienne meldowanie się na gestapo.

I chodził codziennie pan profesor do „Palace", a stamtąd gnał czym prędzej na lekcje, aby broń Boże uczniowie zbyt wiele nie stracili. I tak aż do wyzwolenia.

— Pytają mnie czasem, czy otrzymałem za tę okupacyjną działalność jakieś odznaczenia? A niby za co miałbym je dostać? Za to, że wykonywałem swoje obowiązki? Przez całe życie starałem się robić to, co umiałem najlepiej. Skoro nie wolno mi było uczyć w „Lilianie", uczyłem gdzie indziej. A do odznaczeń nigdy nie przywiązywałem specjalnej wagi. Spośród tych, które otrzymałem, najwyżej cenię sobie Złotą Odznakę Śpiewaczą. W połowie lat 70. dostałem Krzyż Kawalerski, a Złoty Krzyż Zasługi — dwukrotnie: raz przed wojną, drugi raz już po wyzwoleniu. Zawsze bardziej aniżeli wszystkie zaszczyty ceniłem sobie przyjaźń ludzką i w najtrudniejszych chwilach nie zawodziłem się na ludziach. Kiedyś groziła mi operacja. Można jej było uniknąć, ale potrzebne było jakieś zagraniczne lekarstwo, nieosiągalne u nas w kraju. Dowiedzieli się o tym moi dawni uczniowie, wiadomość dotarła do Szwajcarii, gdzie mieszkała moja uczennica, córka profesora z Lozanny. Zapakowała specyfik do samolotu i następnego dnia lekarstwo znalazło się u mnie w domu.

Józef Bielawa wykształcił wielu uczniów, sporo z nich już nie żyje, inni są w mocno podeszłym wieku. Kiedy obchodził jubileusz 50-lecia pracy zawodowej — rzecz rzadka w tym zawodzie — babcia „Ałusia" Bachledy, również jego uczennica, powiedziała: — *Najbardziej cenimy cię, profesorze, za to, że nie dzieliłeś nigdy uczniów na biednych i bogatych.*

ANDRZEJ SZYMAŃSKI

Władysław Graban

Dom dzieciństwa

Na wzgórzu
dom mego dzieciństwa
bosonogiego
wracam do niego
zasmucony
coraz odleglejszy
kwiaty w oknach
przestały kwitnąć

Ojciec

Prowadziłeś mnie tam
gdzie szept zamienia się w krzyk
gdzie na powitanie
mrówka otwiera drzwi

* * *

(Żonie)

Czas
który chwytamy
cierpliwie
w rozkosznych owocach
wspólne dłonie
nasz dom
jutrzejszy dzień
korale jarzębin
na węzełkach snu

Fot. WŁADYSŁAW GRABAN

„BIAŁA IZBA" — ukazuje się pod mecenatem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego.

Lucyna Kaszuba

Po Starosądeckim Festiwalu

W Starym Sączu po raz jedenasty odbył się Festiwal Muzyki Dawnej. Wystąpiły znakomite zespoły: Capella Cracoviensis, Capella Bydgostiensis, słynna francuska grupa Ars Antiqua de Paris oraz Rorantyści z Krakowa, którzy zastąpili w ostatniej chwili zachodnioberliński zespół Musicalische Compagney (niemieccy muzycy nie przyjechali do Starego Sącza „dzięki" niedopatrzeniom załatwiającego z nimi kontrakt „Pagartu").

Publiczność tłumnie uczestniczyła w festiwalowych koncertach, trzeba było nawet „organizować" dodatkowe miejsca. Muzycy zaprezentowali najwyższy poziom, cóż, kiedy pozostało uczucie niedosytu oraz niepokój o przyszły los Festiwalu. W porównaniu do imprez z lat ubiegłych — ostatni wypadł skromniej i jakby się „skurczył". Jak powiedział Stanisław Gałoński, inicjator i twórca starosądeckiej imprezy przed jedenastu laty, do dziś jej kierownik artystyczny — trudno nazwać cztery koncerty zawodowych zespołów, choćby o najwyższej renomie — festiwalem... Ton pesymizmu dominował w czasie konferencji prasowej zwołanej w przeddzień zakończenia spotkań z dawną muzyką przez organizatorów Festiwalu.

Urząd Miasta i Gminy oraz Towarzystwo Miłośników Starego Sącza — jak też — Wydział Kultury i Sztuki UW i Wojewódzki Ośrodek Kultury nie stać było na pokrycie kosztów bardziej okazałej imprezy. Gdyby nie znaczna zresztą pomoc Wydziału Kultury, który w znacznej części sfinansował Festiwal — i owe cztery koncerty stanęłyby pod znakiem zapytania. Nie zdołano uzyskać dotacji z Ministerstwa Kultury i Sztuki, które zgodziło się wesprzeć swymi środkami jedynie Festiwale — krynicki oraz zakopiański, poświęcone — sztuce śpiewaczej Kiepury i muzyce Szymanowskiego. Szkoda Starosądecki Festiwal Muzyki Dawnej to impreza zasługująca na większą uwagę. Cofnijmy się do jej narodzin.

Stary Sącz niejednokrotnie zwracał na siebie uwagę badaczy przeszłości i był miejscem sensacyjnych odkryć. Do najbardziej niezwykłych należy zaliczyć odkrycie w archiwach tutejszego klasztoru najstarszych zabytków średniowiecznej sztuki muzycznej. Przy porządkowaniu klasztornych zbiorów — w latach sześćdziesiątych odnaleziono na wąskich skrawkach pociętych pergaminów stare pieśni. Skrawki te służyły jako... podklejki zniszczonych okładek starych i cennych dzieł. Nie było w tym nic z „wandalizmu" — w dawnych wiekach wiele zabytków piśmiennictwa zniszczono w ten sposób, wykorzystując stare karty ksiąg dla ratowania dzieł „młodszych". Dr Mirosław Perz zdołał zrekonstruować ocalałe skrawki. Starosądeckie znalezisko wywołało sensację Dwu — oraz wielogłosowe utwory z XIII i XIV wieku, w tym słynny dziś konductus (pieśń liturgiczna, z czasem przekształcona w okolicznościowy utwór rozpisany na głosy) — „Omnia beneficia" (czyli „Wszystkie dobrodziejstwa") — świadczą o wysokim poziomie kultury muzycznej w średniowiecznej Polsce. Księżna Kinga (pisze o tym interesująco Janusz Cegiełła w „Pamiętniku Starosądeckich Festiwali Muzyki Dawnej — 1975—1979" oraz Jerzy Kusiak w wydanej właśnie książce »Omnia beneficia« — czyli Starosądeckie Festiwale..."), wychowana na węgierskim dworze, który utrzymywał żywe kontakty z całą ówczesną Europą, a zwłaszcza z Francją — przywiozła ze sobą do nowej ojczyzny nie tylko wielki posag. Rozmiłowanej w muzyce księżniczce towarzyszyli zapewne dworscy muzycy. Gdy w Starym Sączu powstał ufundowany przez Kingę klasztor, w którym spędziła kilkanaście ostatnich lat swego życia — tutaj właśnie zaczęto rozwijać sztukę muzykowania i śpiewu. O bogatych kontaktach starosądeckiego klasztoru z europejskimi ośrodkami kultury muzycznej świadczą ocalałe utwory średniowieczne, wywodzące się z tradycji najsłynniejszej w XIII wieku szkoły przy Notre-Dâme. Czterogłosowa pieśń „Omnia beneficia", która od początków Festiwali w Starym Sączu towarzyszy tej imprezie, otwierając i zamykając koncerty — nie ma odpowiedników w żadnych zagranicznych rękopisach. Jest więc najstarszym, oryginalnym zabytkiem polskiej muzyki wielogłosowej.

To właśnie sensacyjne odkrycie sprawiło, iż Stary Sącz zwrócił na siebie uwagę całego kraju. Stanisław Gałoński, twórca dwóch zespołów muzyki dawnej — Capelli Cracoviensis oraz Capelli Bydgostiensis, przy pomocy przedstawicieli miejscowych władz i działaczy społecznych — począł czynić starania, by Stary Sącz stał się miejscem międzynarodowych festiwali Warto wymienić przynajmniej niektórych, zasłużonych dla tej imprezy ludzi, dzięki którym mogła w ogóle zaistnieć: Zofię Goebel z Krakowa, Zbigniewa Dziedzinę — naczelnika miasta i gminy, Ignacego Ciągłę — sekretarza Komitetu Miejskiego partii, Stanisława Przybyłowicza — prezesa oraz Mariana Palmowskiego — sekretarza — działaczy Towarzystwa Miłośników Starego Sącza, jak też Alojzego Cabałę, dyrektora Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu. Dzięki ich inicjatywie — rok narodzin województwa nowosądeckiego był również rokiem, w którym po raz pierwszy w Starym Sączu, w gotyckich murach klasztoru pamiętającego księżnę Kingę — zabrzmiały średniowieczne utwory muzyczne. Starosądeckie „anonimy" wykonał zespół Madrygalistów Capelli Cracoviensis. Koncertowali m. in. Jadwiga Gadulanka i Joachim Grubich. Festiwal prowadził Janusz Cegiełła. Później — obok polskich zespołów i artystów — do Starego Sącza zaczęli przyjeżdżać muzycy z całego świata. Gościli tu sławni wiolonczeliści: Iwan Monighetti z ZSRR oraz Michael Flaksman z USA, zespoły — Les Menestrels z Wiednia. Orkiestra Kameralna Filharmonii z Cluj w Rumunii, Barock Trio z NRD, Słowacka Orkiestra Kameralna, Clemencic Consort z Austrii i wiele innych. Koncertom towarzyszyły występy znakomitych solistów w starosądeckim kinie „Poprad". m. in. Bogny Sokorskiej. W Muzeum Okręgowym w Nowym Sączu urządzano wystawy dawnego sprzętu i instrumentów muzycznych, wyświetlano filmy poświęcone muzyce, w tym dokumentalne suity filmowe Zbigniewa Bochenka. Organizowano także imprezy poetyckie, przypominające utwory literatury staropolskiej. Nie sposób nie wspomnieć o zasługach miejscowego proboszcza, Jana Kosa, który z okazji Festiwalu — z funduszów parafii sfinansował renowację siedemnastowiecznych organów (wykonanych przez krakowskiego mistrza, Jana Głowińskiego), cennego zabytku z kościoła św. Elżbiety.

Fot. JERZY ŻAK

Imprezy starosądeckie, organizowane z wielkim rozmachem znajdowały się jeszcze przed kilku laty w centrum zainteresowania prasy, radia i telewizji. Nie brakowało subsydiów, protektorat nad imprezą sprawował Komitet ds. Radia i TV. Gdy przyszły burzliwe lata osiemdziesiąte — nastąpiła dwuletnia przerwa. Później imprezę podjęto na nowo. Choć mniejsze już było zainteresowanie centralnych ośrodków Starosądeckim Festiwalem, wzrosło przywiązanie mieszkańców Starego Sącza do dawnej muzyki. Oni też obecnie tworzą trzon publiczności na koncertach.

Mimo okrojonego w tym roku programu — miłośnikom muzyki ostatni Festiwal nie sprawił zawodu. Stary Sącz jednak nie posiada tylu środków, by mógł utrzymać międzynarodową imprezę z własnej kieszeni. Wydział Kultury i Sztuki UW w Nowym Sączu nie jest w stanie w pełni finansować Festiwalu, zwłaszcza iż w regionie corocznie odbywa się wiele znaczących imprez, które sporo kosztują. — *Koncerty dawnej muzyki w Starym Sączu są rzadką okazją do zaprezentowania mało znanych utworów, które tworzą korzenie naszej kultury narodowej* — powiedział na zakończenie wspomnianej już konferencji prasowej Stanisław Gałoński. — *Ponadto — Festiwal pozwala nam utrzymać więź ze światową sztuką interpretacji dawnej muzyki, a muzykologom — na prowadzenie naukowych studiów. Tutaj bowiem odbywają się prawykonania wielkich dzieł muzycznych. Nie jest to impreza ważna tylko dla województwa — wykracza daleko poza ramy regionu. Zaproszone zespoły koncentrują także i w innych miastach kraju. Dziwi więc fakt niewielkiego zainteresowania Festiwalem prasy oraz telewizji. Jego szersze rozpropagowanie — być może — pozwoli nam uniknąć w przyszłości tegorocznych kłopotów.*

Jedenaście minionych spotkań z dawną muzyką przybliżyło ją nawet ludziom na co dzień dalekim od muzycznych pasji. Impreza zrodzona w małym miasteczku, którego mieszkańcy z ogromną troską i poświęceniem traktują przeszłość — nie powinna w przyszłości skarleć, z braku wystarczających środków. Starosądeczanie oraz ludzie kierujący życiem kulturalnym województwa liczą na pomoc muzyków i muzykologów, jak też — władz centralnych, by i w następnych latach mogli gościć — ku zadowoleniu wszystkich, którym bliska jest muzyka — wybitnych artystów.

GRZEGORZ WOŹNIAK

LEKCJA W WIĘZIENIU

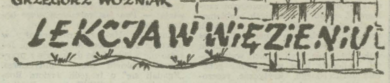

(Korespondencja z USA)

Kopuła centralnego pawilonu i trzy promieniście rozchodzące się podłużne więzienne bloki widoczne są z daleka. Na sześciometrowych murach — przeszklone wieże strażników.

„Rahway State Prison”, więzienie stanowe w Rahway, w New Jersey. Oficjalną tablicę uzupełnia napis — „maximum security”, obostrzony rygor.

Wyraz „więzienie” jest dyskretnie pominięty na karcie wizytowej, którą mam przed sobą. Adres brzmi: „Lifers’ Group, Inc”. — „Zespół Dożywotnich, Firma zarejestrowana, sekcja zamknięta” i poniżej numery telefonów: „zgłoszenia” i „gorąca linia dla młodocianych” oraz uwaga o godzinach urzędowania — od 8.30 do 20.30 przez wszystkie dni tygodnia.

„Lifers, Inc.” jest przedsiębiorstwem pedagogicznym i od dziesięciu lat świadczy niezwykłe usługi wychowawcze. Firma obrosła w tradycje, legendę, reklamę i sporą literaturę. Telewizyjny reportaż o seansach edukacyjnych w Rahway zdobył swego czasu dwa „Oscary” i był sensacją dokumetu filmowego. Nosił tytuł „Przestraszyć do dna” i w tych trzech słowach mieści się istota programu pedagogicznego adresowanego do młodych ludzi wchodzących w kolizję z prawem i oferowanego ochotniczo i bezpłatnie przez skazańców z Rahway.

*

Wysiadając z autobusu są jeszcze hałaśliwi. W dzisiejszej „sesji w Rahway” uczestniczyć będzie czternastu młodych ludzi. Jest pochmurno i mroźno. Przez megafon pada polecenie, by chłopcy ustawili się gęsiego, jeden za drugim. Są jeszcze żarty i pokrzykiwania, ale w miarę jak upływają minuty oczekiwania grupa cichnie zwiera się w sobie.

Porucznik Alan August od początku jest łącznikiem między „Lifers, Inc.” i światem zewnętrznym. Nadzoruje program, odpowiada za seanse w więziennym audytorium, organizuje i przyjmuje grupy młodzieży, które w Rahway mają dostać lekcję życia.

W jego ruchach nie widać pośpiechu. Czeka. Zza szyby obserwuje chłopców. Minuty zaczynają biec jakby wolniej. Wcześniejsza pewność siebie i późniejsze hałaśliwe zniecierpliwienie chłopców ustępują wyczuwalnej już pokorze i skrywanemu jeszcze onieśmieleniu.

Dopiero w tym momencie Alan August daje znak, żeby wpuścić do środka pierwszą dwójkę chłopców.

— „Nazwisko!”

— „Arrecco”.

— „Arrecco jak?”

— „Juan Arrecco”.

— „Czy czegoś nie zapominasz?”

— „Juan Arrecco”, Sir!”

— „To już lepiej. Dalej i w lewo. Następny!”

— „Johnatan Black”.

— „Głośniej!”

— „Johnatan Black”.

— „Nie krzycz, do cholery. Nie zapominaj, gdzie jesteś. Następny!”.

Porucznik August ma ostry głos i żadnej odpowiedzi nie przyjmuje bez uwagi. Ale to dopiero początek lekcji, przedsmak „godziny wychowawczej”.

W korytarzu pierwsza rewizja. Ręce na ścianę, nogi szeroko rozstawione. Standard amerykańskiej policji, a jednocześnie obrona przed niespodziewanym ruchem zatrzymanego. Daje sekundę przewagi. Nim oderwie się ręce od muru, nim wyprostuje sylwetkę — jest czas na reakcję.

Miejsce porucznika zajmuje umundurowany sierżant Pablo Alicea. Złote dystynkcje starannie odprasowanej bluzy uzupełnia miniaturka kajdanków, którą sierżant ozdobił służbowy krawat. („Nie, to nie jest regulaminowe. To moja prywatna zapinka...”)

„Komu tam znowu zbiera się na pieprzone żarty. Nie odwracać się. Ręce w górze. To jest więzienie stanowe i od tej chwili podlegacie naszemu regulaminowi. Myśmy was tu sukinsyny nie zapraszali, ale jak już jesteście, to schowajcie swoje pieprzone kawałki dla siebie. Powiedziałem — nie odwracać się!”.

Chwila milczenia.

„Teraz za mną.”

Dalej jest już krata, a później drzwi z pancernym szkłem. Tu dokładna rewizja.

„A kto, sukinsynie, powiedział, że możesz mieć papierosy? Pod ścianę i czekać”.

Na chłopców czeka dziewięciu rosłych mężczyzn.

„Wam, skurwysyny, wydaje się, że jesteście twardzi. Mieliśmy tu już takich. I nie tacy jak wy, kutasy żałowali! A teraz za mną!”.

Prowadzący lekcję przedstawi się później. Numerem — „62098” i ksywą „Crazy Chris” — Krzysiek wariat. Po wyjściu chłopców dowiem się, że Chris de Luize odsiaduje dwa dożywotnie wyroki za morderstwo z premedytacją.

„Godzina wychowawcza” zaczyna się od pokazówki. Najpierw oddział izolatek. Podwójne zabezpieczenia. Ostry zapach ludzkiego potu i krótkie „zamknij się” na krzyk „ludzie wypuśćcie mnie” — dobiegający gdzieś z końca całego rzędu cel.

Potem zwykły więzienny oddział. Łomot przesuwających się krat i zapewnienie „Tu nigdy nie będziesz miał minuty dla siebie”.

„Wejdź tu, skurwysynu, i ty. Przyjrzyj się dobrze. To moje miejsce od sześciu lat!”.

Charles Scott ma 23 lata. W „maximum security” jest od szesnastego roku życia. Dożywocie za morderstwo i rabunek.

Po pokazówce — dalszy ciąg lekcji na scenie więziennego audytorium, tyłem do pustej i wyciemnionej widowni, przodem do dziewięciu skazańców. Seans jest starannie reżyserowany.

„Prowadzimy to już od 1976 roku. Było tu u nas już ponad 23 tysiące młodych ludzi. Mieliśmy czas na analizę błędów w programie i zastanowienie się nad najskuteczniejszym przebiegiem naszych sesji” — usłyszę później — „Widzi pan, starannie obserwujemy chłopców jak tylko wejdą do Rahway, a poza tym prosimy o informację przy zgłoszeniu grupy. W „Lifers, Inc.” jest nas 29 i bardzo dokładnie omawiamy przebieg każdej lekcji. Odpowiednio do grupy wyznaczamy spośród siebie prelegentów. Chcemy do chłopców dotrzeć, przełamać ich opór, oni muszą nas słuchać”.

Na scenie przeciągające się milczenie. Wytrąca chłopców z równowagi, tłumi resztkę pewności siebie i sytuacji.

„A kto wam, motherfuckers, pozwolił siadać!”

Chłopcy zamierają w przysiadzie. W zasięgu wzroku nie ma strażników. Nie widać dwójki wychowawców, którzy ich tu przyprowadzili.

„Dobić jeden do drugiego. Szybciej. Szybciej”.

„Teraz siadać. Czego tam szukasz dupą. Na podłodze, kutasie”.

Czternastka zasiada w ciasnym rzędzie. Znów milczenie. Trudno wytrzymać osiemnaście par oczu, w których nie ma iskry sympatii. Dwóch, trzech spośród czternastki otrzymuje polecenie zmiany miejsca. W czwartym rzędzie tworzą się puste przestrzenie. Będą potęgować uczucie niepewności i zagrożenia.

„A teraz „motherfuckers”, usłyszycie jak naprawdę wygląda życie pod celą. Nie będziemy wam opowiadać pieprzonych filmów, kutasy. A jak tylko zobaczę, że któryś z was nie słucha, to rozwalę pieprzony łeb”:

„Ilu z was ma za sobą areszty?”

Kilka rąk w górze.

„Ilu jest notowanych?”

Czternaście rąk.

„Trawa?” — pytanie o marihuanę i znów czternaście rąk.

„Kokaina”?

Co druga ręka w górze.

„Kupowanie i zażywanie?” Parę wyciągniętych ramion.

„Handel”? Więcej rąk.

„Ja wiem, jak się to zaczyna. Żeby wam się w tych pieprzonych głowach nie wydawało że nie wiem. Ja też miałem kumpla, który zapewniał, że nic się stać nie może. I co? Jestem tu. 25 za napad z bronią w ręku i 8 za — narkotyki. A mój pieprzony przyjaciel.. Tu nie ma kumpli. Tu jesteś i będziesz sam. Sam ze swoimi latami, które masz do przetrwania, sam ze swoimi myślami...”

„Lifers, Inc.” stanowią ekskluzywną grupę. Warunkiem uczestnictwa jest wyrok minimum dwudziestopięcioletni. „Nie, nie każdy ze skazanych może brać udział w naszym programie” — powie później pierwszy wiceprezes organizacji, przedstawiając całą jej strukturę, ze skarbnikiem, sekretarzem, radą i zespołem wykonawczym — „Prowadzimy zawsze dokładny wywiad, badamy kandydata. Musimy mieć pewność, że zyskamy oddanego człowieka i wierzącego w cel, jaki sobie wytyczyliśmy”.

Ale co właściwie jest motorem ich działań? Co sprawia, że dużym w sumie wysiłkiem, podjęli je? Jakie są ich osobiste korzyści.'

Na to ostatnie pytanie odpowie porucznik Alan August, wywodząc, że uczestnictwo w „Lifers” wcale nie ma decydującego wpływu na uzyskanie warunkowego zwolnienia. Przytoczy przykład, że „47840”, który w „Lifers” bierze udział od początku, został dwa lata temu odrzucony przez komisję decydującą o warunkowym zawieszeniu kary. „47840” ma już za sobą 16 lat za murami Rahway. W tym roku wszakże ma ponownie stanąć przed komisją.

— Co nami powoduje — powraca do mojego pytania Jose Perez (porwanie i gwałt, dożywocie, odsiedział już dziesięć i pół roku). — Widzi pan, każde dziecko, które udaje nam się uratować, to jakby nasza druga szansa na życie.

Na scenie tymczasem ciąg dalszy lekcji. Motywem drugiej opowieści jest rodzina.

„Ja też uważałem, że starzy nie powinni mi się wpieprzać w życie. Nie, matki już nie mam. Dziś wiem, że to przeze mnie...”.

Motyw polityczny, który jest treścią następnej opowieści, jak później dał do zrozumienia Alan August, jest rzadko stosowany. Ta część lekcji miała być pokazem dla mnie.

„Patrzę na was. Czternastu skurwysynów, którzy kładą wała na nasz kraj. A czy przyszło wam — kiedyś do tych zasranych łbów, jak postąpiono by z wami — powiedzmy w Chinach? Już za pierwszym razem byście siedzieli. Za drugim — czapa! Bo tam z takimi jak wy nikt się nie cacka. Czy wiecie, ilu ludzi chciałoby mieć szansę życia w Ameryce? Ilu o to walczy? Wam, kutasy, było to dane, a wy...”.

Kulminacją był czwarty wykład Chris de Luize brzmiał przekonywująco.

„Ja też tak jak wy zajmowałem się gównem. Miałem osiem lat, gdy ukradłem rower. 10 — gdy obrabiałem sklepy. Kilkanaście — gdy włamywałem się do domów. Potem były „drugs”. A gdy któregoś dnia w domu, do którego włamaliśmy się znaleźliśmy niespodziewanie właściciela, to ja pociągnąłem za cyngiel.

Moi poprzednicy ostrzegali was przed więzieniem. Ja tego nie zrobię. Słuchajcie mnie uważnie, skurwysyny. Ja chcę, żebyście tu trafili”.

Chris zawiesił głos, wybrał wzrokiem jednego z chłopców.

„Podobasz mi się. Przydasz się. W porządku jesteś. Nie bój się będziesz miał ze mną dobrze...”.

Nad głową chłopca zatoczył dłonią z odciętym kciukiem.

„Powiedz im co to znaczy” — powiedział do jednego ze skazańców.

„On jest twój”.

„No właśnie. Mój. Dam ci pewność, że nie będziesz bity. Ale będziesz mój. Moją! A jak mi się znudzi, to jeszcze na tobie zarobię. Hej, Pedro, ile on może być wart?”.

„Trzy paczki”.

„Widzisz, ile jesteś wart. Trzy kartony papierosów. 27 pieprzonych dolarów”.

Na scenie znów chwila milczenia. Następny z „Lifers” miał w ręce plik skopiowanych wycinków gazetowych.

„Hej, ty. Czytaj. Głośniej. Powiedziałem — głośniej!”.

„Piętnastoletnia dziewczyna skazana na 15 lat więzienia”.

„Teraz, ty”.

„Siedemnastoletni chłopak skazany na karę śmierci”.

„Piętnastoletni — w celi śmierci”.

„Wam, sukinsyny, wydaje się, że nie mając osiemnastu lat wywiniecie się od wszystkiego. Co za głupie łby. W tym stanie dorosłe wyroki dostaje każdy, kto ukończył czternaście lat. A ty ile masz?”.

„Piętnaście”.

„A ty?”.

„Szesnaście”.

„Przeczytaj to”.

„W Teksasie wykonano wyrok na 27-letnim Charlesie Rumbaugh, skazanym za przestępstwo, którego dopuścił się mając 17 lat... Miał 12 — gdy obrabował stację benzynową. Jego ostatnią zbrodnią był napad na jubilera, zastrzelił właściciela sklepu”.

Depesza prasowa jest sprzed kilku ledwie dni. Dziennikarz Associated Press dał w serwisie wywiad ze skazanym.

„Dawałem tyle czadu jako młody chłopak, że wszyscy funkcjonariusze oddziału do walki z przestępczością nieletnich znali moją ksywę „Chuckie”.

Chuckie miał się zwierzyć reporterowi, że kazał prawnikom już odstąpić od prób uratowania go. Po dziesięciu latach od wyroku — „powiedziałem im, żeby dali spokój. Jestem przygotowany na to, co ma się stać już od dawna...”.

Ten ostatni fragment artykułu powtórzono w Rahway dwukrotnie.

Chuckie znajdzie miejsce w przypisach do historii prawa karnego. Jest pierwszym młodocianym od dwudziestu lat, na którym wykonano wyrok. Ale w amerykańskich więzieniach czeka jeszcze 33 młodocianych skazanych na najwyższy wymiar kary.

Wyrok śmierci na młodocianych dopuszcza się w 35 spośród 50 stanów. Najdrastyczniejsze minimum wieku obowiązuje w Indianie. Tamtejsze prawo zezwala na skazanie na śmierć nawet dziesięcioletnie dzieci. W New Jersey — pouczono chłopców — „dorosłe prawo” stosuje się do każdego, kto ukończył 14 rok życia. Podobnie jest w Alabamie, Idaho, Kentucky, Missouri, Północnej Karolinie i Utah. W Delware, Oklahomie i Południowej Dakocie prawo nie stawia żadnych limitów, a wiek nie jest żadną okolicznością, którą z tytułu prawa sąd musi wziąć pod uwagę ferując wyrok.

Spośród 33 oczekujących na wykonanie wyroków, trzech nie miało nawet 15 lat w chwili popełnienia przestępstwa.

Przestępczość młodocianych jest palącym problemem w Stanach Zjednoczonych. Statystyka wykroczeń wskazuje, że 40 proc. naruszeń prawa dokonywane jest przez młodych ludzi. Sesje w Rahway mają być jednym ze sposobów prewencji.

— Jak oceniacie skuteczność swojego programu?

— Jeśli uda nam się uratować choćby jedną osobę, to wszystko to warte jest wysiłku.

Poza patosem są jednak pewne obiektywne dane. Pięć lat temu, a więc wtedy, gdy program był już realizowany od pewnego czasu, dr James O. Flanckenauer, profesor prawa karnego z Rutgers University przeprowadził badania ankietowe 46 młodych ludzi, którzy brali udział w seansach w Rahway. 30 z nich — 59 proc. nie miało już później żadnej historii związanej z naruszaniem prawa.

A więc sukces? — Niezupełnie. Grupa „kontrolna”, a więc odpowiedni zespół młodych ludzi, którzy nie mieli styczności z „usługami wychowawczymi” w Rahway, miała większy odsetek osób, które po wcześniejszych wypadkach naruszenia prawa wykazały pełną resocjalizację.

Dr Flanckenauer sformułował hipotezę, że „lekcje wychowawcze” odnoszą skutek odwrotny od zamierzonego. W umyśle uczestników seansów z Rahway pozostaje nie obraz zmarnowanej życiowej szansy, ale wyobrażenie mocy, męskości i siły roztaczane przez „wykładowców”.

Ale z kolei dane Rutgers University podważał inny ekspert, w innych badaniach. Obliczył, że 85 proc. uczestników „lekcji wychowawczych” nie ma później poważniejszych kłopotów z organami wdrażania prawa

Eksperyment w Rahway narodził się z inicjatywy więźniów. Stał się popularny. Prócz sesji dla młodocianych przestępców „Lifers, Inc.” oferuje także program prelekcji dla rodziców i zainteresowanych pedagogów. W systemie penitencjarnym w New Jersey program ma dobrą opinię.

Z drugiej jednak strony modelu Rahway nie powielono w żadnej innej instytucji karnej.

*

Zmierzchało się, gdy autobus z czternastką młodych ludzi opuszczał New Jersey. Milczeli wychodząc. Patrzyłem na twarze. Tylko jedna miała europejskie rysy i jasne włosy.

ZSMP Forum młodych

Granica nie dzieli

Przyjaźnie bywają różne, często są krótkotrwałe, niekiedy tylko powierzchowne. Czasami przechodzą w zażyłość utrwalając się z biegiem lat w nierozerwalne więzi. Bywa i tak, że dzięki odrobinie sympatii i zapału, z małych rzeczy powstają coraz większe, by swoim zasięgiem objąć dużą grupę ludzi. Nasze organizacyjne spotkania z kolegami zza miedzy — Słowakami, trwają już przeszło 17 lat, a zaczęły się bardzo skromnie, i jak to najczęściej bywa zupełnie przypadkowo. Dwóch zapaleńców, rozdzielonych popradzką granicą postanowiło przepłynąć kajakiem ciekawy krajobrazowo odcinek od Starej Lubovni do Nowego Sącza. Pomysł chwycił i zaczął z roku na rok przeradzać się w coraz większą imprezę — Spływ Przyjaźni. Ileż spotkań prywatnych i służbowych poprzedziło ostateczny, dzisiejszy kształt spływu — nie sposób opisać. Nawiązane kontakty zaczęły procentować; podpisano umowę o wzajemnej współpracy rozszerzając zakres i częstotliwość wspólnych przedsięwzięć. Dzisiaj możemy śmiało stwierdzić, że między Zarządem Miejskim ZSMP w Nowym Sączu, a Zarządem Powiatowym SZM w Starej Lubovni nić przyjaźni rozwija się równomiernie, anagażując najmniejsze ogniwa naszych Związków. Swoją współpracę ze stroną słowacką potwierdziły Zarządy Zakładowe ZSMP w ZNTK, SZEW, PKP, a także samodzielne koła przy SOP — ZPOW i Prokuraturze Rejonowej w Nowym Sączu. Trwają rozmowy na temat dalszej współpracy, które niebawem powinny przynieść efekt w postaci kolejnych umów — małych, samodzielnych kół. Przyjaźnią trzeba się dzielić i powinna ona promieniować na wszystkich ludzi, bez względu na światopogląd, wyznanie, czy też zwykłą szarą egzystencję. Dzięki przyjaźni można przecież poznawać obyczaje i tradycje kulturowe, czasami coś podpatrzyć i spróbować zastosowania u siebie. Apetyt rośnie w miarę jedzenia — mówi stare przysłowie, dlatego koniecznością albo nakazem chwili jest przeanalizowanie realnych możliwości nawiązania współpracy, bowiem każde nieudolne posunięcie świadczyłoby o niedbalstwie, niedowładzie organizacyjnym — zamykając zupełnie niepotrzebnie drogą dla innych. Zatem, obserwujemy bacznie tych, którzy zgodzili się przyjąć na siebie obowiązki współpracy z naszymi słowackimi przyjaciółmi, aby ich realizacja przebiegała zgodnie z przyjętym wcześniej programem. A jeżeli wszystko idzie dobrze, i zmniejsza się doza oficjalności, nabierając ciepłej, rodzinnej atmosfery — to wypada tylko podsycać ten ogień jak najdłużej bez względu na trudności finansowe, czy też codzienne smutki i radości.

Uatrakcyjnianie, wprowadzanie nowych, ciekawszych form współpracy, jak np. wymiana kolonii letnich w okresie wakacji, turnieje sportowo-obronne, ogniska, rajdy, złazy — jeszcze bardziej zacieśnia przyjaźń. Wszelkie poczynania, które utwierdzają nas w przekonaniu, że to, co zrobiliśmy do tej pory, sprzyja nie tylko nam, ale także ogółowi — pielęgnujmy, by doświadczenia i wartości emanowały w kierunku pokoju i braterstwa, wzajemnego zrozumienia i poszanowania, by granice nie dzieliły a łączyły.

(M. R.)

Dajmy szansę ludziom mądrym

Wyjeżdżali w sobotnie, skwarne południe. Nie kryli swoich wątpliwości, obaw. Ciążyło im brzemię nadziei, jakie wyborcy i bezpartyjni złożyli na ich barki. Ciążyła odpowiedzialność, którą wypowiadali: — czy podołamy? Za nami dziewiąty Zjazd, gorący, niemal rewolucyjny. Ludzie oczekują od nas odwagi, krytycyzmu, przeniesienia naszych codziennych bolączek, utrapień, z zakładu pracy i z kolejki w sklepie mięsnym tam, do góry, na to najwyższe forum...

Tak odebrałem sens rozmów jakie odbyłem z delegatami na Zjazd: **Jurkiem Chronowskim** z Łabowej i **Kazimierzem Hajdugą** z ZNTK.

Umówiliśmy się na nocne telefony do Warszawy, do hotelu „Grand", gdzie mieszkali. Wiedziałem, że będzie trudno ich zastać, ale nie sądziłem, że aż tak. Wszystkie rozmowy odbyliśmy w okolicach północy. Zjazdowy dzień rozpoczynał się dla delegatów wcześnie rano, kończył zwykle następnego już dnia, głęboką nocą lub wczesnym rankiem. Z obrad w komisjach problemowych i z posiedzeń plenarnych wracali zmęczeni: niezbyt wygodne są fotele w Pałacu Kultury i Nauki. Po drugim dniu obrad nie kryli swoich wątpliwości: najlepsze było wystąpienie generała Jaruzelskiego, krytyczne, rzeczowe. Natomiast niektórzy występujący delegaci widzieli naszą rzeczywistość przez różowe okulary. Po kolejnych dniach zmienili opinię: wreszcie padają głosy ważne, mocne, krytyczne: **Alfreda Miodowicza,** szypra z Pomorza, górnika, którego później telewizja pokazywała w rozmowie ze Zbigniewem Messnerem. Jurek Chronowski podkreśla, że dobrze przyjęty był głos szefa ZSMP — **Jerzego Szmajdzińskiego.** Dobry był też „nasz głos", głos **Czesławy Michalec**, która pokazała bolączki Nowosądeczyzny.

Zawiedziony był natomiast, że nie udało mu się wystąpić w czasie obrad zespołu problemowego. Złożył materiał do protokołu.

Moi rozmówcy nie skąpili mi ciekawostek z przerw i korytarzy Pałacu Kultury. Wszyscy podkreślają klasę radzieckiego przywódcy. Nie tylko za wystąpienie, ale i za swobodę bycia, wyjście do delegatów w czasie przerwy. Kiedy gen. Jaruzelski i Michaił Gorbaczow wychodzili z korytarzy za salą obrad, już po rozmowach z ludźmi, żegnano ich brawami...

Marek Majchrzak ze Skrudziny „uciekał" przed dziennikarzami. Wystarczyło mu jedno doświadczenie z telewizją: — *Pan jest rolnikiem, więc będzie pan kosił...*

Kazimierz Hajduga rozmawiał w przerwie z Alfredem Miodowiczem. Jeszcze nie wiedział, że dyskutuje z przyszłym członkiem Biura Politycznego. „Zgadali się" o tragedii Jeziora Rożnowskiego. Szef OPZZ ma w Bartkowej wypoczywać. Obiecał pomoc.

Hajduga, podobnie jak wielu innych delegatów zbierał na okolicznościowych kartkach zjazdowych autografy. Ma podpis **Henryka Jabłońskiego, Mieczysława Hermaszewskiego, Jerzego Urbana, Zbigniewa Messnera.**

Nie pomnę już, który z delegatów powiedział mi: — Przyglądam się z ogromnym zainteresowaniem delegatom i gościom Zjazdu. Przecież to kawał historii Polski. Są tu osoby, które ją tworzyły, tworzą i będą tworzyć przez najbliższe lata.

Z Warszawy nowosądecka delegacja wróciła wczesnym rankiem w piątek. W sobotę wieczorem delegatów — członków ZSMP: Jerzego Chronowskiego, Marka Antkowicza z węzła PKP w Nowym Sączu i Marka Majchrzaka — spotkałem w Myślcu, wśród kramowiczów. Pozjazdowe spotkanie zmusiło do porządkowania wrażeń, opinii. Obawy pozostały, ale są już innego rodzaju: — *Jak teraz wytłumaczyć naszym wyborcom i nie tylko, że sprawy, które przedstawiliśmy w Warszawie, dokumenty, które przyjęliśmy — trzeba teraz wspólną pracą zrealizować?*

Delegaci nie ukrywają, że idą z niepokojem na spotkania. Czy ich głosy zostaną przyjęte? Nie zgadzają się z opiniami, że młodych ludzi nie było widać na Zjeździe. Sporo było osób w strojach organizacyjnych. Ktoś nawet stwierdził, że to niemal „młodzieżowy" Zjazd. Jeszcze nigdy na takim forum nie było delegatami tylu młodych. Słychać ich było z mównicy i widać w pracach komisji. Mocny był wątek dyskusji: dajmy szansę młodzieży. Ale nowosądeccy delegaci z ZSMP woleliby widzieć to inaczej: *dajmy możliwości działania, awansu, wykazania się ludziom mądrym.*

(s)

Międzynarodowy Spływ Przyjaźni

Tradycyjne spotkanie wodniaków polskich i słowackich miało miejsce podczas XVII Międzynarodowego Kajakowego Spływu Przyjaźni na rzece Poprad, który zorganizowały wspólnie dwie bratnie organizacje młodzieżowe: Zarząd Powiatowy SZM w Starej Lubovni i Zarząd Miejski ZSMP w Nowym Sączu.

Trasa spływu wiodła malowniczym popradzkim szlakiem wodnym od Starej Lubovni przez Čirč, Piwniczną, Myślec do Nowego Sącza. Tym razem czerwcowa pogoda dopisała, a normalnego rytmu spływu, przeróżnych konkurencji sportowo-rekreacyjnych, kulturalnych nie zakłócił nawet, przyciągający jak magnes, piłkarski „Mundial".

Oficjalne otwarcie spływu poprzedzone zostało złożeniem wiązanek kwiatów w Nowym Sączu pod pomnikami Bohaterów Ziemi Sądeckiej i Braterstwa Broni, a w Starej Lubovni pod pomnikiem Braterstwa Broni.

Tegorocznemu spływowi przyświecało uczczenie X rocznicy powstania ZSMP, XVII Zjazdu KPCz, X Zjazdu PZPR, a także Międzynarodowego Roku Pokoju, co znalazło odzwierciedlenie w propagandzie wizualnej spływu. W XVII MKSP wzięło udział ponad 300 uczestników, wśród których znaleźli się także weterani dotychczasowych: **Stanisław Ślęzak** i **Milan Tengi** (obaj płynęli po raz 17) oraz posiadacz Międzynarodowej Odznaki Turystycznej ICF w stopniu złotym **Marian Skołyszewski** ze Skawiny, który w kajaku przepłynął ponad 20.000 km. Komandorami spływu byli **Bogusław Rębilas** i **Martin Sedlak.**

Rywalizacja sportowa między ekipami Słowacji i Polski była bardzo zacięta i wyrównana. Puchar I sekretarza KM PZPR w Nowym Sączu (protektora Spływu) po bardzo emocjonującej dogrywce w konkurencji rzutków do tarczy między przewodniczącymi obu związków i komandorami spływu zdobyła ostatecznie reprezentacja Polski. Pozostałe konkurencje przyniosły następujące rozstrzygnięcia: mecz piłki nożnej i piłki siatkowej wygrali Słowacy, zaś konkurencję wodno-lądową i przeciąganie liny — Polacy. W punktacji drużynowej najlepszą ekipą okazała się drużyna z 24-2 Oddziału Obrony Cywilnej przed WZSSP „Start" i Kołem Środowiskowym ZM ZSMP z Nowego Sącza. Indywidualnie w konkurencji K-1 zwyciężyli: **Roman Hajduk** przed **Jerzym Jeżem** i **Jerzym Głąbem;** w K-2 bezsprzecznie najlepszymi okazały się panie: **Urszula Karcz** i **Alina Janusz** przed **Marią Żelasko** i **Stanisławem Ślęzakiem** oraz osadą **Stanisława** i **Pawła Peciaków** z Nowego Sącza.

Na uwagę zasługuje fakt ufundowania przez naszego byłego organizacyjnego kolegę **Andrzeja Nowaka** (obecnie rzemieślnika produkującego kajaki) 4 kajaków dla najmłodszych i najstarszych — również stażem — uczestników spływu. Oficjalne zakończenie odbyło się w Piwnicznej, a nagrody i puchary wręczyli: I sekretarz KM PZPR w Nowym Sączu **Zbigniew Haraf** oraz organizatorzy spływu.

Spływowi aż do ostatniej chwili towarzyszyła przyjacielska atmosfera, a nawiązane kontakty zaowocują w przyszłorocznym XVIII Spływie.

Tekst i zdjęcia: MAREK RAFAŁOWICZ

SZPAK — po raz drugi

16 bm., po raz drugi, w Myślcu nad Popradem wystartował Szkolny Przegląd Aktywności Kulturalnej. Młodszy brat Kramu stawia przed sobą podobne zadania i cele jak Konfrontacje Ruchu Artystycznego Młodzieży ale adresatem są uczniowie szkół średnich. 350 uczestników z całego kraju ma za sobą pewne doświadczenia artystyczne, zweryfikowane na rejonowych eliminacjach turniejów kulturalnych szkół. Będzie to więc dla nich kolejny etap doskonalenia warsztatu twórczego i możliwości jego weryfikacji przed widzami, słuchaczami i w kontaktach z instruktorami, oraz zawodowymi uznanymi twórcami.

Uczestników podzielono na podobozy: muzyczny, teatralny, kabaretów, folkloru, plastyków, fotografików i dziennikarzy, **Marta Wolańska** — komendantka SZPAKa ma nadzieję, że „jej" impreza dopracuje się takich tradycji i atmosfery, jaką ma KRAM. Ma nadzieję, że pracowite dwa tygodnie w Myślcu zaowocują po powrocie uczestników do ich miejsc zamieszkania. Zaowocują w szkole i środowisku aktywnością w życiu społecznym, kulturalnym

(s)

Redaguje Wydział Kultury i Propagandy Zarządu Wojewódzkiego Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Adres zespołu: 33-300 Nowy Sącz, ul. Narutowicza 6, telefon 233-83, wewn. 202.

Głos Glinika

Nie brak rąk do pracy

Kilka lat temu największym problemem zakładów przemysłowych było zdobycie rąk do pracy. O dzisiejszej sytuacji kadrowej rozmawiam z KRZYSZTOFEM AUGUSTYNEM, kierownikiem sekcji w dziale zatrudnienia.

— *Skończył się rok szkolny; ilu absolwentów przyjmie „Glinik"?*

— **Mamy zawarte umowy z wszystkimi 141 absolwentami zasadniczej szkoły przyzakładowej. Są przygotowani do pracy w zawodach ślusarza, spawacza, tokarza, frezera, elektromontera. Na podobnej zasadzie zatrudniamy tych, którzy ukończyli szkoły zawodowe w Grybowie, Bieczu i Gorlicach.** Ci młodzi mają podjąć pracę do końca sierpnia. Część już zgłosiła się, pozostali korzystają z wakacji. Oczekujemy również 5 naszych stypendystów, z dyplomami wyższych uczelni. Ośmiu pracowników Fabryki kończy teraz zaoczne studia na Politechnice Krakowskiej i AGH.

— *Czy to znaczy, że nie będą przyjmowani absolwenci innych szkół?*

— Zgłaszają się poszukujący pracy po Liceach ogólnokształcących, ekonomicznych, gastronomicznych, budowlanych. Niestety, w większości kobiety. Nie możemy im zapewnić zatrudnienia; w ogóle w Gorlicach trudno znaleźć pracę dla kobiet.

— *Jakie stanowiska, zawody czekają jeszcze na chętnych do pracy?*

— Dokładnie będziemy wiedzieć po rozpoczęciu pracy przez absolwentów-stypendystów. **Wiadomo jednak, że na pewno znajdą się miejsca w wydziałach: obróbki cieplnej, galwanicznej, oddziale transportu kolejowego, w zawodach: hartownika, galwanizera, robotnika magazynowego, transportowca. Nie wymagają fachowego przygotowania.** Dodam jeszcze, że dla fachowca z dużym doświadczeniem — tokarza, spawacza, elektryka — zawsze znajdziemy pracę. Sytuacja kadrowa jest już tak ustabilizowana, że możemy sobie pozwolić na selekcję.

— *Codziennie zgłaszają się osoby poszukujące pracy. Czy ją otrzymują? Na przykład dziś?*

— Od rana było takich osób kilkanaście; większość kobiet. Pięć tylko zasięgnęło informacji o możliwościach pracy i płacy, pięć zatrudnimy — rozpoczęły załatwianie formalności. Pozostałym musieliśmy odmówić.

K.K.

Z życia ZSMP

14 członków koła ZSMP z wydziału konstrukcji stalowych przepracowało kilka wolnych sobót w zagórzańskim parku i w fabrycznej hali. W czynie społecznym wykonali nowe i wyremontowali stare urządzenia placu zabaw przy Państwowym Domu Dziecka. Wartość ich pracy — ok. 400 tys. zł. Ławki, karuzele, huśtawki, zjeżdżalnie przydały się podczas czerwcowej, wojewódzkiej spartakiady placówek opiekuńczych i wychowawczych. Za to, młodzi pracownicy „Glinika" otrzymali pisemne podziękowanie dyrektora PDD, ale największą nagrodą jest radość dzieci.

Również ZSMP-owcy z wydziału konstrukcji stalowych zainicjowali wśród współpracowników dobrowolną zbiórkę na sprzęt sportowy dla wychowanków Domu Dziecka. Wszyscy pracownicy wydziału przyłączyli się do akcji, dając od 50 do 500 zł. W końcu lipca nastąpi wręczenie darów.

Koło ZSMP w tym wydziale należy do największych i najaktywniejszych w Fabryce, zrzesza 119 młodych.

Z tego oraz pozostałych kół, grupa ZSMP-owców wykonała ostatnio inny czyn społeczny: uporządkowała i uzupełniła wyposażenie ogródka jordanowskiego w fabrycznym ośrodku wypoczynkowym „Beskid" w Wysowej.

— *Łączymy przyjemne z pożytecznym* — mówi **Edward Lekstan**, przewodniczący koła, zarazem wiceprzewodniczący Zarządu Zakładowego — *wyjeżdżaliśmy w wolne soboty. Od rana praca, wieczorem ognisko. Było dużo roboty, ale nikogo nie trzeba było namawiać. Jest grono kolegów chętnych do pracy społecznej.*

✱

26 kwietnia dla uczczenia X-lecia ZSMP, młodzież pracowała na swoich stanowiskach produkcyjnych. Dzięki dodatkowej produkcji zyskała Fabryka, zaś wartość robocizny — 323 tys. zł. — ZSMP-owcy przeznaczyli na fundusz pomocy szkole, konkretnie na rozbudowę gorlickiej szkoły nr 4. Największy wkład w tej akcji mają koła z wydziałów: konstrukcji stalowych, głównego mechanika, montażu. 1 września pieniądze zostaną przekazane szkole. Pracujący w Fabryce rodzice uczniów „czwórki" zadeklarowali pomoc w dobudowie nowej części budynku.

✱

Z okazji Święta Odrodzenia, Zarząd Zakładowy i Miejski, a także MOSiR, ZM LOK, GCK, przygotowują wielki festyn „Gorlickie Lato". Już wiadomo na pewno, że będą kiermasze WPHW, „Domu Książki", „Ruchu", „Cepelii", GS-u. W programie loteria fantowa, konkursy, koncert orkiestry dętej, występy zespołów z Gorlickiego Centrum Kultury oraz gości z „KRAM-u".

K. K.

To i owo

11 lipca, na posiedzeniu Rady Pracowniczej został zatwierdzony „Regulamin wypłat nagród z funduszu efektów wdrożeniowych". Rada zaopiniowała propozycje nadania odznaczeń państwowych oraz projekt systemu premiowania za zmniejszenie czasu przestojów gniazd produkcyjnych w oddziałach K-1 i K-2.

✱

Zakładowe koła SITPNiG oraz SIMP, wraz z Klubem Techniki i Racjonalizacji, przygotowują konferencję na temat: *Wybrane problemy materiałowe i perspektywy rozwoju procesów metalurgicznych w „Gliniku"*. Odbędzie się ona w październiku br. Ma przyczynić się do znalezienia oszczędnościowych rozwiązań w procesach technologicznych. W programie 10 referatów naukowych.

✱

Ostatnio „notowcy" spotkali się w klubie „Gwarek" z dyrektorem **Czesławem Chmurą**, który podzielił się spostrzeżeniami z pobytu w Chinach, gdzie pracują nasze obudowy górnicze.

✱

Zakładowy Klub Techniki i Racjonalizacji powołał na nową kadencję 6 płatnych i 6 społecznych doradców dla racjonalizatorów. Po raz pierwszy powołano doradcę ekonomicznego, służącego radą w sprawach obliczania efektów. Rolę doradcy przyjęła **Barbara Bizon** (pok. 135 biurowca). Klub opracował nowy projekt konkursu na najlepszego racjonalizatora.

✱

W tegorocznym kalendarzu imprez organizowanych przez Związek Zawodowy Pracowników Fabryki, dla poszczególnych wydziałów, są jeszcze wycieczki: w lipcu do Zakopanego, w sierpniu do Krakowa, Oświęcimia, Soliny, we wrześniu — w Pieniny, w Dolinę Popradu, nad Solinę i do Łańcuta. Przypominamy o tym, gdyż korzystają z nich nieliczni. Związek Zawodowy zapewnia ze swej strony pomoc organizacyjną i finansową. W wydziałach informacji udzielają przewodniczący wydziałowych komisji związkowych.

Zasłużonej szkole

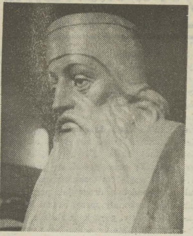

W październiku br. gorlickie Liceum Ogólnokształcące im. Marcina Kromera — szesnastowiecznego pisarza i kronikarza — obchodzić będzie jubileusz 80-lecia. Z tej okazji zostanie m. in. przekazany młodzieży sztandar szkolny. Dla uczczenia święta szkoły, której mury opuściło już 7 tys. uczniów, zespół pracowników Odlewni FMWiG „Glinik" — **Tadeusz Bernacki, Ryszard Grądalski** i **Stanisław Zawiślak** — wykonał w brązie popiersie Marcina Kromera. Brąz na odlew, ważący 214 kg, zebrała młodzież w czynie społecznym. Popiersie będzie umieszczone w budynku Liceum.

WITOLD PAWLUS

Fot. WŁADYSŁAW PRZYBYŁOWICZ

Nie chcą do sanatorium?

Są zawody (kowal, odlewnik, spawacz, hartownik, oczyszczacz), w których — co tu ukrywać — szybciej niż gdzie indziej zużywa się ludzki organizm. Jeżeli nie cały, to na pewno na działanie szkodliwych czynników narażony jest układ oddechowy, a pozycja ciała podczas pracy powoduje skrzywienie kręgosłupa, prowadzące do groźnego zwyrodnienia.

Są sposoby odnowienia sił, wzmocnienia zdrowia, zapobiegania chorobom zawodowym. Przede wszystkim służą temu sanatoria Nic tak dobrze nie zrobi pracującym w najtrudniejszych zawodach, jak 24-dniowy pobyt w Kołobrzegu, Wysowej, Szczawnicy, Iwoniczu. Zabiegi: inhalacje, masaże, naświetlania, którym towarzyszy spokój, prawidłowe odżywianie i czyste powietrze, z powodzeniem wyleczą początkowe schorzenia, zapobiegną długotrwałemu leczeniu farmakologicznemu.

Po co ten wstęp, będący prawdę powiedziawszy truizmem? Okazuje się, że nie wszyscy pracownicy Fabryki wiedzą, a może nie wierzą, że pobyt w uzdrowisku jest im potrzebny. Z wypoczynku połączonego z leczeniem profilaktycznym nie korzystają ci, którym się to należy. Corocznie ze 170 zostaje 20 do 30 niewykorzystanych skierowań.

Można powiedzieć, że potrzeby załogi są zaspokojone, wszyscy starający się dostają miejsca w sanatoriach. Rzecz w tym, że nie stara się wielu. Lekarze nie wystawiają skierowań po corocznych badaniach okresowych, choć może tak należałoby robić. Za to najchętniej o wyjazdy ubiegają się starsi pracownicy, już mocno schorowani albo młodzi, nie mający jeszcze zniszczonego zdrowia.

Krystyna Figiel, lekarka z międzyzakładowej przychodni, opiekuje się odlewnią, wydziałem o największym zapyleniu, ze stanowiskami pracy powodującymi duże zmęczenie. Według niej, tylko pięciu pracowników co roku jeździ do uzdrowisk. A powinni wszyscy! Oczywiście nie na raz. Jednak gdyby zastosować zasadę wyjazdu raz na trzy lata, mógłby skorzystać każdy. Bez uszczerbku dla produkcji.

Skąd ta niechęć do sanatoriów, chociaż pracującym w szkodliwych warunkach przysługuje leczenie bezpłatne (włącznie z przejazdem), w dodatku w ramach L-4? Główny powód, nieraz nie wypowiedziany wprost: nie ma komu zostawić dobytku, gospodarstwa rolnego. Inne: bojaźń o utratę premii wskutek długotrwałego zwolnienia lekarskiego, o duże wydatki związane z pobytem, nieufność do leczenia sanatoryjnego, konieczność wyjazdu o nieatrakcyjnej porze roku. Odstraszają długie, męczące przejazdy, np. do Ciechocinka trzeba się przesiadać 3 razy! Długo trwa staranie o miejsce. Na zatwierdzenie skierowania przez konsultantów w Katowicach czeka się nawet kilka miesięcy. Może gdyby zapobiec tym utrudnieniom, chętnych do poratowania zdrowia byłoby więcej?

Jako się rzekło, sanatoria to nie wszystko, są i inne sposoby wzmocnienia zdrowia. Zabiegom z zakresu fizykoterapii i balneologii można się poddać na miejscu, dosłownie parę kroków za bramą zakładu. W międzyzakładowej przychodni mieści się poradnia rehabilitacyjna, dodajmy — dobrze wyposażona, z fachową kadrą. Można codziennie korzystać z ćwiczeń ruchowych, inhalacji. Ta poradnia jest też niedoceniona przez załogę. Dlaczego? Znowu powód prozaiczny: dojazdy. Pracownicy dojeżdżający spoza Gorlic wolą po pracy jechać do domu autobusem zakładowym, nie chcą zostać na zabiegi, żeby potem martwić się jak wrócić. Podobnie w dniach wolnych od pracy dojazd tam i z powrotem zająłby im za dużo czasu.

Jeszcze innym sposobem zapobiegania schorzeniom, są ćwiczenia w domu. Konieczne ze względu na kręgosłup i układ ruchowy. To niby najłatwiejsze. Tymczasem lekarze przekonali się, że ich zalecenia są lekceważone.

Mało kto dba o swoje zdrowie. Sanatoria, zabiegi, rehabilitacja — owszem, są mile widziane, ale dopiero gdy lekarz postraszy.

K. K.

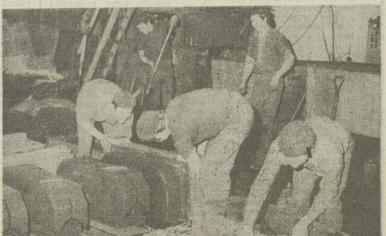

Każdy pracownik Odlewni powinien skorzystać z leczenia sanatoryjnego przynajmniej raz na trzy lata.

KĄCIK majora Czesława Glińskiego

Włamywacze

Była już późna noc. Antoni R. pilnujący mienia przedsiębiorstw wykonujących prace budowlane przy hali widowiskowo-sportowej, usłyszał przytłumiony dźwięk. Czyżby włamywacz? Podzielił się swoim spostrzeżeniem z oficerem dyżurnym nowosądeckiego RUSW, a ten skierował w rejon budowy dwa radiowozy. Patrol, który pierwszy dotarł na miejsce, stwierdził, że w pawilonie usługowo-handlowym przy ul. Nawojowskiej, dokonano włamania do urzędu pocztowo-telekomunikacyjnego i sklepu spożywczego. Natychmiast podjęto penetrację przyległego terenu. Jeden z funkcjonariuszy dostrzegł zarys ludzkiej postaci w zaroślach porastających skarpę przy pobliskiej szkole podstawowej. Ujęcie włamywacza nie stanowiło już problemu — widząc beznadziejność sytuacji, wyszedł on z prowizorycznej kryjówki i oddał się w ręce stróżów prawa. Sądził zresztą, że zdoła ich przechytrzyć. W krzakach pozostawił bowiem torbę podróżną, którą odnaleziono podczas późniejszego przeszukania terenu. W torbie znajdowały się: łom, nożyce do cięcia metalu, czarne rękawiczki, elektryczne latarki i inne akcesoria złodziejskiego wyposażenia.

Tak rozpoczęła się sprawa, której efektem był prokuratorski akt oskarżenia zaczynający się od słów: *„...oskarżam Janusza J. o to, że w Nowym Sączu oraz innych miejscowościach województwa nowosądeckiego działając przestępstwem ciągłym oraz wspólnie z Krzysztofem N. i Wiesławem K. dokonał włamań do różnych obiektów, skąd zabrał w celu przywłaszczenia gotówkę i towary ogólnej wartości 4.439.083 zł na szkodę jednostek gospodarki uspołecznionej oraz osób prywatnych"*. Dalej występuje szczegółowy opis 49 czynów przestępczych Janusza J., dokonywanych solo bądź też w doborowej kompanii Krzysztofa N. i Wiesława K. oraz innych młodych ludzi.

Jednym z pierwszych przestępstw Janusza J. było włamanie do baru „Pod Rybką" przy ulicy Kolejowej w Nowym Sączu. Janusz opowiadał o nim później niezbyt chętnie, stanowiło bowiem plamę na jego zawodowym honorze. Obiekt był bowiem wymarzony do „roboty", a efekty okazały się niewielkie. Janusz w środku nocy kamieniem wymierzył w okno od zaplecza i przez powstały otwór uzyskał wstęp do baru. W jednym z pomieszczeń natknął się na metalową kasetę. Ze złodziejskiej torby wyciągnął majzel i młotek i począł kuć. Pokrywa kasy jednak nie chciała ustąpić pod ciosami. Majzel okazał się natomiast przydatny do otwarcia konserwy rybnej. Włamywacz spałaszował ją ze smakiem, kolacja ta jednak sił mu nie przydała. Z włamania wyniósł tylko drobną gotówkę i wiktuały.

Po kilku dniach Janusz J. postanowił wziąć odwet na owej solidnej kasie. Na złodziejską wycieczkę przygotował się już lepiej pod względem technicznym. Włamał się podobną drogą jak poprzednio, ale doskonały sprzęt okazał się bezużyteczny, gdyż kasa stała otworem i była pusta.

Całkowitym powodzeniem zakończyła się natomiast wyprawa Janusza do Korzennej, w kilka dni po blamażu na Kolejowej. Jako obiekt swej działalności obrał bar „Na górce". W barze piwko dla kurażu sobie strzelił, pomieszczenia lokalu rozpoznał i czekał stosownej pory. Gdy księżyc się schował, a wieś zapadła w głęboki sen, włamywacz poobrywał kłódki przy drzwiach wejściowych i dostał się do pomieszczenia kuchennego. Tam posilił się nieco i sportowym szczupakiem przesadził okienko kuchenne, wpadając do głównej sali barowej. Tu, choć trunków stało bez liku, rozglądać począł się za kasą; łatwo ją odnalazł i dość łatwo otworzył, zagarniając 120 tys. zł.

Po kilkunastu dniach powtórnie wybrał się Janusz do Korzennej. Tym razem z pomocnikiem — Krzysztofem N. Szef, który „robotę" miał z grubsza rozplanowaną, wyznaczył Krzysztofa do prac fizycznych. Wręczył mu nożyce do metalu, łomy, przecinaki i polecił utorować drogę do szaf pancernych, znajdujących się w różnych pomieszczeniach na zapleczu. Tu Janusz J. przejął inicjatywę, jednak w sejfach znajdował tylko bezużyteczne dla niego papierzyska. W dwóch szafach udało mu się znaleźć po butelce wódki, co wprawiło go w złość, gdyż w salach sprzedażnych alkoholu nie brakowało, i butelki porozbijał. Wreszcie kolejna z szaf, którą rozbijali już nad ranem, przyniosła niezbyt wielką gotówkę.

Janusz J. przez jakiś czas czuł dziwny sentyment do obiektów zlokalizowanych przy trasie Nowy Sącz — Korzenna, Stróże i dalej, w kierunku Gorlic. Pewnej nocy wspólnie z Krzysztofem N. postanowili odwiedzić przy tej trasie pawilon handlowy wielobranżowy. Szkód narobili wiele, rozbijając drzwi do poszczególnych stoisk, rozwalając kasy i szuflady, spodziewanego „eldorado" jednak nie znajdując. Nie obyło się bez zamieszania i huku, toteż gdy dobierali się do kolejnej szuflady na stoisku spożywczym, usłyszeli od zaplecza donośne pukanie, które zmusiło ich do przerwania złodziejskich czynności. Po jakimś czasie stukanie powtórzyło się. Janusz J. wypowiedział kilka męskich słów, które odniosły natychmiastowy skutek. Jak później, w trakcie śledztwa ustalono, „dzięciołem" był miejscowy stróż, który na reprymendę zza drzwi odstąpił od czynności służbowych sądząc, iż kierownik obiektu przedłużył na późne godziny nocne intymne rozmowy męsko-damskie. Kiedyś już stróża nauczono moresu, więc nie chciał kierownictwu przeszkadzać.

Pewnego dnia Janusz N. wspólnie z Wiesławem K. wybrali się na wycieczkę turystyczno-rozpoznawczą do Piwnicznej; odwiedzili m. in. bar „Kicarz". Zaserwowali sobie obiad najlepszego gatunku, gdyż akurat byli po kolejnym włamaniu, które przyniosło im sporo łupów. Po spożyciu posiłku i wypiciu kilku grybowskich piw Janusz J. postanowił obrobić gościnny lokal. Włamania tego „turyści" chcieli dokonać metodą niejako eksperymentalną: pojawili się ponownie w lokalu przed jego zamknięciem i przymknęli niezauważenie drzwi od zaplecza, mając cichą nadzieję, że personel nie pofatyguje się, aby sprawdzić sposób ich zamknięcia. Nie pomylili się. Nocą drzwi stały otworem, zamknięte były natomiast kasetki, które jednak dla specjalistów nie stanowiły już żadnego problemu, okazały się natomiast... prawie puste. Łupem włamywaczy padły więc tylko produkty mięsne, co było zdobyczą niewielką w stosunku do oczekiwań. Jedyny pozytywny aspekt tej sprawy stanowiło opracowanie nowej techniki włamań.

Trzeba przyznać, iż Janusz J. nie był włamywaczem stereotypowym. Poszukiwał nowych sposobów dokonywania kradzieży. Do jednego ze sklepów wszedł przez komin, co było o tyle niewygodne, iż przed włamaniem musiał przebierać się w roboczą odzież. Próbował też włamywać się różnymi innymi bardzo nieprawdopodobnymi drogami. Słowem — fantazji mu nie brakowało.

Do Janusza przyjechał kiedyś młody człowiek, zwany popularnie „małolatem", z którym zetknął się on w przeszłości podczas pobytu w którymś z ośrodków odosobienia. „Małolat" pałał chęcią do „roboty". Janusz J. jako obiekt godny uwagi obrał kawiarnię „Maja", która — położona na uboczu, nie powinna stanowić problemu zawodowego. Istotnie, z wejściem do kawiarni uporano się szybko. Penetracja trwała kilka minut. Łupy nie były obfite — trochę pieniędzy, parę paczek kawy, dwa kilo pieprzu. Po załatwieniu „roboty" Janusz J. i jego gość włączyli kuchenkę gazową, zagotowali wodę i zaparzyli sobie solidną kawę, aby odprężyć się po trudach włamania. Z lodówki wyciągnęli lody „bambino" i przystąpili do późnonocnej sjesty. Ale ni stąd, ni zowąd rozległ się dzwonek telefonu, który wypłoszył włamywaczy.

Wiosną Janusz J. dokonał wspólnie z Krzysztofem N. włamania do willi na przedmieściach Nowego Sącza. Pomysłodawcą tego włamania była niewiele lat licząca panna Renata, pracująca w jednym z uspołecznionych sklepów. Renata, dziewczę bystre i z fantacją, obserwując swą kierowniczkę doszła do wniosku, iż ta musi wielki szmal zbijać i z pewnością odkłada go do pończochy. Dziewczę było towarzyskie, często odwiedzało nowosądeckie kawiarnie. W jednej z nich natknęła się na Janusza i Krzyśka, którym o wielkim majątku kierowniczki opowiedziała to i owo, lecz za pozostałą część informacji zażądała 100 patoli. Janusz i Krzysiek przedyskutowali problem i przystali na propozycję dziewczyny. Renatka dostarczyła wszelkich danych o domownikach willi, ich przyzwyczajeniach i sposobie bycia, a własny wywiad włamywaczy informacje te potwierdził. Zgromadziwszy odpowiedni sprzęt, rankiem podjęli obserwację wytypowanego przez Renatkę obiektu z piwnic niezamieszkałego sąsiedniego budynku. Gdy ostatni z domowników opuścił interesującą włamywaczy willę, przystąpili do swych czynności. Robota poszła szybko i bezszmerowo. Okazało się jednak, iż informacje Renatki były grubo przesadzone. Złodzieje ukontentować się musieli niewielką gotówką, paroma butelkami wódki, kożuchami i futrem, które potem w wielkim trudzie, będąc ścigani, na krakowskim placu „Nowym" u znajomego pasera sprzedali za marne pieniądze.

Do krakowskiego pasera wędrowało też złoto, które Janusz J. uzyskiwał, działając na nowosądeckim cmentarzu jako hiena grobowa. Na włamania te Janusz J. chodził solo, gdyż jego kompanów ta sfera działania nie interesowała. Przy okazji dokonał włamań do domu przedpogrzebowego i kwiaciarni.

Różne były losy włamywaczy — w niektórych obiektach trafiały się fanty ponad półmilionowe, w innych zysk był żaden. Zdarzały się sytuacje pełne napięcia, szczęśliwe ucieczki, zabawne pomysły. Wreszcie jednak przyszedł kres solowej i grupowej działalności Janusza i jego kolegów. Obszerny akt oskarżenia podsumował blisko dwuletnią ich aktywność. Wyrok, na który oczekują aresztowani, nie będzie chyba łagodny, ale na pewno sprawiedliwy.

LETNIA PRZYGODA

Najstateczniejsi mężowie, najwierniejsze żony dają się niekiedy skusić na... letnią przygodę. Nic nie pomoże gorszenie się, moralizowanie. Zmiana warunków życia na urlopie, oddalenie od zwykłego środowiska, brak codziennych, najczęściej nudnych obowiązków, więcej wolnego czasu tylko dla siebie — wprowadza wielu mężczyzn i wiele kobiet w stan pewnej euforii. Rodzi się chęć, by poczuć się Don Juanem, wspaniałym uwodzicielem lub romantycznym Romeem. A panie chcą być kochane, pożądane, chcą komplementów, doceniania ich urody, uroku, seksu...

Chęci takie są niekiedy podświadome, a materializują się dopiero przy spotkaniu odpowiedniej partnerki czy partnera, o co na wakacjach nie tak [illegible] trudno.

Są przygody banalne, bez polotu, po wódce. Są inne, pozornie zupełnie bezsensowne, dziwaczne, jak np. ta: młoda kobieta, cudzoziemka zwiedza pałacowe sale w pewnej włoskiej miejscowości w towarzystwie przewodnika. Widzi go po raz pierwszy w życiu, jest późne popołudnie tuż przed zamknięciem wystawy. W jednej z sal, gdzie znajduje się wspaniałe zabytkowe łoże z baldachimem, w pewnym momencie turystka i przewodnik spoglądają na siebie i bez słowa kładą się na owo wspaniałe łoże

Normalnie kobieta ta nie zwróciłaby nawet uwagi na pospolitego, czterdziestoletniego mężczyznę. Ale niezwykłe otoczenie sprawiło, że zachowała się tak „niecodziennie".

Częste okoliczności ułatwiają realizację przygody. Np. ulewny deszcz podczas spaceru, który zmusza do schronienia się w jakiejś szopie, czy stogu siana. Czasem „złe myśli" przyjdą na górskiej, ukwieconej łące, czy podczas wieczornego spaceru brzegiem morza.

W tym wszystkim jest jakieś ziarnko romantyzmu. Gorzej, gdy cynicznie każe się współtowarzyszowi czy współtowarzyszce pokoju czekać na ławce przed domem wczasowym czy na molo, aż „przygoda" zostanie skonsumowana.

Bez dyskrecji i złudzeń!

Jaka by jednak nie była owa przygoda — czysto fizyczna czy zabarwiona uczuciem — nigdy nie należy jej kontynuować po powrocie do domu, do normalnych warunków.

Wszelkie tego rodzaju próby kończą się niemal zawsze rozczarowaniem, żalem, niesmakiem. Nie mówiąc już o możliwości bolesnych i niepotrzebnych powikłań rodzinnych.

„Ty zapomnisz o letniej przygodzie..." mówią pełne goryczy słowa popularnego przeboju. Zapomnisz? No i dobrze. Trzeba zapomnieć!

KRYSTYNA BOERGEROWA

W dniach 2 i 3 sierpnia 1986 r. na terenie Zespołu Szkół Rolniczych w Marcinkowicach odbędzie się XI Koloniada — tym razem pod hasłem „Baw się razem z nami".

Koloniada

Uczestnicy i kierownictwo kolonii letniej RSW „Prasa—Książka—Ruch" wzywa kolonistów z terenu Polski południowej do współzawodnictwa!

Zgłoszenia pisemne prosimy kierować na adres Kolonia letnia RSW „Prasa—Książka—Ruch" (Zespół Szkół Rolniczych 33-393 Marcinkowice woj. nowosądeckie), lub telefoniczne pod numer: Nowy Sącz 331-86.

PRZETARGI

Wojewódzki Zakład Transportu Mleczarskiego w Nowym Sączu, ul. Rybacka 1 sprzeda W DRODZE PRZETARGU PUBLICZNEGO:

1. samochód Żuk A-13B, skrzyniowy, nr rej. NSA-936F, nr silnika 286963, nr podwozia 310521, rok prod. 1979, st. zużycia 75 proc., cena wywoławcza 188.500 zł
2. samochód Tarpan F233RS, skrzyniowy, nr rej. NSD-216A, nr silnika 865402, nr podwozia 44196, rok prod. 1979, st. zużycia 70 proc., cena wywoławcza 239.400 złotych
3. samochód Żuk A-06M, furgon, nr rej. NSA-704H, nr silnika 203785, nr podwozia 180221, rok prod. 1974, st. zużycia 80 proc., cena wywoławcza 157.800 zł
4. samochód Nysa 522-5/31 chłodnia, nr rej. NSA-815, nr silnika 07378, nr podwozia 294421, rok prod. 1980, st. zużycia 75 proc., cena wywoławcza 205.500 zł

Przetarg odbędzie się w dniu 5.08.1986 r. o godz. 9 w WZTM w Nowym Sączu przy ul. Rybackiej 1.

W przypadku nie dojścia do skutku przetargu I, przetarg II odbędzie się w tym samym dniu i miejscu, o godz. 10.

Samochody przeznaczone do przetargu można oglądać w dni robocze w godz. 8--14 w bazie WZTM w Nowym Sączu przy ul. Rybackiej 1.

Przystępujący do przetargu winni wpłacić wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej, najpóźniej w przeddzień przetargu w kasie zakładu.

Zastrzega się prawo unieważnienia przetargu bez obowiązku podania przyczyny, względnie dowolnego wyboru oferenta.

K-6555

Urząd Miejski w Nowym Sączu — Wydział Gospodarki Komunalnej, Wodnej i Ochrony Środowiska, Rynek 1, tel. 234-02 wewn. 63 ogłasza w drodze **NIEOGRANICZONEGO PRZETARGU** zleci wykonanie awaryjnych prac remontowych budynków stanowiących własność osób fizycznych oraz wykonanie uzbrojenia terenów pod budownictwo indywidualne jednorodzinne. Termin wykonania robót do końca roku 1986.

Oferty w zalakowanych kopertach z napisem „przetarg" należy składać w terminie 14 dni od daty ukazania się ogłoszenia w prasie, w Wydziale Gospodarki Komunalnej, Wodnej i Ochrony Środowiska — Urzędu Miejskiego w Nowym Sączu, pok. nr 12, gdzie można uzyskać do wglądu dokumentację techniczna.

Komisyjne otwarcie ofert nastąpi w dniu 1986. 07. 31. o godz. 9 w Urzędzie Miejskim, pok. nr 12.

Zastrzega się prawo dowolnego wyboru oferenta lub unieważnienia przetargu bez obowiązku podania przyczyn. K-6331

Kopalnia Węgla Kamiennego „ZIEMOWIT"

w Tychach-Lędzinach, ul. Pokoju 4, tel. 277-042 wewn. 56-63-54

PRZYJMUJE STALE

mężczyzn w wieku od 18 do 40 lat do pracy pod ziemią

Przyjmowanym do pracy gwarantujemy:

▲ wynagrodzenie wg Układu Zbiorowego Pracy obowiązującego w górnictwie
▲ dodatek stabilizacyjny
▲ dodatek rozłąkowy
▲ specjalne wynagrodzenie z Karty Górnika
▲ deputat węglowy
▲ nagrody roczne tzw. 13 i 14 pensja oraz nagrodę z zysku
▲ nagrodę barbórkową w wysokości miesięcznego wynagrodzenia
▲ nagrody jubileuszowe za 15. 20. 25. 30. 35, 40 i 45 lat pracy
▲ jednorazową pożyczkę na zagospodarowanie w wysokości 100.000 zł dla pracowników, którzy zawarli związek małżeński PO 1 LUTEGO 1982 roku. Pożyczka umarzana jest po 5-ciu latach nienagannej pracy
▲ pożyczkę na zagospodarowanie w wysokości 50.000 zł dla osób podejmujących pracę po odbyciu zasadniczej służby wojskowej, umarza po roku nienagannej pracy
▲ możliwość podnoszenia kwalifikacji na kursach wewnątrz-zakładowych oraz technikum dla pracujących
▲ dysponujemy ośrodkami wczasowymi i kolonijnymi nad morzem, w górach i na Mazurach
▲ przy kopalni organizowana jest spółdzielnia mieszkaniowa, która w krótkim czasie będzie gwarantowała uzyskanie mieszkania
▲ dla pracowników zamiejscowych zakwaterowanie w Domu Górnika przy kopalni z całodziennym wyżywieniem ze znaczną dopłatą przez zakład
▲ przy kopalni istnieje Zasadnicza Szkoła Górnicza, która przyjmuje do nauki w zawodach górniczych młodzież w wieku od 15 do 18 lat

UCZNIOM ZAPEWNIA SIĘ: wyżywienie, zakwaterowanie, umundurowanie oraz pomoc materialną w wysokości:

w klasie I w granicach — 5.000 zł
w klasie II w granicach — 7.000 zł
w klasie III w granicach — 10.000 zł

▲ absolwenci po ukończeniu nauki w ZSG — otrzymają jednorazową pożyczkę na zagospodarowanie w wysokości 150.000 zł. Pożyczka umarzana po 3-ch latach nienagannej pracy
▲ wyróżniający się uczniowie ZSG mają możliwość kontynuowania nauki w Technikum Górniczym przy kopalni

WYMAGANE DOKUMENTY PRZY PRZYJĘCIU: 1) dowód osobisty, 2) książeczka wojskowa, 3) legitymacja ubezpieczeniowa, 4) świadectwo pracy, 5) świadectwo szkolne.

Informacji udziela i zgłoszenia przyjmuje dział zatrudnienia kopalni. Dojazd do kopalni — od dworca PKP Katowice autobusami nr 31, 95 i 137.

K-9455

OBWIESZCZENIA

Prawomocnym wyrokiem Sądu Rejonowego w Nowym Targu z dnia 28 lutego 1986 r., sygn. akt. II. K. 863/85, **Andrzej Chorąży, s. Józefa i Marty z d. Wróbel**, ur. 23.04.1962 r. w Jordanowie, zam. Bystra Podhalańska 429, został skazany za przestępstwo z art. 168 § 1 kk w zw. z art. 60 § 1 kk przy zastosowaniu art. 10 § 3 kk i art. 12 § 1 kk popełnione w ten sposób, że w dniu 18.08.1985 r. w Osielcu rejonu nowotarskiego w zamiarze dokonania czynu nierządnego na ob. W. W. swoim zachowaniem zmierzał bezpośrednio ku jego dokonaniu poprzez duszenie jej, wywrócenie na ziemię, kilkakrotne włożenie ręki pomiędzy uda, a następnie bicie po tworzy i głowie, w następstwie czego doznała ona obrażeń ciała w postaci znacznego stopnia obrzęku okolicy oczodołowej lewej z podbiegnięciem krwawym przechodzącym na lewy policzek i szyję, co naruszyło u niej czynności narządów ciała na okres poniżej 7 dni trwający, przy czym czynu tego dopuścił się przed upływem 5 lat po odbyciu kary ponad 6 miesięcy pozbawienia wolności orzeczonej za przestępstwo podobne — na karę 2 lat i 6 miesięcy pozbawienia wolności. Sąd orzekł wobec oskarżonego pozbawienie praw publicznych na okres 3 lat, orzekł nadzór ochronny na okres lat 4, zobowiązując go w okresie nadzoru ochronnego do wykonywania stałej pracy zarobkowej oraz do powstrzymywania się od nadużywania alkoholu.

Ponadto Sąd orzekł nawiązkę od oskarżonego na rzecz NFOZ w kwocie 10.000 zł i na rzecz pokrzywdzonej w kwocie 30.000 zł. Zarządził także podanie wyroku do publicznej wiadomości przez ogłoszenie go w tygodniku „Dunajec" na koszt oskarżonego. K-5959

Prawomocnym orzeczeniem Kolegium Rejonowego ds. Wykroczeń przy Prezydencie Miasta Nowego Sącza z dnia 3 kwietnia 1986 r., nr rej. 224/85, **Andrzej Jopek**, syn Jana, ur. 26.07.1955 r., zam. Kamionka Mała 64, obwiniony o to, że dnia 26 grudnia 1985 r. około godz. 19 w miejscowości Kamionka Wielka w miejscowej restauracji „Łowiecka" wspólnie z Adamem Biernatem wszczął awanturę będąc pod wpływem alkoholu i podczas awantury bardzo głośno używał słów wulgarnych, czym zakłócił spokój i porządek publiczny. W tym samym miejscu i czasie odmówił okazania dowodu osobistego funkcjonariuszowi MO, pomimo że dowód osobisty posiadał przy sobie jak również w tym samym miejscu i czasie po wyjściu z restauracji szli drogą publiczną całą szerokością jezdni tamując i utrudniając ruch na jezdni i zmuszali kierowców do gwałtownego hamowania, a na zwróconą uwagę przez kierowcę wymienieni używali pod adresem kierowcy słów wulgarnych, został uznany winnym popełnienia zarzucanych mu czynów stanowiących wykroczenie z art. 51 § 2, 65 § 2 i 90 kw i na podstawie art. 51 § 2 kw wymierzono mu jako karę zasadniczą grzywnę w wys. 30.000 zł, z zamianą w razie nieściągalności na zastępczą karę 60 dni aresztu, licząc jako równoważnik kwotę 500 zł za 1 dzień pobytu w areszcie oraz jako karę dodatkową podanie orzeczenia o ukaraniu do publicznej wiadomości w tygodniku „Dunajec" na koszt obwinionego. Ponadto orzeczono zapłatę kosztów postępowania w kwocie 150 zł. K-5381

Prawomocnym wyrokiem Sądu Wojewódzkiego w Nowym Sączu z dnia 1 października 1985 r., sygn. akt II K 19/85 **Tadeusz Jurkowski** został skazany za przestępstwo z art. 138 § 1 kk, polegające na tym, że w dniu 2 maja 1985 r. w Starym Sączu dokonał podpalenia stodoły własności F. K., powodując szkodę w wysokości 300.000 zł — na karę 3 lat pozbawienia wolności oraz zasądzono od niego koszty sądowe. K-5382

Prawomocnym wyrokiem Sądu Rejonowego w Nowym Targu z dnia 20 maja 1986 r. sygn. akt. II. K. 322/86 **Jan Kozieł** s. Stanisława i Stanisławy z d. Mastalska ur 5 czerwca 1961 r. w Szczawnicy zam. Szczawnica ul. J. Kowalczyk 14 został skazany za przestępstwo z art. 214 §2 kk. popełnione w ten sposób, że w nocy z dnia 26/27 grudnia 1985 r. w Szczawnicy rejonu nowotarskiego zabrał w celu krótkotrwałego użycia samochód osobowy marki Fiat 126 p stanowiący własność Ob. M. Sz. który następnie porzucił na terenie Mszany Dolnej w stanie uszkodzonym — na karę 1-go roku i 6-ściu miesięcy pozbawienia wolności. Sąd zasądził od oskarżonego koszty i opłatę sądową, a także zarządził podanie wyroku do publicznej wiadomości przez ogłoszenie go w tygodniku „Dunajec na koszt oskarżonego. K-6339

Prawomocnym orzeczeniem Kolegium Rejonowego ds. Wykroczeń przy Naczelniku Miasta i Gminy w Limanowej z dnia 2 czerwca 1986 r. nr rej. SA. II 6120/190/ 86, **Józef Gąsior**, syn Tadeusza, ur. 27. 05. 1959 r. zam. Chyszówki 19, obwiniony o to, że dnia 1 kwietnia 1986 r. w miejscowości Jurków, około godz 11.15 będąc w stanie po użyciu alkoholu prowadził po drodze publicznej motocykl marki MZ, nr rej 3128 oraz na wyraźny znak podany do zatrzymania przez funkcjonariusza MO nie zatrzymał się do kontroli w celu jej uniknięcia oraz nie posiadał przy sobie wymaganych uprawnień, został uznany winnym popełnienia zarzucanych mu czynów stanowiących wykroczenie z art. 87 § 1, 92 § 2, 95 kw z dn. 20. 05. 1971 r. (Dz. U. nr 12, poz. 114) i na podstawie art. 87 § 1 i 3 kw jw. w zw. z art. 25 § 1 i 29 § 3 kw jw. z późniejszymi zmianami, wymierzono mu jako karę zasadniczą grzywnę w wys. 50 000 zł, zastępczą karę aresztu w ilości 50 dni, przyjmując 1 dzień równy grzywnie 1000 zł oraz kary dodatkowe — zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych przez okres 20 miesięcy zaliczając na poczet tej kary okres zatrzymania od dnia 1. 04. 1986 r. — podanie orzeczenia do publicznej wiadomości w tygodniku „Dunajec" na koszt obwinionego.

Ponadto orzeczono zapłatę kosztów postępowania w wys. 150 zł. K-6157

Prawomocnym orzeczeniem Kolegium Rejonowego ds. Wykroczeń przy Naczelniku Miasta Gorlic z dnia 23 kwietnia 1986 r. nr rej. 494/86, **Jerzy Czech**, syn Alfonsa, ur. 29.03.1958 r. zam. Libusza 323 obwiniony o to, że 1) w dniu 28 lutego 1986 r .o godz. 15.20 w Gorlicach na ul. Świerczewskiego kierując samochodem marki Ził nr rej. NSA 663G, nie zachował należytej ostrożności podczas jazdy w wyniku czego podczas omijania uszkodził samochód marki Fiat 126p, nr rej KSB 1244 2) w tym samym czasie i miejscu kierował samochodem będąc w stanie po użyciu alkoholu, został uznany winnym popełnienia zarzucanych mu czynów stanowiących wykroczenie z art. 86 § 1 i 87 § 1 kw i na podstawie art. 87 § 1 i § 3 kw w zw. z art. 29 § 3 kw wymierzono mu jako karę zasadniczą grzywnę w wys. 40 000 zł, z zamianą na zastępczą karę 80 dni aresztu, przyjmując 1 dzień aresztu za równoważny grzywnie 500 zł oraz jako kary dodatkowe zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych na okres 3 lat, zaliczając okres zatrzymania prawa jazdy od dnia 28.02.1986 i podanie orzeczenia do publicznej wiadomości w tygodniku „Dunajec" na koszt obwinionego.

Ponadto orzeczono zapłatę kosztów postępowania w wys. 150 zł. K-6158

KOMUNIKATY

Urząd Gminy w Krościenku n. Dunajcem unieważnia pieczątki o treści: 1. Urząd Gminy 34-450 Krościenko n/D woj. nowosądeckie, 2. Sekretarz Urzędu Gminy Teresa Wira, 3. NACZELNIK GMINY w/z Sekretarz Urzędu Teresa Wira

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Krzysztof Kamiński, Lucyna Kaszuba, Jerzy Leśniak, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Franciszek Palka (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (z-ca sekretarza redakcji), Michał Sroka (redaktor techniczny), Anna Szopińska. Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, Al. Wolności 49. Telefony: 238-36, 238-90. Telex: 0322748. Oddział w Krakowie: ul. Wielopole 1, pok. 58, telefon: 22-32-08, 22-75-88, wewn. 161, telex: 0322491. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch", Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Kraków, al. Pokoju 3.

Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2, 31-007 Kraków, telefon 22-70-89 oraz wszystkie Biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 35657.

Prenumeratorzy indywidualni w miastach dokonują wpłat na poszczególne kwartały bieżącego roku: do 28 lutego na II kwartał, do 31 maja na III kwartał, do 31 sierpnia na IV kwartał.

A-9

KRZYŻÓWKA NR 28

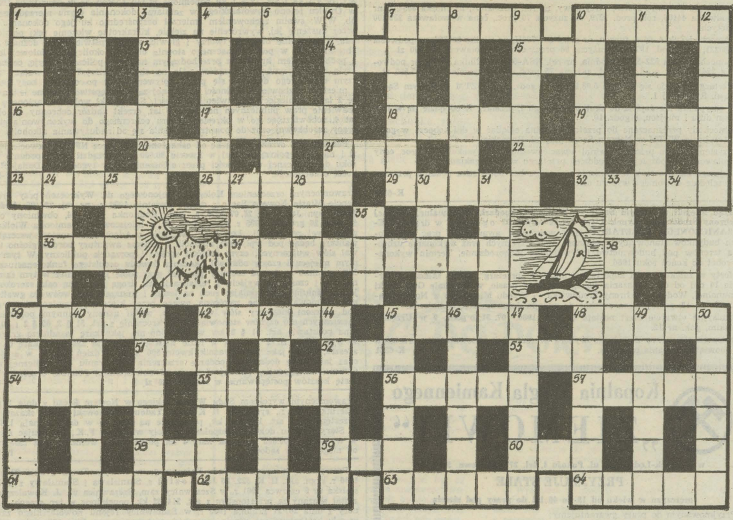

POZIOMO: 1) wzgórze nad Wisłą, 4) szopa), 7) powierzchnia gruntu, 10) krzewinka, 13) wierzba, 14) jednostka powierzchni gruntów, 15) część nogi, 16) modlitwa muzułmańska, 17) rozkaz dla psa, 18) miano, 19) ślady, 20) ptak z rodziny drozdów, 21) numer pocztowy, 22) zawołanie na konia, 23) sknera, dusigrosz, 26) zielona, 29) roślina ozdobna, 32) jezioro w Afryce, 36) ptak świetnie pływający, 37) kasuje bilety, 38) choroba zakaźna, 39) łódź Eskimosów, 42) religia w Arabii, 45) infuła biskupa, 48) narząd, 51) fizyk niemiecki, 52) bohaterka elementarza, 53) narząd węchu, 54) dzieło malarza, 55) gra hazardowa w karty, 56) dziewięcioosobowy zespół muzyczny, 57) córka Tantala, 58) władca rosyjski, 59) „pan" w Iranie, 60) faza księżyca, 61) imię żeńskie, 62) machina oblężnicza, 63) kibić, 64) zatoka krzyżówkowa,

PIONOWO: 1) obracająca się część turbiny, 2) wino z winogron zaprawiane wyciągiem z ziół, 3) gąsienica, 4) obciążenie statku, 5) słabizna, miernota, 6) pocztówka, 7) dzierżawa nieruchomości lub praw, 8) proces niszczenia skorupy ziemskiej, 9) rzeka na Pojezierzu Kaszubskim i Wybrzeżu Słowińskim, 10) narzędzie do połowu ryb, 11) tama, 12) utwór literacki, 24) przybrzeżna Wyspa na M. Bałtyckim, 25) dopływ Odry, 27) obrazkowa zagadka, 29) bitwa, 30) autor powieści „Matka", 31) biednemu wieje w oczy, 33) ptak gospodarski, 34) ssak z rodziny jeleniowatych, 35) 10 x 10, 39) idea nierealna, mrzonka, 40) miasto w pn.-zach. Jugosławii, jeden z największych w świecie ośrodek wydobycia rtęci, 41) giemza, 42) przywóz towarów z zagranicy, 43) słodki napój alkoholowy, 44) obchodzi imieniny 30 kwietnia, 45) pełnomocnictwo, 46) pierwiastek chemiczny z rodziny wanadowców, 47) telewizyjna, radiowa, 48) tkanina, 49) tymczasowa tama, 50) podłużne obniżenie terenu.

Rozwiązania prosimy przysyłać do dnia 31 lipca br.

Rozwiązanie krzyżówki nr 26

POZIOMO: 1) komputer, 5) Żmudź, 10) zniekształcenie, 11) France, 12) realizator, 16) taks, 20) komik, 21) kolec, 22) toki, 24) strzegonia, 31) Nansen, 32) człowieczeństwo, 33) okład, 34) paradoks.

PIONOWO: 2) miernik, 3) Ulster, 4) esteta, 6) miedza, 7) dzieło, 8) szyfr, 9) złogi, 13) zakręt, 14) tombak, 15) rekin, 17) adular, 18) szachy, 19) zakos, 23) ognisko, 25) toczek, 26) załoga, 27) guzik, 28) niecka, 29) antena, 30) anion.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 26, drogą losowania nagrody otrzymują: **Teresa Basta** ze Słowikowej oraz **Beata Cholewa** z Rabki.

Nagrody książkowe prześlemy pocztą.

Pokusa piękności

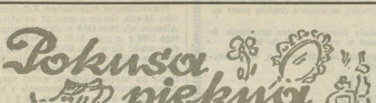

Poza krótkimi okresami pogrążania się ludzkości w abnegację i ascezę — ludzie zawsze pragnęli się upiększać. Mistrzyniami upiększania były kobiety starożytności.

Najpierw z ciała wdzięcznego wszelki brud usunęła, a potem je wraz namaściła obficie miękką, pachnącą oliwą. Nią więc ciało nadobne natarłszy, czesała swe włosy dłońmi w loki je trefiąc. Teraz szatę na siebie włożyła, klamry złotymi ją spięła. W uszy przekłute zatknęła kolczyki. Głowy zaś wierzch osłoniła zawiciem pięknej roboty, co bielą jaśniało. Wreszcie na gładkie stopy wzuła sandały — taki opis kobiecej toalety znajdujemy u Homera.

Nie brakowało i w starożytności złośliwców, pokpiwających z zamiłowania do strojów i z chęci sztucznego odmładzania się. Żyjący w pierwszym wieku naszej ery poeta rzymski Marcjalis zwraca się do starzejącej się Lelii: — *Kupne zęby i włosy sztukują twą postać. Cóż z okiem będzie Lelio? Trudno ponoć dostać!*

My dziś raczej krytykujemy, gdy ktoś nie dba o zęby, unika dentysty, a peruki nawet nie tak dawno robiły i u nas karierę. I nikt się ich nie wstydził.

U Gallów przed każdym posiłkiem podawano miskę z ciepłą wodą i ręczniki, i wszyscy myli ręce! A był to VI wiek. Zarówno kobiety jak i mężczyźni nosili stale przy sobie podręczne przybory toaletowe: grzebień, nożyce sprężynowe, szczypczyki do usuwania niepotrzebnych włosów. Tylko nieliczni asceci uważali swe ciało za niegodne starań upiększających. Zwłaszcza wiele współczesnych tekstów wspomina o pielęgnacji włosów. Ogolona czaszka była oznaką stanu niewolniczego. Pozbawienie włosów kobiety uważano za straszną hańbę. Natomiast tak Germanowie jak Gallowie powszechnie odbarwiali sobie włosy lub farbowali je na rudo.

Kobiety w owych czasach nosiły odzież bardzo długą i szeroką, hołdując modzie śródziemnomorskiej. Ubiór składał się z koszuli, jednej lub dwu tunik, wielkiego szala okręconego wokół talii. Głowę zdobiły purpurowe zasłony. Podeszły wiek i stan wdowi kazał poprzestać na kolorze czarnym.

Do środków pielęgnujących urodę należały leki oczne, gdyż choroby oczu trapiły świat starożytny, szczególnie w krajach śródziemnomorskich, gdzie palące słońce i jaskrawe światło sprzyjały ropnemu zapaleniu powiek. Leki były wytwarzane w postaci laseczek twardej maści, a przygotowywano je głównie z bluszczu, balsamu judejskiego, miedzi, róży, mirry, bursztynu, szafranu, krwawnika pospolitego, werbeny.

Do perfekcji w upiększaniu się doszły dawne Indie i to już od III w. przed naszą erą. Mówią nam o tym relacje żyjących współcześnie cudzoziemców: Greków, Rzymian, Chińczyków. Kobiety potrafiły umiejętnie stosować kąpiele, natryski, masaże, maści, pachnidła oraz rozmaite środki upiększające, nagromadzone przez wieki wielkiego wyrafinowania cywilizacji indyjskiej. Wkładano wiele starań w sporządzanie subtelnych i wymyślnych maści: ucierało się drzewo sandałowe na mokrym kamieniu podobnie jak tłuczkiem pudry, mieszało maści z oliwą, dodając aromatyczne kwiaty i liście. Przybory toaletowe tworzyły cały komplet złożony z brzytew, szczypczyków do usuwania włosów, nożyczek do paznokci, łopatek do czyszczenia uszu, korzonków i past do pielęgnacji zębów na bazie miodu, owoców, soli i oliwy. Przyrządy do masowania wykonane były z hebanu, gliny wypalanej lub kości. Słoiczki zawierały wonne kremy i pudry. Zestaw ów obejmował ponadto flakony z pachnidłami, rozpylacze, zwierciadło, a także kredkę, służącą do malowania ornamentów na twarzy i ciele, grzebienie z kości słoniowej o delikatnych ząbkach i papiloty, używane czasami do układania włosów. By mieć świeży oddech używano pigułek złożonych z aloesu cytrynowego, cynamonu i kamfory.

Do namaszczania ciała służyła maść sandałowa, do piersi i stóp maść z szafranu i piżma. Oczy mocno podkreślano specjalnym tuszem, wargi najpierw malowano laką, a następnie posypywano pomarańczowym pudrem mineralnym dla podkreślenia olśniewającej bieli zębów. Zimą, aby zapobiec pękaniu warg, powlekano je substancją ochronną, której głównym składnikiem był wosk. Używano jej w postaci sztyfcików, przypominających nasze kredki do ust.

(KAR)

na ekranie TV

PIĄTEK — 18 VII

PROGRAM I

8.55 „Domator”
9.00 Teleferie
9.30 „Urwisy z Doliny Młynów” — film TP
10.00 DT — wiadomości
10.10 Kronika Igrzysk Dobrej Woli
10.20 „Był czwarty rok wojny” — film fab. ZSRR
11.40 „Kraina spełnionych niemożliwości” (3)
12.00 „Savoir vivre, czyli jak się zachować”
12.20 „Znaki zapytania”
16.50 Program dnia
16.55 „Mieszkać”
17.15 „Tele-ekspres”
17.30 Studio „Lato”
19.00 „Zajęcza nocka”
19.30 Dziennik
20.00 „Monitor rządowy”
20.30 „Był czwarty rok wojny” — radziecki film fab.
21.50 „Żniwa ’86”
22.00 DT — komentarze
22.25 „Hiszpańska rocznica”
22.55 Trybuna sejmowa
23.25 DT — wiadomości
23.30 Igrzyska Dobrej Woli — Moskwa ’86

PROGRAM II

16.55 Program dnia
17.00 „Karuzela” — film prod. ZSRR
18.10 „Wakacje...” — magazyn informacyjny
18.30 Kronika
19.00 „O wyższości niepogody nad pogodą”
19.30 Dziennik
20.00 „Klejnoty kultury”
20.30 „100 kilometrów po Słupskiem”
21.15 Filmy alpejskie
21.45 „To jest moje życie” — program publ.
22.00 „Strażnicy echa”
22.30 „Chcą latać” (3) — serial
23.30 „Stan krytyczny”
24.00 Wieczorne wiadomości

SOBOTA — 19 VII

PROGRAM I

8.25 Program dnia
8.30 „Tydzień na działce”
9.00 Kino teleferii
9.45 „Na skrzyżowaniu rzek”
10.05 „Spotkanie z Cottbus”
10.30 DT — wiadomości
10.40 „Stare, nowe, najnowsze”
12.00 „W świecie ciszy”
12.30 Telewizyjny Koncert Życzeń
13.00 „Opowieści biblijne” (10)
13.15 „Za kierownicą”
13.45 „Magic international”
14.30 „Teatralne pasje”
15.00 DT — wiadomości
15.05 Edward Radziński — „Godziny miłości”
16.50 „Telewizyjny Informator Wydawniczy”
17.10 Telewizyjny film dok. — „Królowie mórz” — „Rzymianie”
17.35 Losowanie Dużego Lotka
17.45 „Jezioro Łuknajno”
18.30 „Telewizyjny Klub Młodych”
19.00 Dobranoc
19.10 „Z kamerą wśród zwierząt”
19.30 Dziennik
20.00 Film fabularny
21.45 „Czas”
22.15 „7 dni na świecie”
22.25 DT — wiadomości
22.35 Igrzyska Dobrej Woli — Moskwa ’86
0.30 „Mściciele” (3) — serial jap.

PROGRAM II

16.30 Program dnia
16.35 „Kurs pływania na desce”
16.50 „Walet pikowy” — film fab.
18.30 Kronika
19.00 „Na bezdrożach Amazonii” — film dok.
19.30 Dziennik (dla niesłyszących)
20.00 „Przed turniejem miast”
20.10 „Ze sztuką na ty”
21.00 „Góralskie tańce”
21.30 „Tydzień w polityce”
21.45 „Czuła jest noc” (3) — serial
22.40 „Studio Hi-Fi” — Ann Boel
23.25 Wieczorne wiadomości
23.30 „Anegdoty o Wieniawskim”

NIEDZIELA — 20 VII

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Kino teleferii
10.30 DT — wiadomości
10.35 „S.O.S. z gór, lasów i łąk” — film TV CSRS
11.25 „Dziwne małżeństwo” (2) — serial węg.
12.40 „Siedem anten”
13.25 Program publ.
14.10 „Tamten lipiec”
14.35 „Kraj za miastem”
15.00 DT — wiadomości
15.05 „Lato w Studio-1” (1)
16.00 Igrzyska Dobrej Woli Moskwa ’86
17.30 „Lato w Studio 1” (2)
18.30 „Antena”
19.00 Wieczorynka
19.30 Dziennik
20.00 „Powrót do Edenu” (10)
20.50 „Pegaz”
21.35 „Spotkanie z kosmosem”
22.05 DT — wiadomości
22.15 Igrzyska Dobrej Woli — Moskwa ’86

PROGRAM II

10.30 Film dla niesłyszących — „Powrót do Edenu” (10)
13.30 „Manifest Lipcowy”
14.00 Powitanie
14.15 „Turniej miast” — Puck — Głogówek
15.25 „5 — 10 — 15”
16.10 „Jutro poniedziałek”
16.40 „Turniej miast”
17.40 „Kino — oko”
18.30 „Turniej miast”
19.30 Dziennik (dla niesłyszących)
20.00 Studio Sport
20.30 Festiwal muzyki — Łańcut ’86
21.00 „Turniej miast”
22.10 „Amos” — film ang.
23.40 Wieczorne wiadomości
23.45 Anegdoty teatralne Igora Śmiałowskiego (2)

PONIEDZIAŁEK — 21 VII

PROGRAM I

17.10 Program dnia
17.15 „Teleexpress”
17.30 „Studio lato”
19.00 „Zajęcza nocka”
19.30 Dziennik
20.00 „Rozmowa na telefon” (1)
20.15 Franciszek Zabłocki — „Król w kraju rozkoszy”
21.10 „Żniwa ’86”
21.20 DT — komentarze
21.40 „Rozmowa na telefon” (2)
21.55 Studio Festiwalu Opolskiego
22.20 „Dogonić epokę”
23.05 „Żart nie żart”
23.35 DT — wiadomości.

PROGRAM II

16.55 Program dnia
17.00 „Nie zdejmuj tego swetra” — film prod. CSRS
18.15 „Wakacje...”
18.30 Kronika
19.00 „Piękni i wspaniali”
19.30 Dziennik
20.00 „Zwiedzamy Polskę”
20.15 „Gwiazdy wielkiego sportu”
20.45 „Nasza Warszawa”
21.45 „Czarne chmury” (3)
22.35 Wieczorne wiadomości

WTOREK — 22 VII

PROGRAM I

8.40 Program dnia
8.45 Kino teleferii
10.30 DT — wiadomości
10.35 VII Festiwal Piosenki i Tańca
11.35 „Między Bugiem a Odrą”
11.55 Uroczysta odprawa wart przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie
12.55 „Podróże chodowiaków”
13.20 „Z czterech stron Polski”
14.00 „Między Łebą a Rowami”
14.25 „Jedna jest ziemia”
15.00 DT — wiadomości
15.05 Utwory Fryderyka Chopina — gra Regina Smendzianka
15.25 W starym kinie
16.25 Złota Tarka ’86
16.40 Studio Sport
19.00 „Zajęcza nocka”
19.30 Dziennik
20.00 „Jesienią o szczęściu” — film
21.00 XXIII KFPP Opole ’86
22.15 Studio Sport
22.35 XXIII KFPP — Opole ’86
23.50 DT — wiadomości

PROGRAM II

17.00 „Wniebowzięci” film pol.
17.45 Kraków na antenie „Dwójki” —
18.10 „Koncert z Katowic”
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 Dziennik
20.00 Kraków na antenie „Dwójki”
21.30 „Marysia i Napoleon” — film
23.20 Wieczorne wiadomości
23.25 „Moje szeptanki”

ŚRODA — 23 VII

PROGRAM I

8.55 „Domator”
9.00 Teleferie TDC
9.30 Kino teleferii
10.00 DT — wiadomości
10.10 „Pensja pani Latter” — film
11.55 Wędkarstwo dla początkujących
12.05 „Zioła, ziółka...”
12.15 „Gotujemy na urlopie”
12.20 „Zielono nam”
12.35 „Encyklopedia tatrzańska”
12.50 „Największy pająk świata”
17.10 Program dnia
17.15 „Teleexpress”
17.30 Losowanie Express Lotka i Super Lotka
17.40 „Studio lato”
19.00 „Zajęcza nocka”
19.30 Dziennik
20.00 Publicystyka
20.15 „Pensja pani Latter” — film
21.55 „Żniwa ’86”
22.05 DT — komentarze
22.25 Studio Festiwalu Opolskiego
22.55 „Zawsze po 21-ej”
23.35 DT — wiadomości.

PROGRAM II

16.55 Program dnia
17.00 „Niespokojne duchy” — film
18.25 „Wakacje...”
18.30 Kronika
19.00 Wystąpienie ambasadora Egiptu
19.05 „Koncerty chopinowskie”
19.30 Dziennik
20.00 „Zwiedzamy Polskę”
20.15 „Dookoła świata”
21.00 Studio Sport
21.45 „Zgodnie z moim sumieniem”(1)
22.25 „Ekonomia na co dzień”
22.55 Wieczorne wiadomości

CZWARTEK — 24 VII

PROGRAM I

8.55 „Domator”
9.00 Kino teleferii
9.50 Film animowany
10.00 DT — wiadomości
10.10 Film dla 2 zmiany
11.15 „Szkoła dla rodziców”
11.35 „Dziękuję, nie palę”
11.45 „Wakacyjna apteczka”
11.55 „Bliżej siebie”
12.05 „W kręgu domowego ogniska”
12.30 „Historia najbliższa”
16.50 Program dnia
16.55 „Poligon”
17.15 „Teleexpress”
17.30 Studio Lato w tym „Sonda”
19.00 „Zajęcza nocka”
19.30 Dziennik
20.00 Publicystyka
20.15 Film CSRS
21.15 Studio Festiwalu Opolskiego
21.40 DT — komentarze
22.00 „Klub międzynarodowy”
22.40 Sprawa dla reportera
23.20 DT — wiadomości

PROGRAM II

16.55 Program dnia
17.00 Studio sport
17.40 „Czarny kot” — film węg.
18.30 Kronika
19.00 „Wiem wszystko” — teleturniej
19.30 Dziennik
20.00 „Zwiedzamy Polskę”
20.15 „Rozmaitości baletowe”
20.55 „Variete, variete”
21.45 „Kartka miłości” — film franc.
23.25 Wieczorne wiadomości

(CIĄG DALSZY ZE STR. 24)

borowie. Zrobiło mu się przykro na myśl, że rozstanie się także z Niną, ale powiedział sobie:

„Trudno. Jak trzeba, to trza. Nie ona jedna na świecie”.

Gorzej będzie z wynalezieniem takiego gościa, co by za niego robił... Mógłby go zrobić, na przykład, swoim sekretarzem...

Nagle klepnął się w czoło.

„Krzepicki!”

Aż podskoczył z radości. Krzepicki to cwaniak, kuty na cztery łapy, ten wie, co w trawie piszczy. W butelkę nabić się nie da, ale swój chłop, brat łata, jak zrobi się z nim sztamę, będzie ruszał mózgiem za dwóch.

Tak go ucieszył ten pomysł, że postanowił zaraz odszukać Krzepickiego.

Ubrał się szybko i po kwadransie dzwonił już do drzwi pani Przełęskiej. Właśnie wstawano od obiadu. Oprócz pani domu był Krzepicki i cherlawa panienka, bardzo piegowata, panna Hulczyńska.

Przyjęto Dyzmę głośnymi gratulacjami. Pani Przełęska nazwała go zbawcą ziemiaństwa. Zyzio Krzepicki — Napoleonem gospodarczym, a panna Hulczyńska patrzyła weń jak w słońce.

Zaczęła się rozmowa o Koborowie i wszyscy bardzo się zmartwili, gdy Dyzma oświadczył, że teraz nie będzie miał czasu zajmować się sprawą Żorża Ponimirskiego.

— Zresztą — dodał — z jego klepkami jest tak źle, że nic nie dałoby się zrobić.

Zyzio zaklął, piegowata panienka zrobiła smutną minę, a pani Przełęska wyraziła nadzieję, że nie trzeba tracić nadziei.

Kulminacyjnym momentem wizyty Nikodema Dyzmy u pani Przełęskiej była chwila, gdy pociągnąwszy łyk kawy powiedział:

— A ja tu przyszedłem z propozycją. Panie Krzepicki, pan nie posiada żadnej posady?

— Nie.

— A ma pan chęć?

— Naturalnie! — klasnęła pulchnymi rączkami pani Przełęska.

— Bo widzi pan — ciągnął Nikodem — ja będę teraz potrzebował sekretarza. Sekretarz prezesa banku to przecież nie byle co. To musi być, znaczy, inteligentny, sprytny i w ogóle, faktycznie odpowiedzialny. Uważasz pan?

Krzepicki oblizał wargi i zrobił niedbałą minę.

— Dziękuję, panie prezesie, ale nie wiem, czy potrafię. Poza tym... hm... powiem otwarcie, pan prezes mi tego za złe nie weźmie, ale ja chyba nie nadaję się do funkcji urzędniczych. Stałe godziny biurowe, codzienne wczesne wstawanie...

Dyzma klepnął go po kolanie.

— Nic się pan nie bój! Żadnych stałych godzin. Będziesz pan siedział w pracy tylko wtedy, gdy ja będę siedział, a co, panu się zdaje, że prezes to ma siedzieć kamieniem? Od tego jest, panie, dyrektor. My będziemy tylko od głównych spraw, od ważniejszych. No, daj pan rękę!

Pani Przełęska wybuchnęła entuzjazmem. Z emocji zaczęła Krzepickiego tykać, namawiając go gwałtownie do natychmiastowego przyjęcia propozycji.

Zyzio uśmiechnął się i podał rękę.

— Bardzo dziękuję panu prezesowi. Ale czy można spytać, jaką gażę pan prezes mi przeznaczy?

Nikodema mile połechtał „pan prezes”. Wziął się w boki i zapytał.

— No, a ile pan chciałbyś?

— Czy ja wiem!...

— No, śmiało — zachęcał Nikodem.

— Jak pan prezes uważa.

Dyzma uśmiechnął się dobrotliwie.

— Pan prezes uważa, że pan sekretarz sam musi powiedzieć.

Wszyscy uprzejmie roześmieli się.

— Mój Boże — wrąciła pani Przełęska — mnie się zdaje, że jakieś tysiąc złotych...

— Tysiąc dwieście! — śpiesznie skorygował Krzepicki.

— Co? Tysiąc dwieście? No, więc ja panu dam tysiąc pięćset.

Obrzucił triumfującym spojrzeniem pokój, a Krzepicki wśród zachwyconych „ochów” pani Przełęskiej zerwał się, i głośno szurgając nogami, dziękował panu prezesowi.

(Ciąg dalszy nastąpi)

ROZMAITOŚCI

Rozgrzeszenie?

(...) Próbowano wprawdzie kwestionować klasę Maradony (nie futbolową bynajmniej), wypominając mu ową nieszczęsną dla Anglików bramkę, strzeloną przy pomocy ręki. Argentyński kapitan odparował te zarzuty argumentem godnym przytoczenia w „Tygodniku Powszechnym”: *„...owszem, było w tym trochę ręki Boga i trochę głowy Maradony”*. Nie uważam wprawdzie za stosowne mieszanie Pana Boga do boiskowych porachunków, ale cóż: katolicka opinia Meksyku, o Argentynie rzecz prosta nie mówiąc, przyjęła słowa swego idola z jękiem nabożnego zachwytu. Nie wiem, jakiego wyznania jest bramkarz angielski Shilton, ale jedno jest pewne — po tym *dictum* musiał odstąpić od licytacji. Arbiter główny meczu mógł popełnić błąd, lecz Najwyższy Sędzia!

Proszę mnie zrozumieć: nie potępiam Maradony, bo i cóż miał począć. Zażądać anulowania gola? Zapewne, mierzony w kategoriach etycznych, czyn taki oznaczałby szczyt szlachetnej bezinteresowności i moralnego heroizmu. Jednakże proszę mi pokazać piłkarza, który w meczu o taką stawkę zdobyłby się na podobny gest. No właśnie, a cudowny Diego także jest tylko człowiekiem, a poza tym chciałby jeszcze pożyć cokolwiek. Fanatyczni kibice argentyńscy nie darowaliby swemu bożyszczu takiej wspaniałomyślności i kontynuowana na piłkarskiej murawie wojna o Falklandy powiększyłaby się — jak amen w pacierzu — o jeszcze jedną, kompletnie absurdalną ofiarę.

TOMASZ WOŁEK
(„Tygodnik Powszechny”)

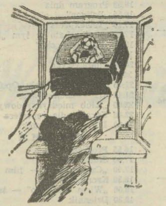

Rys. EUGENIUSZ RZEŻUCHA
„Szpilki”

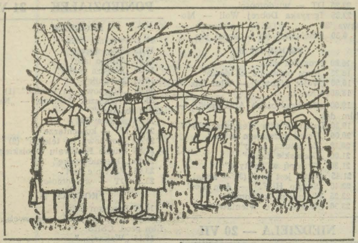

Wypadek

Tuż przed małą stacyjką pociąg szarpnął, zahamował gwałtownie, stanął. Rozległy się głosy z nasypu, pasażerowie obudzeni z letargu wychylili się przez okna. Niektórzy rzucili się do drzwi wagonów.

Okazało się, że pociąg wpadł na autobus. Autobus wleczony przez lokomotywę zrujnował torowiska i słupy trakcyjne. Leżał teraz na boku i palił się ostrym płomieniem. Personel próbował ugasić pożar i zajrzeć do wozu. O dalszej jeździe nie było mowy, gdyż i nasza linia była zniszczona. W pobliżu tkwił trup mężczyzny, który wypadł w czasie wypadku. Upłynęło trochę czasu zanim stwierdzono że był on jedyną ofiarą. Autobus najwidoczniej odwiózł pracowników i wracał pusty. Może było odwrotnie ale to nie ma żadnego znaczenia. Zginął tylko szofer który był i ofiarą i winowajcą. Pojazd utkwił na przejeździe i kierowca szybkiego pociągu nie mógł zrobić nic więcej. Droga hamowania wynosiła ponad sześćset metrów a wóz stał się widoczny dopiero z połowy tej odległości. — Szczęście w nieszczęściu — mówili pasażerowie którzy wkrótce musieli się zająć własnymi kłopotami. Nie można było jechać ani do Łodzi ani do Warszawy. Minęło sporo czasu nim przysłano autobusy.

Ponieważ magistrala była zablokowana przez wiele godzin (a jeszcze później pociągi biegły po jednym torze) na stacjach podmiejskich gromadziły się tłumy i rozpowszechniano fantastyczne pogłoski. Znaleźli się „świadkowie naoczni”, którzy mówili o dziesiątkach trupów; „widzieli” płonących, rozczłonkowanych, konających, ba, brali nawet udział w akcji ratowniczej. Spekulowano na temat warunków bezpieczeństwa, mówiono z oburzeniem, iż dróżnik był pijany i nie zamknął w porę bariery. Tymczasem tam nie było w ogóle żadnego dróżnika, gdyż przejazd był niestrzeżony.

Przejęci ideą szerzenia prawdy, opowiedzieliśmy pokrótce jak było. Reakcja pasażerów była osobliwa: część z nich zniechęciła się do tematu, jakby udział jednego trupa deprecjonował całe wydarzenie. Powrócili do biadoleń, iż spóźnią się na kolację. Reszta jednak trwała mężnie przy swojej wersji: uważano nas najwidoczniej za kłamców, którzy pomniejszają katastrofę w jakimś złowrogim, sobie wiadomym, celu. Jedna z pań wyraziła przypuszczenie, iż jesteśmy na żołdzie kolei i prasy; gazety z pewnością nie napiszą o tym prawdy, najwyżej „podadzą” tylko jednego trupa, my więc jakby przygotowujemy grunt dla kłamstwa. Ktoś próbował oponować twierdząc, że o katastrofach pisze się dużo i chętnie, pokazuje się je w telewizji. Ale głos ten wywołał falę oburzenia...

Opuściliśmy teren w lekkim popłochu. Nasza prawda okazała się bezużyteczna. Chcieli mieć więcej trupów, no niech mają.

MICHAŁ RADGOWSKI
„Kontrasty”

HOROSKOP

BARAN: musisz doprowadzić do ostatecznego rozstrzygnięcia sytuacji — tylko wtedy potrafisz się zmobilizować i dać z siebie wszystko.

BYK: zbyt małą wagę przywiązujesz do swoich spraw sercowych, a za bardzo zajęty jesteś własną karierą — niektórzy potrafią to jednak bardzo mądrze połączyć.

BLIŹNIĘTA: nic nie planuj, nie przymierzaj się do wielkich zadań — czas dla ciebie nie będzie najlepszy, a poza tym musisz zakończyć wszystko to, co już rozpocząłeś.

RAK: teraz powinieneś przede wszystkim zwrócić uwagę na kogoś ci bardzo bliskiego, który może czuć się przez ciebie opuszczony — nie daj się wkręcić w kierat codziennych spraw bez możliwości spokojnego oddechu.

LEW: zbyt często słowa rozmijają się z czynami, mimo dobrych chęci nie zawsze potrafisz wywiązać się z zobowiązań — ale i tak potrafisz się z tego z gracją wymigać.

PANNA: wciągną cię nowe obowiązki, dasz się porwać sytuacji — jeśli tylko opanujesz swoje ogromne ambicje, może z tego wyniknąć wiele dobrego dla ciebie i spraw, które uważasz za ważne.

WAGA: tym razem nie ufaj swojej intuicji, możesz się strasznie pomylić — zawieś na jakiś czas swoje kontrposunięcia, lepiej sprawdź wszystko dokładnie.

SKORPION: nie możesz zdecydować czy interesują cię tylko sprawy wielkie, czy przyjemności codzienne — dlatego często żyjesz trochę poza rzeczywistością i potrafisz odkrywać z radością coś już dawno odkrytego.

STRZELEC: jeśli teraz spróbujesz możesz wiele zyskać, jeśli sprawę odłożysz wszystko może się skomplikować bardziej niż myślisz — jeśli lubisz emocje, spróbuj poczekać.

KOZIOROŻEC: twoja dobra passa trwa nadal, nie daj wybić się z uderzenia — jeśli rozsądni radzą ci trochę odpocząć, jeszcze nie słuchaj ich rad.

WODNIK: masz okazję, by dojść do porozumienia z osobami, na których ci zależy, a do których masz jednak trochę niechętny stosunek — musisz oddzielić sympatie od obiektywnej oceny osiągnięć innych.

RYBY: nie boisz się żadnych trudności, liczysz na swoje siły i umiejętność lawirowania między niebezpieczeństwami — do komfortu psychicznego czegoś ci jednak brak, czy potrafisz sobie z tym poradzić.

TADEUSZ DOŁĘGA MOSTOWICZ

KARIERA NIKODEMA DYZMY

— 39 —

Życiorys dla samego Dyzmy był niespodzianką. Dowiedział się, że urodził się w majątku ziemskim swoich rodziców w Kurlandii, że gimnazjum ukończył w Rydze, a wyższe studia ekonomiczne w Oksfordzie że następnie jako oficer kawalerii bohatersko walczył na froncie bolszewickim, gdzie został ranny i odznaczony Virtuti Militari oraz Krzyżem Walecznych, ostatnio zaś usunął się z widowni, zajęty gospodarowaniem na wsi w województwie białostockim.

Życiorys roił się od takich przymiotników, jak: światły, znakomity, twórczy... W końcu zaznaczono, że prezes Nikodem Dyzma cieszy się opinią człowieka o niezwykłej sile woli i charakteru, znanego z wybitnych zdolności organizacyjnych.

Największe zdumienie Nikodema wywołał jednak wywiad. Czytał i oczom nie wierzył. Wprawdzie wieczorem urżnął się do nieprzytomności, ale przecież wówczas gdy rozmawiał z dziennikarzami, był całkiem przytomny. Przecie z tego co tu napisali, on nie mówił ani jednego słowa! Tu były wydrukowane zdania, których, pomimo wysiłków, nie mógł zrozumieć, były wyrazy, kótrych znaczenia nie znał, opinia o różnych sprawach, o których nie tylko nie mówił, ale nawet nie słyszał.

Zaklął, ale nie było w tym złości. Przeciwnie, kontent był z tego, gdyż po przeczytaniu takiego wywiadu każdy musiał uważać pana Dyzmę, pana prezesa banku Dyzmę, za człowieka niepospolicie mądrego.

Niemal wszystkie dzienniki zamieściły podobne artykuły i jego fotografie w różnych pozach. Najlepiej podobała się mu ta, gdzie siedział na kanapie między premierem a ministrem Jaszuńskim, oraz ta, na której schodził ze schodów, a za nim szedł starszy jegomość z siwymi wąsami i trzymał kapelusz w ręku, podczas gdy on, Nikodem, miał nakrytą głowę. Podpis pod tym zdjęciem głosił:

Pan prezes Nikodem Dyzma opuszcza pałac Rady Ministrów w towarzystwie swego przyszłego współpracownika, nowo mianowanego dyrektora Banku Zbożowego, p. Władysława Wandryszewskiego, b. wiceministra Skarbu.

„Ha — pomyślał Nikodem — teraz cała Polska mnie zna”.

Nagle przeraził się. Przyszło mu na myśl, że przecież dzienniki dotrą też do Łyskowa, że pan Boczek, Jurczak i oni wszyscy, którzy go tak dobrze znają, dobrze wiedzą, że to bujda z tą Kurlandią i z tym gimnazjum, i z Oksfordem.

Choroba!

A jeżeli któremuś z nich strzeli do głowy napisać do jakiego dziennika całą prawdę?

Po plecach przebiegły mrówki. Chodził po pokoju i klął, później znowu wziął się do przeglądania pism i przyszedł do przekonania, że jakakolwiek denuncjacja ze strony dawnych znajomych jest mało prawdopodobna. Olśni ich i onieśmieli jego stanowisko i stosunki. Chyba że donosić będą anonimowo... Ale anonimów poważnie się nie bierze.

Uspokoił się znacznie. Natomiast podczas rozczytywania się w przypisywanych mu talentach zatroskała go inna myśl: jak sobie da radę?

Niby największa praca spadnie na tego dyrektora Wandryszewskiego, ale przecie i on sam będzie musiał coś robić, mówić, podpisywać, decydować... I to wszystko w sprawach przerażająco niezrozumiałych! Nie ma inego sposobu, tylko trzeba znaleźć kogoś sprytnego... Żeby taki Kunicki zechciał, ale nie zechce... W ogóle teraz będzie musiał rozstać się z posadą w Ko

(CIĄG DALSZY NA STR. 22)